

www.libtool.com.cn

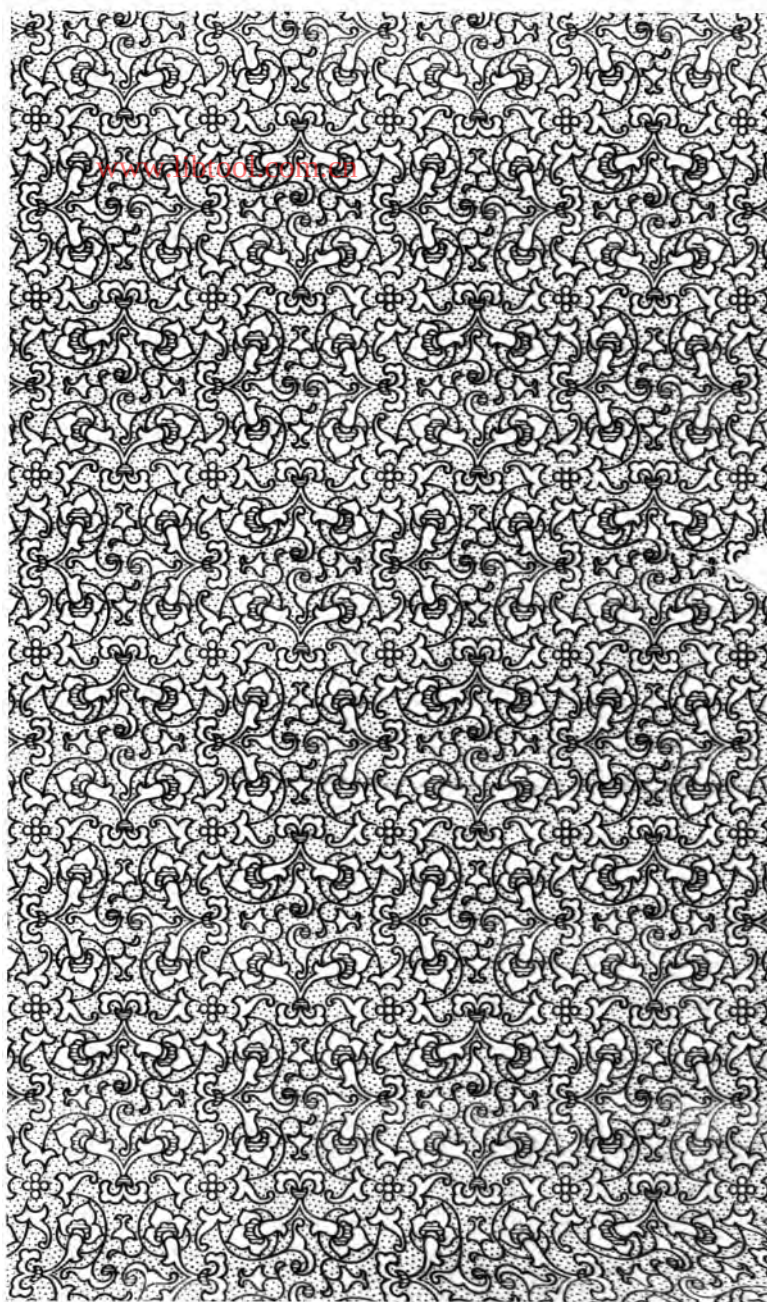
12

by

www.libraryofstanford.org



STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES



www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn

SZUBRAWCY

II

www.libtool.com.cn

MARYAN GAWALEWICZ

SZUBRAWCY

POWIEŚĆ



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
1896

Ch. Fenty

PG 7158
www.libtool.com.cn
C73559
v. 2

Дозволено Цензурою.
Варшава 6 Апрѣля 1896 г.

I.

Trzeci miesiąc już upływał od pogrzebu Krokowskiej w Omylinie.

Wiadomość o jej ostatniem rozporządzeniu i ofiarowaniu ogromnego majątku na cele publiczne poruszyła całą opinię.

W dziennikach zapełniano łamy artykułami na temat „olbrzymiego zapisu“, wynoszono pod niebiosy „dobrodziejkę małuczki“, „przyjaciółkę ludu i dzieci“, „anioła miłosierdzia“ i przesadzano się w wynajdywaniu dla zmarłej nazw i tytułów, o jakich za życia nigdy nawet nie marzyła.

W tygodnikach obrazkowych zamieszczono jej wizerunki, widoki Omylina, życiorysy i wyciągi z testamentu nieboszczki, objaśniając je uwagami i komentarzami, które raczej zaciemniały całą sprawę i wytwarzały sprzeczności z powodu niedokładnych szczegółów i za daleko posuwanych domysłów.

W tym wyścigu współzawodniczym pism, pragnących uchodzić w oczach swych czytelników za

wnajlepiejpowiadomione i posiadające jedynie źródłowe wiadomości, grudki prawdy urastały, jak kula śniegowa, do ogromnych rozmiarów, albo rozbijały się znów na proch.

Jedno pismo zaprzeczało drugiemu, spieszyło ze sprostowaniem, odwoływało własne doniesienia i puszczalo w świat banialuki, wywołując zamęt różnych głosów i zdań, które się z sobą ścierały.

Kilka dzienników z tego powodu zawikłało się nawet w zacietrzewiony spór i przy sposobności dogryzało sobie wzajemnie, wywlekając zadawnione urazy i stronnice niechęci.

Jeden z organów zachowawczych nazwał Krokowską „prawdziwą arystokratką ducha i serca“. podając przytem cały jej szlachecki rodowód, na co mu drugi, postępowy i demokratyczny organ, odpowiedział drwinkami i przycinkami, wołając:

„Hola, mości panowie!... niech wam się nie zdaje, że tylko z waszej, zwietrzałej i przegniłej kasty, może wyjść coś dobrego i szlachetnego.

„Radzibyście swoją pieczonkę upiec zaraz przy takim ogniu?

„Znamy was i rozumiemy tę taktykę.

„Mało nas to obchodzi, czem się pieczętowała nieboszczka Krokowska — zapewne lakiem i pieczętą; nie myślimy wertować herbarzy, aby z nich stęchłe wydobywać przesady, którym wy z lokajskim serwilizmem hołdujecie.

„Dla nas — zmarła była tylko zacną obywa-

telką i dzielną kobietą, która swoim zapisem złożyła hołd idei demokratycznej, poświęcając tyle dla podniesienia ludu i na wykonawcę swego testamentu wybierając syna... prostego chłopą“.

Organ zachowawczy nie pozostał dłużnym w odpowiedzi i wspomniał coś o prostackim sposobie traktowania sprawy, która z natury swojej uchyla się z pod strychulca społecznych niwelatorów i wrogów tradycji.

Od słowa do słowa doszło do zaciętej kłótni, w której osoba zapisodawczyni zepchniętą została na plan ostatni, a na czoło wysunięto czysto osobiste i redakcyjne sprawy, z czego korzystając trzecie pismo, przeważające wszędzie żydowską intrygę, w złośliwej a dosadnej formie zarzuciło obu przeciwnikom chęć zdyskredytowania zapisu dlatego, iż jest nawskróś chrześcijańskim i że w dalszych konsekwencyach dąży do wyswobodzenia ludu z rąk kapitalistów i wyzyskiwaczy kapotowych, skoro z woli testatorki między innemi poleca zakładanie sklepów spożywczych, gospód katolickich i kas pożyczkowych w dobrach nieboszczki.

Jedne „Wiadomości brukowe“, w których głównym współpracownikiem był młody Szuba, stale co pewien czas odzywały się z dwuznacznem, ale przejrzyستم ostrzeżeniem, iż nie należy zbyt dowierzać rozpuszczanym pogłoskom, pozbawionym faktycznej podstawy, o losach zapisu, który nie

został ostatecznie zatwierdzonym, a którego wykonanie warunkowane ma być podobno jeszcze pewnemi kwestyami rodzinnemi, czysto prywatnej natury.

Znać było, że czyjaś ręka kieruje umyślnie prąd zimnej wody na głowę opinii publicznej, nie pozwalając jej zanadto zapalać się tą sprawą i przygotowując jakąś sensacyjną niespodziankę dla zbyt gorących jej stronników.

Szuba miał minę tajemniczą, uśmiechał się tylko, ilekroć wieczorami w redakcyi przeglądał pisma codzienne i znajdował w nich dłuższe lub krótsze wzmianki o fundacyach ś. p. Krokowskiej; pocierał wtedy swoje niskie, zarośnięte czoło, zdejmował z nosa ciemne binokle, brał pióro i skreślał szybko kilka wierszy na pasku papieru, potem z miną zadowoloną uderzał o dzwonek stojący na jego biurku, a gdy zamorusany chłopak redakcyjny zjawiał się przed nim, jakby z pod ziemi wyrastając, dwoma palcami podawał mu zapisany świstek i mówił:

— Antek!... do zecerni!... na jutro!...

Antek porywał manuskrypt i znikał, a na drugi dzień w „Wiadomościach brukowych“ ukazywała się wiadomość tego rodzaju:

„Z najpewniejszego źródła dowiadujemy się, że sprawa zapisu ś. p. Balbiny Krokowskiej nierychło zostanie rozstrzygniętą, gdyż w ostatnich czasach zaszły pewne poważnej natury komplikacye, które skierują ją może na inną drogę.

„Do czasu, szanując tajemnice czysto rodzinne, nie możemy czytelników naszych, zainteresowanych tą kwestią, objaśnić szczegółowiej, ale możemy ich zapewnić, że w danej chwili zabierzemy w tej sprawie głos w imię słuszności i obowiązku dziennikarskiego.

„Na teraz dość...”

Nie było prawie dnia, aby przez telefon nie domagano się koniecznie rozmowy z panem Szubą, a wówczas „pan redaktor“, jak go już chłopcy z drukarni, aktorki mniejszego kalibru i mniej obeznani z hierarchią dziennikarską interesanci nazywali — stawał przed aparatem i kiwając się instynktownie, jakby składał uprzejme ukłony niewidzialnej osobie, połączonej z nim drutem telefonicznym, ze słuchawką przy uchu odpowiadał:

— Dobrze... będę... dowiem się... To się zrobi!...
Sługa pana barona.

Czasami w dodatku „całował jeszcze rączki pani baronowej“ i polecał się pamięci.

Brwi marszczył przytem, przybierał ważną minę, pozował, jak gdyby mógł być nietylko słyszany, ale i widzianym przez telefon i kłaniał się zawsze na zakończenie takiej konferencji z wyrazem najniższego sługi i oddanego ciałem i duszą powiernika.

Po drucie zaś przebiegały do jego ucha polecenia, wskazówki, wiadomości, uwagi i zapytania, które pozostawały tajemnicą dla niepowołanych

świadków takich rozmów, znajdujących się przypadkowo w redakcyi.

Kuzynek baronowstwa — tak się bowiem od pewnego czasu sam nazywał — pomimo skłonności do przechwałek i gadulstwa, stał się tajemniczym i dyskretnym na punkcie sprawy cały ogół obchodzącej.

Działął, ale milczał; spiskował, ale dyplomatycznie nie dawał poznać po sobie, że jest narzędziem czyjemkolwiek i że pomaga do podkładania miny, mającej wysadzić w powietrze zapis i fundacye nieboszczki Krokowskiej.

Od nowego roku starzy Szubowie ze swojemi pociechami znieśli się na stałe do Warszawy.

Wymagały tego interesa familijne, jak powiadał pan Wenanty, który prowadził teraz jakieś wyjątkowo czynne i ruchliwe życie.

Chodził po całych dniach, prowadził szeroką korespondencję, znikał na kilka dni z domu, wyszukiwał jakieś adresy i z żoną oraz najstarszym synem prowadził ciągle konszachty.

Zbierał papiery, dokumenty, kieszenie miał wypchane aktami, robił wyciągi hipoteczne, radził się adwokatów i przygotowywał na swoją rękę materyał, który miał mu być potrzebnym do bardzo ważnych celów.

Wobec ludzi miewał teraz minę jeszcze bardziej zafrasowaną, niż zwykle; wzdychał, oczy przymy-

kał, jakby go wewnętrzna jakaś troska nurtowała i na zapytania znajomych:

— Cóż pan taki skrzywiony, panie Szuba, jak półtora nieszczęścia?... — odpowiadał z miną człowieka, którego zbójce ograbili na środku miasta:

— A z czegoż mam się cieszyć?... z własnej krzywdy?...

Nie chciał jednak nigdy tej krzywdy bliżej określać, zbywając ciekawych słowami:

— To się pokaże, to wyjdzie na wierzch, jak oliwa!... Pan Bóg się o biedaków upomni... Alboż to niema sprawiedliwości na świecie?...

Przed czasem nie chciał się zdradzać i rozwodzić z pretensjami do losu i do tych, którzy „stoją już na Bożym sądzie“.

Półsłówkami tylko dawał do zrozumienia, że go spotkał zawód ciężki, okropny, niespodziany i to ze strony... najbliższej rodziny.

Ale honor mu nie pozwalał obgadywać swoich i uskarżać się, tem bardziej, że... no! co tam o tem gadać.

To przecież i tak o pomstę do nieba zawoła lada dzień, a niebo wtedy rozpęknie, pokryje się czarnemi chmurami chyba i zacznie ryczeć gromami z oburzenia.

Inaczej Boga by nie było na niebie, gdyby takiej krzywdy Szubów dopuścił!

Bo i jakżeż?... słyszał to kto, aby taka wujenka, która wzięła cały majątek po pierwszym mężu

swoim, Omylińskim, po rodzonym wuju Salusi, która krocie przeznaczyła na cele publiczne przez prostą próżność pośmiertną jedynie, nie dla czego innego; która za życia złote góry obiecywała i przysięgała się, że o jego robakach będzie pamiętała; żeby taka pani, taka magnatka, zapisała tylko po pięć tysięcy rubli Felisi i Malci, jako swoim chrzestnym córkom?...

Przecież to nie do uwierzenia, co?... Pięć tysięcy!... i to nawet nie gotówką na rękę, tylko jako posag, wypłacalny w dniu, w którym dziewczynki dorosną i mężów sobie znajdą.

— Nie kpiny to?... — monologował niekiedy wobec Salusi, ocierającej sobie swoje pieprzowe oczki i swój migdałowy nosek — nie skandal to?... żeby moim dzieciom zostawiać taką jałmużnę?... Alboż to już z torbami na dziady zeszli Szubowie?... A ten warunek dowcipny z wypłatą w dniu ślubu dopiero?... To przecież czysta ironia!... to się nie godzi żartować w ten sposób na łożu śmiertelnem. Kiedy chciała odczepnego nam rzucić, to mogła przynajmniej oględniej to uczynić i uszanować moją ojcowską ambicję. Cóż to, czy ja byłbym okradł moje własne dzieci, gdyby mi się było tych marnych kilka tysięcy do rąk dostało?... Ale nie, to była szykana, oczywista szykana. Niechże ją tam Pan Bóg sekunduje, stanęła na Boskim sądzie i będzie odpowiadała, kiedy ją zapytają: „A cóżes dla Szubów uczyniła?...“ Szubowie sobie tu sami pora-

dzą, nie pozwolą się skrzywdzić, o nie!... Szubowie już dużo znieśli i przecierpieli, ale dać się tak wykwitować — nigdy!... Żebym miał potem to, co się nam prawnie należy, tylko prawnie — bo ja łaski niczyjej nie potrzebuję! — żebym to miał spalić, na biednych oddać, albo nie wiem co zrobić, odbiorę, wywindykuję, wydostanę!... Poczekaj, poczekaj, to się pokaże, czy wolno swoich w taki sposób krzywdzić!... Jest przecież prawo, jest kodeks, są sądy!...

Mówił to niby spokojnie i żałośnie, chodząc po pokoju z rękoma w tył założonemi, ale w przyciszonym jego głosie tłumila się zawziętość i złość, oburzenie i głęboka uraza do nieboszczki, którą nazywał starą komediantką, skąpiczą, bez serca, bez sumienia, bez czci i wiary.

Salusia słuchała i nie śmiała zaprzeczać.

Wobec obcych wprawdzie nie pozwalał sobie pan Wenanty na tyle szczerości, powstrzymywał go jeszcze wzgląd na opinię publiczną, obalamuconą przez te „głupie gazetniska“, które robiły ze zmarłej jakąś bohaterkę, filantropkę, obywatelkę.

Tak, łatwo jej było cudzym kosztem rozporządzać się i obdarowywać ogół z uszczerbkiem rodziny!...

Szubowie nie byli nigdy egoistami, jak zapewniał w ferworze Wenus, nie myśleli też sami upominać się o swoją krzywdę, ale w imieniu całej pominiętej rodziny, nawet tej w dalszej linii.

Tak, Bogiem a prawdą, jeżeli chodziło o sprawiedliwość, to i Phalernowie słuszną mieli pretensję, i Orszowie mogliby się uważać za pokrzywdzonych, z wyjątkiem tego „czarnego dyabła“, Lolusi, razem z jej niedźwiedziem dziadkiem — (Lolusia otrzymała piętnaście tysięcy, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego?!...) — i Dranieccy, którzy byli przecież cioteczmem rodzeństwem Omylińskich, i Plackowscy, chociaż zeszedli dawno na psy i nie bardzo zasługiwali, aby o nich pamiętano, i Szyrmowie, co znowu stanowili uboższą gałąź Krokowskich — i jeszczeby się znalazło więcej takich, mających prawo do spadku po nieboszczce.

Szuba wertował całą genealogię i przypominał sobie teraz osobistości, o których istnieniu pół roku temu ani pamiętał, ani wiedziećby nie chciał, — ale dziś potrzeba było skupić jak najwięcej sprzymierzeńców, którzyby wspólnymi siłami przypuścili atak i taki krzywdzący najświętsze prawa rodziny zapis pomogli obalić.

Baron nie podzielał wprawdzie jego zdania i obruśzał się na to, że rozmazuje całą sprawę.

Do Stasia mówił też niejednokrotnie — (młodego Szubę nazywał bowiem poufale Stasiem od pewnego czasu, w dowód sympaty i zażyłości):

— Przyznam się panu, że nie rozumiem, poco ten ojciec pański zbiera tę całą hołotę i organizuje jakiś pułk familijny!... potem rady sobie nie damy z nimi. Czyś pan widział tę jego listę?... tam już

jest ~~we trzydziestu osób~~ na między niemi zbieranina ze wszystkich kątów. Wygrzebał skądciś jakieś wywłoki, urzędników, rządców, posesorów, — jest nawet podobno jakaś aktorka z prowincyi, która ma być powinowatą Omylińskich. Na co to, do czego?... To tylko zagmatwa nam bardziej sprawę.

Staś przyznawał słuszość baronowi, zwłaszcza od chwili, gdy otrzymał od kuzyna stare futro w podarunku, które kazał sobie przerobić i dodać do niego farbowany kołnierz, w którym paradował po mieście z miną tak dumną, jak gdyby całe życie chodził w sobolach.

— Ach, z tym starym! — zżymał się i usta wykrzywił — wlażła mu do głowy solidarność rodzinna i tylko kompromituje nas, ściągając takie figury. Chociaż... to może nie zaszkodzi, gdy będziemy mieli za sobą większą gromadę.

— Na co? — przerwał mu baron, podnosząc z lekceważeniem ramiona.

— No, zawsze... lepiej, że nie wystąpimy sami z akcyą wobec tej głupiej opinii, która jest zdemoralizowaną krzykactwem naszej prasy i będzie się z początku oburzała...

— Opinia!... opinia!... — z szyderczym uśmiechem powtórzył baron — pan jesteś dziennikarzem i wierzysz w naszą opinię?... Opinia jest, jak echo; powtórzy to, co się jej powie dzisiaj, a o czym zapomni jutro, gdy ją zagłuszy inny głos. Trzeba tylko umieć ją suggestyonować odpowiednio. A zre

szta, w tym wypadku, to nawet rzecz łatwiejsza, niż się zdaje.

Staś głowę przechylił, nie dzielając widocznie poglądów barona.

— Jesteś pan innego zdania, jak uważam? — zagadnął go baron.

— W ogólności nie, ale w szczególności tak — odparł. — Opinia idzie na lep frazesów, lubi szumne hasła, jaskrawe efekta, a przyznać trzeba, że w tym wypadku będziemy mieli do czynienia z trudnościami, zanim się publiczność przekona, że za gorąco sprawę brała. Za dużo hałasu narobiło się z tym całym zapisem. Mogą się na nas rzucić, że powstajemy przeciw interesom ogółu, lub że szkodziśmy sprawom publicznym. Trzeba ostrożnie, powoli, z rozmysłem działać.

— To też tak robimy, cóż pan chcesz?... wpierw próbujemy z Krokowskim; może się tego starego maniaka da przekonać, że jego utopie *pro publico bono* w rzeczywistości funta kłaków nie warte.

W tem miejscu baron głowę podniósł, wyprostował się i rezonować zaczął tonem głębokiego przejęcia się:

— Ja, drogi panie, nie chwalę się, bo nie lubię mówić o sobie, ale jeśli chodzi o uczucia obywatelskie, to mam je wyrobione wieloletniem przekonaniem, obserwacją i rozważą. Mógłbym moje wyznanie wiary złożyć w każdej chwili na publicznym rynku i choć wiem, że nie byłoby ono popu-

larne — mniejsza o to!... nie dbałem nigdy o popularność — nie zawahałbym się wypowiedzieć, że jestem zwolennikiem trzeźwego rozsądku i praktyczności. Otóż trzeźwy rozsądek nakazuje mi przede wszystkim bronić własności i egzystencji rodziny, nie szukać jakichś urojonych, idealistycznych celów, nie ryzykować na nie fortuny, zbieranej z trudem w znoju i pracy całych pokoleń. To są faramuszki, na które się zdobywają babskie przewrócone głowy, albo mózgi narwanych, niedoświadczonych ideologów, jak nieboszczka Krokowska i jej szanowny doradca, pan doktor Pniak. Ja z tego stanowiska, drogi panie, występuję jedynie przeciw takiemu testamentowi, choć mnie głupia opinia krzykaczy posądzić może o cele osobiste. Pluję na taką opinię!... ot, tak!...

Przerwał sobie, aby czynnie poprzeć swoje wniosłe słowa i splunął rzeczywiście.

— Mam swoje zasady i według nich postępuję, a w danym razie — dokończył — wytłómaczę się z tego i przekonam, że baron Phalern nie dla margosza grosza obala zapisy na mrzonki przeznaczone.

Zwrócił się nagle do Szuby i wypadając nierozważnie z tonu, dodał:

— Ot, widzisz pan, z tego punktu powinienś sprawę traktować i puścić kiedy jaki artykułik, na tym temacie osnuty!... Tobo było dobre.

— Tak, to doskonale! to wyborne! — udając,

że się zapala i przejmuje poddaną sobie idea, przytakiwał zręczny karyerowicz, ale w głębi duszy ukrywał inne przekonanie; za sprytny był, ażeby się nie poznać na rzeczywistej wartości tych zasad, wygłaszanych z pyszałkowatą frazeologią przez barona Phalerna.

Nie chciał się jednak zdradzać przed nim, że go przejrzał już na wylot, więc odgrywał w swoim rodzaju komedję łatwowierności i entuzjazmu, zacierając ręce i poprawiając włosy energicznym ruchem, jak gdyby się czuł ożywiony, zelektryzowany tymi poglądami i podzielał w zupełności zdanie barona.

— Świetne, świetne rozumowanie!... — wołał — ja palnę cały szereg artykułów w tej kwestyi, pod tytułem: „Nie łudźmy się“, albo „Marnotrawstwo filantropii“, albo coś w tym rodzaju.

Wyjmował notatnik i szybko kreślił w nim pojedyncze wyrazy, robił jakieś znaki, udawał, że ma głowę przepelnioną pomysłami, które zrodziły się z zasiewu barona; żegnał się i spieszył do redakcyi, aby wylać to całe morze społeczno-ekonomicznych rozumowań, jakby się obawiał, że go opuści natchnienie i zmarnuje tak ważną chwilę.

Do wydrukowania jednak zapowiadanych artykułów jakoś nie dochodziło; zadanie było zbyt trudne jeszcze dla Szuby, który instynktownie czuł, że z motyką nie wypada porywać się na słońce.

Odkładał to ciągle pod rozmaitymi pozorami na

później, a tymczasem puszczał tylko małe szmermele przed stanowczym atakiem.

Brakowało mu moralnej pomocy Włodzińskiego, który od kilku tygodni był niewidzialnym i niewiadomo było, co się z nim działo; nie pokazywał się ani w redakcyach, ani na czarnej kawie, ani na pilznerze w swej ulubionej knajpce, gdzie go dawniej na pewno spotkać można było co wieczór.

Drzwi jego mieszkania bywały zamknięte, a stróż domu utrzymywał, że ten pan z drugiego piętra wyjechał, ale nie umiał objaśnić, dokąd.

Widziano go któregoś dnia z Pniakiem w drodze, jadącego przez Krakowskie-Przedmieście, co Szubę zaniepokoiło, gdy się o tem dowiedział.

Byłby się jednak zadziwił i zaniepokoił jeszcze bardziej, gdyby znał był prawdziwą przyczynę tego tajemniczego znikania Włodzińskiego z Warszawy.

Nikt nie przypuszczał, że wyjeżdża on tak często do Omylina i korzysta tam z gościnności Krokowskiego, który przyszedłszy do zdrowia, dziwnie polubił jego towarzystwo i znajdował upodobanie w tym wykolejonym oryginalu.

Dalekie kuzynowstwo z nieboszczką nadawało mu pewne prawa należenia do najbliższego otoczenia wdowca, a chociaż pobyt na wsi w tej żalobnej samotni głuchego pałacu w zimowej porze nie bardzo przypadł do smaku i usposobienia Włodzińskiemu, miał jednak inny powód, czysto oso-

bistej natury, który go do Omylina ciągnął i w nim zatrzymywał.

W pobliskiej Żołędziówce bowiem bawiła Leosia, postanowiwszy całą zimę spędzić na wsi, byle nie zostawać pod jednym dachem z ojcem; uparła się i postawiła na swoim, a wszelkie perswazyje matki i rodzeństwa zamiast zmniejszyć, zwiększały tylko jej upór.

— Jesteś niepoprawna! — powtarzała jej baronowa — doprowadzisz do tego, że cię ojciec wydziedziczy... Rozdrażniasz go tylko coraz bardziej swoim postępowaniem. Ostrzegam cię, nie doprowadzaj do ostateczności.

— Bo co?... — pytała wyzywająco zacięta dziewczyna.

— Bo to się źle skończyć może!...

— Dla mnie?... wątpię. Jestem przygotowaną na wszystko. Nie dam się dłużej tyranizować... Papa może się mnie wyrzec, może mnie wydziedziczyć, ale mojej woli nie złamie i upokarzać mnie więcej nie będzie.

Bładła, oczy jej się iskrzyły, a usta zwięzały wyrazem tłumionego gniewu i zaciętości, gdy to mówiła.

— Moje dziecko, moje dziecko! nie zastanawiasz się nad tem, co mówisz! — płaczliwym głosem reflektowała ją matka. — Cóż zrobisz, jeśli ojciec... znasz go, że jest stanowczy i surowy!...

— Znam — odpowiadała krótko — ale papa

znawnie także i wie, że drażnić mnie również niebezpiecznie... Najlepiej też zostawić mi spokój i nie zmuszać do niczego, jeżeli chcecie, aby nasze sprawy rodzinne pozostały dla świata tajemnicą i nie doprowadziły do skandalu...

— Skandalu!?... Leosiu, bój się Boga, co ty mówisz!... — rozpaczliwie wołała baronowa, chwytając się za głowę.

Miłosierna i wystraszona mina matki nie wzruszała jednak córki.

Postępowanie ojca z nią od dzieciństwa zatłumiło w niej głębsze i subtelniejsze uczucia rodzinne; zdobywszy się raz na odwagę buntu przeciw tej władzy, która ją uciemniała, nie dawała się ugiąć i nawrócić do pokory, która była tylko maską i złudnym pozorem w stosunku jej z rodziną.

— Jesteś waryatka! — konkludowała baronowa, nie umiejąc sobie poradzić z nią i odjeżdżała znowu z niczem do Warszawy, zostawiając córkę w Żołędziówce. Wystraszona była jej pogroźką i onieśmielona stanowczością własnego dziecka, nad którym nie umiała zdobyć sobie należytej przewagi i wpływu, zahukana sama przez męża i pozbawiona przez niego tej godności, jaką powinna była zachować w rodzinie.

Jedynym obcym człowiekiem, którego w Żołędziówce widywała Leosia, był Włodziński, o ile przebywał w Omylinie od czasu przeniesienia się baronówny z Warszawy.

Od czasu owej rozmowy przed pogrzebem w omylińskim parku, wytworzył się między nimi stosunek, który na pozór miał cechy tylko zażyłej i życzliwej znajomości, a jednak pokrywał głębsze uczucia, których jedno i drugie nie byłoby umiało sobie należycie określić i wytłumaczyć.

Coś ich oboje pociągało ku sobie, nie zbliżając ani na krok więcej, jak wówczas, gdy po dłuższej przerwie po raz pierwszy zetknęli się ze sobą.

On widocznie lgnął do niej i szukał jej towarzystwa w tych wyjątkowych warunkach, w których jego odwiedziny nie bardzo mogły być uważane za stosowne; ona zaś pociągała go i zapraszała serdecznie, potrzebując choć jednej duszy dla siebie w tej dobrowolnej samotności, na którą się skazywała.

Rozmowy z nim nabrały dla niej szczególniejszego uroku; rozповідаła mu o wszystkim, co się jej stosunków i wewnętrznego życia dotyczyło, nie ukrywała niczego, była tak szczerą, jak przed nikim dotychczas i uczyniła go powiernikiem swoich myśli i swego serca.

— Wie pan — mówiła raz do niego — że ja sama nie umiem sobie wytłumaczyć wpływu, jaki pańska obecność na mnie wywiera; zdaje mi się, że się rozbudza we mnie jakaś druga istota, lepsza, pocziwsza, rozumniejsza nawet od tej pierwszej, która żyje z mamą, papą, Niną, Jędrusiem i całym światem. Mam takie uczucie, jak gdybym dopiero

przy panu bywała sobą, a przy wszystkich innych grała komedię, tylko nie wtedy, kiedy mnie podrażnia i kiedy jestem złą, bo ja nie zawsze jestem dobrą, wiem o tem, ale cóż zrobię, kiedy złą być muszę!... Tak mnie już wychowali i taką mnie zrobili.

Włodziński wpatrywał się w nią podczas takich rozmów i rozmyślał, uśmiechając się niekiedy z zadowoleniem.

— Znaczyłoby to — odrzekł jej — że pani przy mnie duszy przybywa i gdybym przy wszystkich moich wadach był jeszcze zarozumiałym, to patrzyłbym na siebie z dumą. Całe szczęście jeszcze, że tak mało o sobie trzymam.

— Może być — zauważyła po chwili namysłu — nie zapieram się tego: może mi i duszy przybywa chwilami, bo jej także ubywa kiedy indziej. Zawsze mi się zdawało, że ludzie są, jak książki dla mnie; jednych się nawet do rąk nie bierze i tytułu nawet nie przeczyta, drugie się tylko przerzuca, a od innych oderwać się nie można. I co więcej, są takie, przy których się zdaje, że się je kiedyś już przeczytało i znalazło w nich tyle własnych myśli!...

— Kiedy ja jestem książką bez tytułu, z wdartymi kartkami i bez ostatnich rozdziałów — wtrącił z ironią — zdefektowany egzemplarz, któregoby nawet antykwaryusz nie kupił.

— Po co się pan sam obmawiasz?

— Bo siebie przeczytałem całego i znam się, jak stary kalendarz!...

— W takim razie dlaczego pan jesteś dla mnie tą zajmującą książką, z którą mi tak dobrze?...

Uśmiechnął się jakoś dziwnie i oczy spuścił, miał widocznie ochotę podać jej rękę i złożyć na niej pocałunek zamiast odpowiedzi, ale powstrzymał ten instynktowny ruch z tem samem oniesmieniem, jakiego doznawał zawsze w jej obecności, pomimo pozornej w obcowaniu z nią swobody.

Ale w sercu jego zbudziło się coś w rodzaju wdzięczności za te słowa; uważał się za dekadenta, za żużel wypalony i bezużyteczny w życiu, stracił wiarę w samego siebie, a ona bez pochlebstwa, szczerze i dobrodusznie mówiła mu, że chyba tak źle jeszcze z nim nie jest.

W takich chwilach jednak poważniał i smutnie zwieszał głowę, jakby mu się żal robiło tej zmarowanej przeszłości, w której roztrwonił cały kapitał życia i zgodził się dobrowolnie na bankructwo.

Przeczuwał może, że tą resztką, która mu pozostała, nie potrafił się już odbić i stanąć znowu na dawnych nogach.

Sprawiło mu to jednak jakąś ulgę i zadowolenie, że w towarzystwie Leosi odnajdował resztki samego siebie, które ona oceniała nie ilościowo, ale gatunkowo, jak owe opilki złota, co złotem jednak być nie przestały.

I jemu jakoś lepiej było w tych chwilach z nią razem spędzanych i jemu się wydawało, że mu duszy przybywa, a raczej, że mu cząstka duszy powraca przy niej.

Wogóle pobyt w Omylinie wywierał na niego nader korzystny wpływ.

Od trzech miesięcy nie zaglądał nawet do kieliszka i zwalczał w sobie nałóg, który go jak fatalność prześladował.

Obcowanie z Pniakiem, z którym się zbliżył i zaprzyjaźnił jakoś bardzo szybko, podziało również dobrze na niego.

Z początku przypatrywał mu się i badał go tylko, ale potem przylgnał do niego i powiedział mu kiedyś:

— Pan, panie doktorze, podobasz mi się, bo w panu jest, panie, twardy kark, a na karku głowa. Nieboszczka miała dobry nos, że sobie pana wybrała na swoją pośmiertną prawicę!...

Pniak zaś poznał się na nim odrazu i nieprzystępny łatwo dla obcych, poczuł dla niego sympatyę i szacunek dla jego inteligencji; ujmował go nadto jego dowcip i oryginalny pogląd na wszystko, a zwłaszcza szczerość i prawosć tej natury, spękaną i rozbitej.

Patrzył na niego nadto, jako na ciekawy okaz patologiczny i podjął się nawet leczyć go, o ile to było możliwem.

Włodziński jednak śmiał się z tego, mówiąc z ironią:

— Daj pan pokój, panie, ja nie chcę być drutowanym garnkiem, wolę już pozostać całym czerpem.

Trzy razy w tygodniu, a czasem i częściej wyjeżdżał z nim do cukrowni, która o małej pół milki leżała tylko od Żołędziówki i wtedy korzystał ze sposobności, aby odwiedzać Leosię.

Doktor dorozumiewał się przyczyny tych częstych wizyt u baronówny, ale dyskretnie nie poruszał tego przedmiotu.

Włodziński wszelako znając jego usposobienie dla Phalernów, sam skierował kiedyś rozmowę na ten temat i rzekł:

— Pana to musi dziwić, że ja korzystając z gościny w Omylinie, jeżdżę tak często do Żołędziówki?... co?... dziwi pana?...

Pniak odwrócił głowę i wymijającą dał odpowiedź.

— Daj pan pokój, panie, nie zaprzeczaj — prze-rwał mu ze śmiechem — dziwisz się i basta; ale ja panu powiem, ja tam mam także moją pacjentkę, albo doktora, jak pan chcesz i jeżdżę na konsultację, tak, jak pan do swojej cukrowni.

Barona nazywał ironicznie „panem na wielkich i małych Żołędziach“, utrzymując, że trudnoby było odpowiedniejszej znaleźć dla niego posiadłości.

— To, panie, jest swojska świnia, która udaje

dzika — wyraził się raz o nim krótko a dosadnie wobec Pniaka.

Na Krokowskiego patrzył z politowaniem i z tym jakimś szacunkiem, który się instynktownie uczuwa dla wielkich smutków i bólów.

Doktor opowiedział mu całą genezę zapisu, którego właściwym wnioskodawcą był on, nie nieboszczka, bo przyznawszy się żonie, jakie zrobił votum, gdy ją wiozł z zagranicy niebezpiecznie już chorą do domu, podsunął jej właściwie myśl, którą ona później z własnej inicjatywy rozwinęła, oddając mu do rozporządzenia na cele publiczne cały majątek swój przed śmiercią i zobowiązując go do wykonania ostatniej swojej woli.

Zaprzagnęła być współniczką dzieła, które się w jego wierzącej duszy i miłującym sercu poczęło, a nadto — chciała mu zostawić wielkie jakieś zadanie, któreby mu życie dalsze bez niej wypełniło, przewidując, iż bez takiej moralnej podpory musiałby się zwalić pod ciosem, jaki mu śmierć jej zada.

Włodziński tych szczegółów słuchał z wielkiem zajęciem i uwagą.

— I cóż wy myślicie zrobić z tą kupą pieniędzy, panie? — zagadnął kiedyś Pniaka, gdy rozmawiali o sprawie zapisu.

Doktor zanim odpowiedział, poszedł do biurka i wyjął z niego tekę pełną papierów, notatek, drukowanych ustaw rozmaitych towarzystw i sprawo-

zdań, które mu widocznie za materyał służyły do ułożenia w szczegółach projektu najważniejszego zużytkowania spadku nieboszczki i rzekł:

— Myślimy dać ciemnym trochę światła, a głośnym trochę chleba. Ot, widzisz pan, tu się dopiero wylega zawiazek przyszłego dzieła. Główne zarysy nadała mu ogólnikowo sama testatorka, kładąc nacisk na wytworzenie lub poparcie takich instytucji, któreby moralnie i materyalnie podnosiły przyszłe pokolenia i zapewniały im środki normalnego, zdrowego rozwoju. Jest to nasienie w przyszłość rzucone, z którego terazniejszość na razie niewiele korzystać może.

Wziął do ręki kopię testamentu i przebiegając ją oczyma, mówił dalej:

— Niewiele miała czasu nieboszczka, aby szerzej wymotywować swoje idee, które błyskały jej w gasnącym już duchu — ale ze wszystkiego jasno przebija gorąca chęć pomocy dla maluczkich i słabych, aby pierwsi rośli, a drudzy się wzmacniali. Oświata i dobrobyt ludu, oraz wychowanie dzieci, stanowią dwa główne cele, do których osiągnięcia testament dostarcza środków, pozostawiając „ludziom uczciwym, światłym i dobrej woli“, jak się wyraża, obmyślenie najpraktyczniejszej formy uskutecznienia tych dążeń. Są tu w tym zapisie ustępy głębokie i wzruszające, które przerywanym głosem, ze łzami w oczach, sama podyktowała. Posłuchaj pan!...

www.libtool.com.cn
Usiadł przy biurku i zaczął czytać:

— „Jakkolwiek schodzę ze świata bezdzietną i nigdy nie zaznałam rozkoszy macierzyńskich, czuję całe znaczenie i całą odpowiedzialność świętych obowiązków rodzicielskich, od których dobrego wykonania zależy przyszłość nie tylko rodzin, ale całego społeczeństwa. Pragnęłabym przeto, o ile możliwości, ułatwić to trudne a tak ważne zadanie matkom i ojcom, pozbawionym dostatecznych środków do starannego i dobrego wychowania ich dzieci; co więcej, pragnęłabym właśnie obok moralnej zachęty, pozostawić i materyjalną niejako nagrodę tym, którzy w trudnych warunkach dowiodą, że potrafili dzieci swoje obyczajnie, bogobojnie, przykładowie i pożytecznie wychować, wyprowadzając je na ludzi i przygotowując należycie do walki z losem i przeciwnościami życia. Oprócz tedy zapomogi i stypendyów dla synów i córek niezamożnych rodzin średniego stanu, a szczególnie pochożenia ludowego, chciałabym nadto przeznaczyć pewien fundusz na premia niejako dla tych ojców, matek i wychowawców, którzy będą mogli wykazać jak najdodatniejszy wpływ swój na rozwój moralny i umysłowy własnych lub powierzonych ich opiece dzieci. Nie wiem, jakby to zrobić należało, ale rzucaam tylko myśl, którą dokładnemu zbadaniu wykonawcom mojego testamentu poruczam“.

Włodziński pykał dym z papierosa i z nogą na

nogę założoną siedział w rogu kozetki, kiwając głową.

— Hm, hm!... — mruknął półgłosem — idealistka, panie!... to coś w rodzaju nagrody Montyona... ale kto wie, możeby to i poskutkowało. Skoro, panie, za wyhodowanie okazowego konia, owcy czy cielaka rozdają medale na wystawach, czemużby nie miano nagradzać wychowania okazowego człowieka!?

Kiwał się i poruszał brwiami, wpatrując się w Pniaka, który przeglądał dalej testament, aby mu z niego ważniejsze ustępy jeszcze przeczytać.

We wszystkich przebijała poczciwa, humanitarna, głęboko odczuta myśl filantropki i dobrej obywatelki; wszędzie odzywało się współczujące serce, które pragnęło poprawić dolę i warunki bytu swoich bliźnich, aby zmniejszyć nędzę, która znieprawia i ciemnotę, która hamuje postęp.

Nieboszczka przyznawała się, iż z ludem żyła mało, ale sąsiadując z nim przez całe życie, obserwowała go nieustannie i miała blisko obok siebie wymowny przykład, ile w tej surowej rudzie szlachetnego mieści się metalu, który tylko umiejętnie wydobyć i zużytkować dla pożytku ogółu można i należy.

Miała tu niezawodnie na myśli Pniaka, chociaż dyskretnie nie wymieniała jego nazwiska, oszczędzając jego skromność.

„Zacieśniona sfera życia i pracy naszego chłopca —

mówiła w jednym miejscu — zatrzymuje go w małym obrębie, jakby w deptaku codziennych zajęć i kłopotów, nie pozwala mu rozwinąć i zużytkować przyrodzonych jego zdolności, trzyma nieustannie na uwięzi materyalnych głównie potrzeb i czyni go niewolnikiem tego chleba, na który w pocie czoła swego pracuje. Przekonaną też jestem, że marnują się tam i zmarnowały dotychczas zasoby siły, wrodzonej inteligencji, talentów i lepszych instynktów, jak owe światła pod korcem trzymane, które nie mając dostępu powietrza, tłumią się i gasną z krzywdą dla siebie i ze szkodą dla drugich.

„Niechże część mojej ofiary, stosunkowo niewielkiej do potrzeb ogółu, pójdzie i na ten cel: wydobywania chociaż wyjątkowo uzdolnionych jednostek z owej sfery i ułatwiania im drogi ku doskonaleniu się, oświecaniu na chlubę swojej a na pożytek wyższej warstwy społecznej“.

Przechodząc do praktycznego zastosowania swoich fundacyi, wyrażała chęć założenia w dobrach swoich szkół rolniczych, wzorowych gospodarstw, stacyi doświadczalnych dla ludu, któryby naocznie mógł się przekonywać o ulepszeniach wszelakich, uczyć i zastosowywać uzyskane wyniki potem na własną rękę, zachęcany dobrym przykładem i ułatwioną pomocą.

W zakończeniu testamentu wyrażała wielki żal, że sama już nie będzie mogła przyłożyć ręki do urzeczywistnienia tych pomysłów i że schodzi ze

świata w chwili, w której z objawienia Bożego powzięła powyższe postanowienia, ale wykonanie ich komu innemu powierzyć musi.

Pniak odczytywał wrywkami ustęp za ustępem z obszernego zapisu i znać było, że się coraz więcej przejmuje ich treścią; oczy mu błyszczały i twarz ożywiała się, nabierając wyrazu stanowczości i zapалу.

— Zdawało mi się, że znałem dobrze nieboszczkę za życia — rzekł, składając papiery do teki — ale dopiero po śmierci nauczyłem się ją cenić należycie. To była niepospolita dusza w tej niepozornej kobiecie!...

Włodziński wstał i w milczeniu zaczął się przechadzać po pokoju, skubiąc swoje wąsy i kneblik.

— Tak — odezwał się po chwili — to była kobieta niepospolita, ale wiesz pan co?... niepospolitszym, panie, będzie mężczyzna, który to wszystko do skutku doprowadzi... Winszuję panu tej zaszczytnej misyi, ale nie zazdroszczę. Masz pan nielada łamigłówkę do rozwiązania!...

— No, przecież nie jestem sam! — przerwał mu doktor — jest przedewszystkiem ogólny dożywotnik, Krokowski i w tych dniach mamy zebrać całą radę z ludzi doświadczonych i rozsądnych, którzy wspólnie z nami obmyślą plan działania.

Przez usta Włodzińskiego przemknął uśmiech.

— Komitecik, co?... — spytał z jakąś złośliwą miną. — A no, próbuj pan!... radźcie, suszcie sobie

głowy, próbujcie, może wam się uda. A dużo też panu wyznaczyła nieboszczka za tę fatygę?

Doktor zachnął się urażony.

— Cóż znowu!... to przecież obowiązek honorowy.

— Aha!... a innym także tyleż przeznaczyła?...

— Rozumie się!... któżby sobie za takie rzeczy płacić kazał?!...

— Kto? ci wszyscy, którzy nie mają czasu na stracenie. Pan, panie, dotykałeś się kiedy podobnych spraw *pro publico bono*?... nigdy?... No, to jako nowicyusz, przygotuj się na rozczarowanie. Bo to, panie, sprawa publiczna, to jest niby duży ogień na otwartym placu, a przy nim pieką się najczęściej prywatne pieczonki na rozmaitych rożnach. Są tacy, co przy tym ogniu stają na straży dobrowoli i bezinteresownie — naturalnie, że są, ale poza nimi i obok nich...

Machnął ręką i znowu zaczął chodzić dużymi krokami.

— Et, co ja tam będę panu przed czasem psuł iluzję! — mruknął z grymasem — rób pan, panie, swoje i basta!... To panu tylko powiem, że na Krokowskiego w tym względzie wiele nie licz.

— Dlaczego?...

— Bo to biedna, nieszczęśliwa ruina, nie człowiek. Kaleka, melancholik i zdaje mi się, panie, że...

Nie dokończył, ale Pniak dopowiedzieć sobie

musiał w duchu za niego resztę, bo brwi ściągnął, czoło schmurzył i sposepniał.

Widział to dobrze, jako lekarz, że z Krokowskim źle się działo od śmierci żony.

Cios był zbyt silny i zgnębił go za bardzo.

Chwilami tylko się ocucał, galwanizował, budził z tej cichej apatyi, w jakiej teraz był pogrążony od czasu powrotu do zdrowia — ale znać było w nim wielką i niepomyślną zmianę.

Godzinami całemi przesiadywał teraz w fotelu, zapatrzony przez szyby okna na zaśniewiony kraj-obraz i w takiej zadumie zdawał się obojętnieć na wszystko.

Wyciągnąć go nie można było z pokoju, w którym nieboszczka umarła.

Spokojny był na pozór i obojętny, ale ten spokój zapowiadał coś złego.

Wieczorami siadał w salonie do fortepianu i pociemku grywał nieraz do późnej nocy.

Pniak musiał go przemocą prawie wyprowadzać do światła i ludzi.

Prosił się go, jak dziecko, aby mu jego dumań nie przerywał i pozwalał siedzieć w beczynności.

Za dnia zapuszczał rolety i w takim sztucznym zmroku spędzał całe godziny, udając, że drzemie, byleby go tylko nie wrywano z tego stanu apatyi, który był jakby duchowym letargiem.

II.

Pomimo wszelkich uwag ze strony syna i niezadowolenia barona, pan Wenanty Szuba robił swoje; uparł się, aby stworzyć ligę niezadowolonych, pokrzywdzonych, wydziedziczonych i tworzył ją w imię sprawiedliwości, z obowiązku sumienia, które mu powtarzało:

— Wenanty, ujmij się!... Wenanty, pokaż światu, co umiesz!... dowiedź ludziom, że ci na sercu leży los rodziny twojej, nie pozwalaj krzywdzić siebie, swoich dzieci i krewnych, choćby najdalszych, odwołaj się do prawa, przywróć porządek!... Ty jeden to możesz, powinienes to zrobić, nie przez interesowność, nie dla marnego grosza, o nie!... znają cię przecież, żeś nigdy nie był chciwy i nie pożył cudzego mienia, ale przez wrodzoną ci szlachetność i prawość charakteru, przez dobre serce, które się krwawi na widok tej niesprawiedliwości, jaką tobie i innym wyrządzono!...

W ten sposób przemawiało sumienie pana Wenantego i usnąć mu spokojnie nie pozwalało.

Testament Krokowskiej ciążył na jego szlacheckiej duszy, jak zmora, przygniatał mu serce czułe i tylko dla prawdy bijące, jak kamień młyński, klół jego wrażliwe sumienie, jak cierni.

On się przecież badał, przecież się obliczał ze sobą i doszedł do przekonania, że gdyby nawet dostał był na rękę posagi swoich sierotek (w zapale uśmiercał *à conto* siebie i żonę, dla większego efektu), to i tak nie powinienby był zamilczeć i pozwolić na przyjęcie podobnie niehumanitarnego rozporządzenia nieboszczki.

Czyżby się dał przekupić jakimiś tam marnymi dziesięcioma tysiącami, skoro jego Salusia miała prawo do pięćkroć większej sumy?... Nigdy!... Do śmierci byłby nosił w duszy okropny wyrzut i nie miałby spokoju przy skonaniu.

A zatem musiał usłuchać głosu sumienia i głosu obowiązku.

Baron niech sobie występuje we własnym imieniu, baron jest sobek, jest chciwiec, o!... na baronie poznał się dobrze, nie od wczoraj, ale mu tego nie mówi, bo nie chce z nim zadzierać, zwłaszcza teraz, odkąd się zajął Stasiem i okazuje mu niby wielką życzliwość.

Po co ma zrażać sobie barona?... Bogiem a prawdą, mógłby on cicho siedzieć i nie myśleć o korzystaniu z milionowej schedy, bo się za życia

Krokowskiej dosyć nawyzyskiwał jej kredytu; ma przecież własny majątek, choć zaszargany, ale kto mu kazał porywać się na spekulacye i wikłać w przedsiębiorstwa, na których się nie zna?...

Ale niech go Pan Bóg sekunduje!... chce drzeć łyka, niech drze.

Szuba w imieniu własnem nigdyby nie poruszał popiołów nieboszczki w grobie, sam nie kwestyowałby jej ostatniej woli, choćby mu przyszło z biedną Salusią i wszystkimi sierotami pójść z torbami o żebraczym chlebie, ale Szuba musi, powinien wystąpić w imieniu tych biednych, maluczkich, zubożałych spadkobierców, w imieniu linii podupadłej Omylińskich i Orszów.

Im się należała ta przysługa i opieka z jego strony.

Powtarzał to tyle razy, że wmówił w siebie i drugich, iż jest przedstawicielem tylko ubogich krewnych, prawa, sprawiedliwości i obowiązku.

Bogaci, jeżeli chcą, mogą się sami upominać o swoje, mają po temu środki i wpływy — biedni nie mają nikogo, tylko Pana Boga w niebie a Szabę na ziemi i Szuba ich nie zawiedzie!...

Byłby psem, byłby kamieniem nieczułym, zimnym, obojętnym, byłby ostatnim szuja, gdyby im nie dopomógł i nie poradził w takiej chwili do ocalenia fortuny Omylińskich, którą nieboszczka po pierwszym mężu w całości zagarnęła.

— Na Boskim sądzie będzie za to odpowia-

dała!... — powtarzał z goryczą, wznosząc swoje wylupiaсте i wilgotne oczy w górę — chciało się jej być wielką filantropką, dobrodziejką, bohaterką kosztem biednej rodziny?... O, nie!... tego Pan Bóg nie dopuści, na to ja nie mogę pozwolić.

Przedewszystkiem ze względu na Salusię, która się rodziła z Omylińskich i jak baronowa ze strony Orszów, tak ona ze swego tytułu miała największe prawa, a po niej zaraz Dranieccy, a potem Plackowscy, a potem Szyrmowie, a potem reszta.

Draniecki od dwudziestu kilku lat był urzędnikiem jakiegoś banku i, co prawda, nie pamiętał o tem, że z Omylińskimi łączyło go pokrewieństwo; nie zgłaszał się do nich, nie przypominał, nie narzucał.

Zapracowany, chory, skwaszony, zgięty po całych dniach nad księgami w biurze, a całymi wieczorami, do późnej nocy, nad papierami w domu, które odrabiał za kolegów, pozołkł, zmarszczył się, skurczył, stetryczał, w życiu pełnem niewdzięcznej pracy dla wyżywienia siebie i czworga dzieci.

Szuba odszukał go, odnowił z nim dawną znajomość i zawrócił mu głowę spadkiem, którego przeznaczenie na jakieś tam cele publiczne byłoby nadużyciem, o pomstę do nieba wołającym.

— W waszem położeniu — przekładał mu — nie wolno wam tego lekceważyć!... starzejecie się, pracujecie, wątroba was boli, wyglądacie, jak wosk,

jak cytryna, zdrowia nie macie, a z tej pensyi...
ile wam płacą?

— Tysiąc rubli.

— No, moi drodzy, tysiąc rubli rocznie!...

— I gratyfikacya.

— Chociażby!... gdzie z tego wyżyć i wykarmić cały dom?!... Nie, słuchajcie mnie, niema innej rady, tylko upomnieć się o to, co się wam prawnie należy. Matka wasza była najczystszej krwi Omylińską, Omylińską na Omylinie, macie zatem święte prawo do schedy!...

Draniecki wypieków dostał, słuchając dłużej wywodów Szuby, który mu jak na dłoni wykazywał, że co najmniej na jego część powinnyby wypaść ze trzydzieści tysięcy.

— Niechby dwadzieścia! — godził się już zbiedzony urzędniczyna, któremu nadzieja poprawienia losu oczy roziskrzyła i zastygłą krew rozgrzała.

— No, niechby dwadzieścia! — przyzwalał wspa-
niałomyślnie Szuba, chociaż z trudnością dopuszczał to ustępstwo.

— Niechby piętnaście, Boże drogi! — spuszcza-
jąc z wygórowanych żądań, wtrącił nieszczęśliwy ojciec czworga dzieci, ale Szuba nie dozwalał na tak szybką rezygnacyę i ściskając go za ramię, wołał:

— Nie, co najmniej dwadzieścia, co najmniej dwadzieścia! ..

Draniecka, czterdziestoletnia brunetka, dobrze

jeszcze zachowana, z dużą pretensją do świetnej niegdyś urody, którą wniosła mężowi w posagu — zmanierowana, przesadna, mająca pretensye do świata i wzdychająca nieustannie do tego wszystkiego, czego jej przy mężu brakło, stanęła odrazu po stronie Szuby i czepiła się tej nadziei poprawienia sobie losu z łatwowiernością kobiety, przywykłej przez całe życie budować zamki na lodzie.

— Ależ, mój Józiu, spodziewam się, że wystąpisz natychmiast do sądu i usłuchasz rady pana Szuby! — wołała z przejęciem. — Tyle razy ci powtarzałam, abys nawiązał stosunki z rodziną swoją, ale ty wolałeś pleśnieć w swoim biurze i żyć z byle kim!... Odsunąłeś się od nich, więc cię zapomnieli. Naturalnie, ty zawsze byłeś sam sobie winien!... Nie umiałeś się nigdy upomnieć o swoje, co ci się należało i pozwalałeś odsuwać się zawsze i wszędzie; ale teraz, spodziewam się, mój Józiu, nie każesz chyba mnie znowu w tak ważnej sprawie chodzić samej po sądach i adwokatach, jak to ty umiesz!...

Przy sposobności wysypała całą torbę wyrzutów i żalów na swego Józia, obwiniając go wobec Szuby o brak wszelkiej energii i praktyczności w życiu, odsłaniając za jednym zachodem wszystkie tajemnice domowe i rodzinne, z których się okazało, że gdyby nie ona ze swoją głową i zaradnością, to Bóg wie, co by się z nimi do tej pory już stało.

— Córki podorastały, chłopcy kończą szkoły — opowiadała Szubie — trzebaby dziewczęta w świat

wprowadzić, za mąż wydać, przydałby się jaki taki posag dla jednej i dla drugiej, a z czego wziąć?... Ta pensya ledwie starczy na życie. Od siedmiu lat nie podwyższyli mu ani o grosz jego płacy w banku, pomimo tego, że wszyscy młodszy jego koledzy awansują, ale albo to się przypomni, albo to się ujmie za sobą!... Gdybym nie była sama chodziła do dyrektora i swoimi wpływami wyrobiła mu tę marną podwyżkę, bylibyśmy do tej pory siedzieli na siedmdziesięciu rublach miesięcznie!... No, niech pan powie, czy to mężczyzna!...

Zwierzyła się odrazu Szubie ze wszystkiego, traktując męża z góry ze zbyt widocznem lekceważeniem i przechwalając się swoją nad nim przewagą, swoimi wpływami, stosunkami, znajomościami.

— Doprawdy, nie wiem, jak mam panu być wdzięczną za ten dowód życzliwości i pamięci o nas! — mówiła do niego z przesadą — toż to z nieba nam spada taka pomoc!... O, niech pan będzie spokojny, już ja Józia przypilnuję, już ja się tem zajmę!... — zapewniała go ze stanowczością i z miną pewną siebie. — Jeżeli trzeba będzie poparcia, to się znajdzie!

Mówiła to z jakimś tajemniczym, dwuznacznym uśmiechem, rzuciwszy spojrzenie obu córkom, dorodnym i nad wiek wybujałym pannom, które widocznie po matce odziedziczyły wdzięki wraz z ca-

łym sposobem zachowania się, rozrzuconym, wyzywającym i nadto swobodnym.

— Mamy znajomości, Bogu dzięki, we wszystkich sferach, prawda?... — wtrąciła, zwracając się ku nim znowu z tym samym wyrazem porozumienia i pewności siebie.

Panny odpowiedziały jej uśmiechem i wielce charakterystycznym:

— Ho, ho!... to się zrobi.

— Już my sobie radę damy! — dorzuciła matka, zerknąwszy w lustro, w którym odbijała się jej korpulentna, wysznurowana figura z wydatnym biustem, jej okrągła twarz, podmalowana dosyć znacznie i odmłodzona sztucznie przy użyciu kosmetyków, pudru i bielidła.

Józio milczał i przysłuchiwał się rozmowie żony z jakimś wyrazem zakłopotania i niezadowolenia — wydawał się zmieszany tym sposobem traktowania swojej połowicy wobec Szuby, którego znał dotąd niewiele i spotykał rzadko, jakkolwiek do jednej należeli rodziny.

Draniecka pokazała album gościowi, którego zaczęła nazywać już kuzynem i wymieniała mu nazwiska osób znanych w mieście: wysokich urzędników, adwokatów, literatów, finansistów, przemysłowców, jak gdyby popisywać się przed nim chciała temi firmami, dając mu do poznania, że posiada rozgałęzione i liczne stosunki, co przy skromnej

www.libtool.com.cn
pozycyi męża, jako oficjalisty bankowego, wyda-
wało się dosyć zagadkowym i podejrzanem.

— Zna się trochę ludzi, prawda?... — powta-
rzała z uśmiechem zadowolenia. — Widzi kuzyn,
że plecy się znajdują. Żebyśmy tylko mogli prowa-
dzić dom na trochę lepszej stopie, mielibyśmy sam
dobór znajomości, ale cóż!... środki nie pozwalają
nam przyjmować i żyć tak, jakby należało. Józio
o to nie dba i nie stara się, więc też z Klocią
i Minią bywamy tylko wszędzie same, bez niego,
aby nie potrzebować zapraszać do siebie.

Westchnęła z politowaniem i zamknęła album,
przymrużając oczy z wyrazem wymuszonej rezy-
gnacyi.

Szuba z tej pierwszej wizyty wyszedł zadowo-
lony; pozyskał adherentów w Dranieckich i odtąd
z panią Józefową głównie prowadził dalej sprawę.

Dowiedział się, że i młody baron należy do zna-
jomych pani i panien, jakkolwiek jego fotografii
nie zauważył wcale w albumie, ale na wspomnienie
Phalernów panna Klocia jakoś za bardzo się zaru-
mienila i odwróciła swą czarną główkę zmieszana,
a matka z uśmiechem objaśniła go, że Jędrus „to
feblik Kłoci“.

— On tu nawet czasem do nas zachodzi — do-
dała, chrząkając — poznali się zeszłego roku na
ślizgawce.

Szubie jednak ten uśmiech matki i ta zmieszana

mina panny Kłocić wydały się trochę podejrzane, ale powiedział sobie:

— Ostatecznie, co mnie to obchodzi!...

Kiedys nawet idąc już o zmroku do Dranieckich, natknął się w bramie na jakąś parę, która nagle odskoczyła od siebie i rozeszła się szybko w dwie przeciwne strony.

W młodzieńcu poznał przy świetle latarni, wi-szącej w sieni, młodego barona, zaś pode drzwiami napotkał zdyszana pannę Kłocię, która go wyprze-dzała na schodach i jakby się do czego złego po-czuwała, zaczęła mu się zaraz sama usprawiedli-wiać, że ją Jędrus do domu odprowadził, ale nie chciał wejść na górę, bo się spieszył do teatru.

— Mój panie, tylko niech pan przy ojcu nie wspomina, że nas pan spotkał w bramie — popro-siła go wkońcu, co mu się także dziwnem wydało, ale powiedział sobie znowu, że go to nie ob-chodzi i że te tajemnice panięńskie nie należą do sprawy spadkowej, więc nie był nawet ciekawy dowiedzieć się, dlaczego panna Kłocia przed ojcem ukrywa swoje spotkanie z młodym Phalernem, cho-ciaż mu to później sama wyjaśnić przyrzekła.

Gdyby był częściej wieczorami przychodził do Dranieckich, byłby zapewne niejednokrotnie jeszcze w tem samym miejscu spotkał pannę Kłocię z jej „feblikiem“ sam na sam i byłyby się jeszcze bar-dziej dziwił tym przypadkom, które ich codziennie prawie o jednej porze sprowadzały na ulicy.

Dla Dranieckiego zaś wiadomość o tych pozadomowych stosunkach starszej córki byłaby taką samą niespodzianką, jak wiele innych rzeczy, które pozostawały dlań tajemnicą, ukrywaną przed nim, jako przed ojcem i mężem, wykluczonym prawie zupełnie za nawias działalności żony i dzieci.

Oddawna bowiem przestawano się z nim pod tym względem liczyć w domu; uważano go za tetryka, zrzedę, dziwaka, któremu nie warto było opowiadać się z tego, co się robi, gdzie się bywa, z kim przystaje, aby nie słuchać jego nudnych uwag i nie dopuszczać do badań.

Draniecka sama wdrożyła dzieci, a zwłaszcza córki, do takiego postępowania z „głową domu“, przestrzegając je za każdym razem:

— Tylko ojcu nic nie mówcie, bo wiecie, że za-raz będzie kazanie!...

Wyrobiła mu zresztą, tak samo, jak u ludzi obcych, w najbliższem otoczeniu opinię mantyki, śledziennika, który musi jedynie krzywić się na wszystko, ganić, dogadywać i sprzeciwiać bez powodu.

— Gdybyście ojca słuchały — mawiała do córek — nie widziałybyście ani świata, ani użyły jakiej przyjemności, tylko marynowały się w domu i cerowały pończochy po całych dniach... Albo on kiedy pomyśli o tem, co nam potrzeba!... jemu się zdaje, że my możemy chodzić w jednej sukni cztery

lata, tak jak on w swoim popielatym garniturze i bez rękawiczek.

To prawda — jemu się wydawało, że z tego, co zarabiał ciężką pracą w biurze i w domu, można opędzić wszystkie wydatki i zaspokajać wszystkie potrzeby i chociaż żonie oddawał sumiennie cały zarobek miesięczny, a sam nieraz całymi tygodniami chodził literalnie bez grosza w kieszeni, słuchać musiał jednak ciągle utyskiwań i wyrzutów, że nie dba o dom, że się nie pyta, z czego mają żyć, ubierać się i spłacać długi, zaciągane nie tylko w piekarni, sklepikach, u sąsiadów, ale nawet u służ.

Mimo to jednak, jakimś niezbadanym dla niego sposobem, żona i córki, na oko przynajmniej, zachowywały pozory nie tylko pewnej zamożności, ale względnego nawet zbytku; ubierały się modnie, stroiły nawet, miały pełne szafy i szuflady przeróżnych gałganków i fatałaszków, bywały przynajmniej raz na tydzień w teatrze, chodziły na koncerta, odczyty, zabawy, wprawdzie bez niego — i przy tej „nędzy“, na którą się żona ciągle uskarżała, prowadziły życie wcale wygodne i przyjemne.

Niekiedy ten zagadkowy tryb życia zastanawiał jego samego i wydawał mu się wielką sprzecznością z właściwym stanem ich interesów i położeniem, na które żona wечно utyskiwała.

— Skądże znów macie bilety na operę? — pytał

www.libtool.com.cn
nieraz, dowiadując się w ostatniej chwili, że Klocia i Minia wybierają się z matką do teatru.

Pani Józefowa wydymała wtedy usta, marszczyła brwi i dość szorstko odpowiadała mężowi:

— Skąd mamy, to mamy, tyś nam przecie nie kupił!...

— A rozumie się, żem nie kupił, bo nie mam z czego; wołałbym szewca zapłacić za podziółkę, żeby nie przysyłał codziennie po trzy razy o głupiego rubla! — odpowiadał wówczas markotny i podrażniony.

— No, to kiedyś nie kupił, to się nie wtrącaj!... Przy tobie, jak rok długi, nie miałybyśmy żadnej rozrywki. Bądź kontent, że nie dajesz na to!...

Tak samo zbywano go niczem, gdy się dopytywał o pochodzenie nowych okrywek albo kapeluszy, spostrzeganych nagle na żonie lub córkach; kazano mu być cicho i nie wtrącać się, skoro z własnej kieszeni niełożył na to, aby dziewczęta nie wyglądały, jak strachy na wróble i w zeszłorocznych czupiradłach na głowie nie wystawiały się na ludzkie pośmiewisko.

Schylał głowę i mruczając pod nosem, zabierał się do roboty, przekonany do połowy tylko tą racją, że nie ma prawa wglądać w tego rodzaju sprawy, skoro nie dostarcza środków na potrzeby żony i córek.

Powoli przywykał do takiego stanu rzeczy i aby nie mieć „piekła w domu“, udawał, że nie zwraca

na nic uwagi; dobrze mu z tem było, że nie potrzebował jeszcze więcej kłopotać sobie głowy, skąd wziąć na załatanie wszystkich dziur domowego budżetu.

Draniecka zaś z wyższością, lekceważącym tonem odzywała się do niego przy dzieciach:

— Gdyby nie moja głowa, pozwoliłbyś nam wszystkim boso chodzić!... Ja nie wiem, doprawdy, za co mnie Pan Bóg pokarał takim mężem?!... Mogłam była zrobić los i być dzisiaj panią całą gębą, w powozach jeździć, żebym nie była poszła za ciebie!

Na czem właściwie opierała te twierdzenia i pretensye, Bóg raczył wiedzieć, bo wychodziła za mąż, jako córka zbankrutowanego kupca, który przed wierzycielami uciekł za granicę i przepadł gdzieś bez wieści.

Nadzieja spadku, która weszła razem z Szubą do domu Dranieckich, sprawiła na pani Józefowej i obu pannach wrażenie podniecające; uczepiły się tej myśli, że mają prawo do pozostałej fortuny i wyobrażały sobie, iż przypadający na nie dział stanowi cały majątek, który odrazu postawi je na wielkiej stopie.

Przesadzały umyślnie w obliczeniach tej przypuszczalnej sumy i na wszystkie strony opowiadały o krocicach, które im się należą.

Układały już z góry plany tak szczegółowe na przyszłość, jak gdyby wynik „procesu familijnego“

nie ulegał żadnej wątpliwości, a owe tysiące, należne spadkobiercom z linii Omylińskich, czekały na nie już w depozycie.

Wytworzyły sobie całą legendę, którą codziennie upiększały szczegółami z własnej fantazyi i rozповідаły ją swoim znajomym i przyjaciółom z taką pewnością siebie i takim głębokim przekonaniem, że powoli same uwierzyły nie istniejącym faktom.

Jedno im tylko przeszkadzało do zupełnego zadowolenia, a mianowicie to, iż musiały się zbliżyć znowu do Plackowskich, którzy pozostawali wprawdzie w bliskim kuzynowstwie z Dranieckim, ale żyli w naprężonych stosunkach z jego żoną.

Pani Józefowa nazywała ich „plotkarzami“ i „hołotą“, „familijką męża“ z przekąsem, dlatego, iż byli podupadli i nie używali, jej zdaniem, dobrej opinii.

Plackowski, który miał siostrę cioteczną Dranieckiego za sobą, przeputał cały majątek swój razem z niewielkim posagiem żony i zrobił się ptakiem niebieskim na bruku Warszawy; mówiono o nim, że niema tak brudnej sprawy, do którejby rąk nie przyłożył, że się utrzymuje z szulerki i z rozmaitych bardzo podejrzanych zarobków, że powinien w kryminale siedzieć oddawna, bo go posadzano przed kilku laty o ukradzenie pugilaesu z paltota jakiegoś gościa w cukierni, w której ogrywał w bilard młodych ludzi i „naciągał frajerów“.

Podobno były dowody nawet, iż dwa razy sfał-

szował, weksel na kogoś, tylko w ostatniej chwili zdołał tę sprawę zatrzeć i wymknąć się z pod odpowiedzialności sądowej.

Na pozór jednak przedstawiał się gładko, ujmująco, jako człowiek z lepszej sfery, dobrze ułożony, tylko ze zrządzenia losów wykolejony i nie mogący pochwycić równowagi.

Miał lat około pięćdziesięciu, ale wyglądał znacznie młodziej; nosił się z pewną pretensją do elegancyi, chociaż go widywano późną jesienią w lekkiej okrywce wyszarzanej i w garniturze wiatrem podszytym, ale zawsze w cylindrze i lśniąco białych kołnierzykach, przypinanych do półkoszulka podejrzaną całości.

Kołnierzyki bywały często papierowe, a cylinder mocno sfatygowany, lecz gładzony co rano nader starannie szczotką od butów i nakładany na głowę, lśniąca kruczym jeszcze włosem, układanym z kieteryą przystojnego niegdyś mężczyzny.

W ciągu roku zresztą przechodził rozmaite zmiany i przybierał fizygnomię, zastosowaną do stanu swoich interesów; gdy mu się udało naciągnąć kogo i obłowić, poznać to zaraz było można po jego wyglądzie.

Sprawiał sobie w tanim magazynie ubiorów letni garnitur, kupował bieliznę, nosił rękawiczki i wydobywał z lombardu zegarek z pozłacaną dewizką, a na palec wkładał pierścionek z fałszywymi brylantami.

Znajomi jego i przyjaciele mówili wtedy o nim:

— Karambol wygarnął gdzieś flotę!... — albo:

— Oho, Karambol się obłowił!...

Nazywano go Karambolem ze względu, że celował w tej grze na bilardzie i po rozmaitych górkach „obłuskiwał z fajglów“ swoich partnerów, ile razy był „w sztosie“.

Kręcił się po całych dniach i nocach w kółkach podejrzanych osobistości, szulerów, szlifbruków i pasożyków rozmaitego rodzaju, z którymi miewał wieczne konszachty, interesa i schadzki po ulicach, cukierniach, restauracjach, gdzie go już znano, jak zły szeląg.

Żona z córką szesnastoletnią trudniły się z biedą robieniem papierosów, które blada, mizerna, anemiczna, ale przystojna dziewczyna roznosiła sama po stałych klientach.

Mieszkali co pół roku, co kwartał nieraz w innej stronie miasta, bo ich najczęściej wyrzucano za nieopłacane komorne z lokalu i kiedy już bieda bardzo przyciskała, znajdowali się często na bruku literalnie bez grosza, dopóki Karambol swoim sprytem i jaką ryzykowną kombinacją nie wytrzasnął skąd paru rubli.

To życie z dnia na dzień, życie bez jutra, w ciągłym borykaniu się z biedą, graniczącą niekiedy z nędzą, ciągnęło się jednak od wielu lat i spychało moralnie i materyalnie coraz niżej Plackowskich.

Karambol zastyszawszy coś przypadkowo o akcyi spadkowej Szuby przeciw testamentowi nieboszczki Krokowskiej, zgłosił się do niego sam i rozpoczął od wyrzutu:

— A, tego się po wujaszku nie spodziewałem!... tak ludzie zacni i honorowi nie robią!... Jakżeż można o sobie pamiętać, a o najbliższych swoich zapominać?... Cóż to wujaszek się Plackowskich już także wyrzeka, jak cała szanowna familijka?...

Nazywał go wujaszkiem, chociaż nie wiadomo, z jakiego tytułu, bo z Szubami nie pozostawał w żadnym stosunku pokrewieństwa.

— Przecież jabym wam tam wielkiego uszczerbku nie zrobił — mówił z uśmiechem — niechby mi tylko dodali to, co mi się należało jeszcze do posagu żony, który był hipotekowany swojego czasu na Omylinie, a skwituję z reszty. Gotów jestem nawet odstąpić moje prawa natychmiast. No, niech no wujaszek nad tem pomyśli! Dalibóg, jest interes do zrobienia, a nie zapieram się, że mi w tych czasach gotówki dyabelnie potrzeba. Mam jeden projekcik, jak złoto, tylko potrzebuję do niego trochę forsy. Jakżeż?... zrobimy układ?... Dam się naciągnąć, jakem szlachcie!...

Szuba się krzywił i kręcił, nie w smak mu była ta wizyta i ten ton; byłby się najchętniej pozbył Plackowskiego, od którego zawsze trzymał się z daleka, ale wiedział, że niełatwa będzie z nim sprawa.

— Co pan tam wyjeżdżasz z posagiem żony! —

przerwał mu niechętnie — przecież go chyba ze dwa razy już dawno wzięłeś. Albo to nie pamiętam?...

— Dobrodzieju!... wujaszku!... ojczcie kochany!... — zaczął z urazą Karambol — a pfe!... tegom się nie spodziewał!... *Et tu Brute contra me?*... Żeby to jeszcze kto obcy tak mówił, ale swój, ale kuzyn!... Ja mogę czarno na białem udowodnić, że mi posag obcięli; są papiery, żyją jeszcze ludzie, mogą zaświadczyć. Na Omylinie ojciec mojej żony miał trzydzieści tysięcy jeszcze za życia nieboszczyka Omylińskiego, pierwszego męża Krokowskiej, a z tego mnie się po ślubie jedynie dostało...

— Co się dostało, to się dostało!... niema o czym gadać!...

— Nie, bo znowu albo z tej beczki, albo z innej zaczniemy — próbował przekładać mu Karambol — ja nie przychodzę się prosić, ani narzucać. Przypominam się tylko. Chcecie skorzystać z mego położenia i odprawić mnie z niczem, dobrze!... ja już do tego jestem przyzwyczajony. Albo mnie to mało nakrzywdzili swoi i nie swoi?... Przecież ja tam trochę prawa także liźnąłem swojego czasu i wiem, co to jest przedawnienie; ale ja przychodzę do was, jak do ludzi honorowych, uczciwych i zapytuję grzecznie, spokojnie, bez awantur: chcecie mnie dopuścić do akcyi, czy nie?... Wolna wola. Nie chcecie?... no, to Plackowski sobie pójdzie; wielkie rzeczy!... Będę przynajmniej wiedział, z kim miałem

do czynienia. Oj, oj! czy to dla mnie nowina?... Biednych krewnych wyrzuca się za drzwi, stara historia!

Spokojnie, ale szydęczo mówił jeszcze długo w tym tonie, zapewniając, że nie będzie się dziwił, ani miał urazę, jeżeli jego pretensyi nie zechcą uwzględnić, bo przecież okradali go i wyzyskiwali w życiu rozmaici ludzie, doprowadzili go nawet do tego, że dzisiaj koszuli nie ma na grzbiecie, czemużby go nie miała i własna rodzina pokrzywdzić?!...

Przy tych słowach podgarnął po łokieć rękaw wyszarzanego tużurka i odsłonił Szubie tajemnicę swojej bielizny, którą na zewnątrz udawały tylko mankiety i kohnierzyk, przymocowany do kamizelki, zapiętej pod samą szyję.

Widok nagiego ciała przestroił go nagle w jednej chwili i wyprowadził z tego tonu potulnej rezygnacyi; przypomniawszy mu jego biedę i pretensye do losu i świata.

Zmrużył oczy i z wyrazem tragicznym w twarzy zgrzytnął nieprzyjemnie zębami.

Zaśmiał się potem sarkastycznie i odetchnąwszy głęboko, rzekł z ironią:

— Dorobiłem się, co?... Plackowski bez koszuli!... Ale to nic, ja już i do nędzy przywykłem. Możecie mnie wykwitować ze wszystkiego, skoro sądziecie, że nie mam prawa z jaśnie państwem się procesować.

www.libtcol.com.cn
wać do spółki!... Czy tak zginę, czy owak bez kawałka chleba, to przecież wszystko jedno!...

Szuba był zakłopotany coraz więcej; siedział, jak na rozżarzonych węglach.

— No, widzisz pan — wtrącił — nie masz żyć z czego, a chcesz się procesować. Proces kosztuje: przecież na adwokata, na stemple, na to, na owo, trzeba mieć choć trochę pieniędzy. Skądże weźmiesz?... Krokowski ci przecie nie da sam na proces przeciw sobie.

Karambolowi oczy błysnęły; jakaś piekielna myśl wpadła mu do głowy.

Pokręcał węża i patrzył w sufit.

— Kto to wie, kto to wie!... — mruczał, uśmiechając się; po chwili zaś zwrócił się nagle do Szuby i spytał:

— Zatem, jednym słowem, dopuszczacie mnie do akcyi, czy odpędzacie, jak psa?... Decydujcie się!...

Szuba chcąc go udobruchać, odparł:

— Odpędzacie!... odpędzacie!... dlaczego mamy odpędzać?... Będziesz pan miał środki na prowadzenie procesu, spróbuj; żona ma za sobą prawo... niech się zgłosi; czemu nie?... Należy przecież do rodziny.

Plackowski nagle nabrał fantazji i odzyskał dobry humor.

— No, tak, to co innego!... teraz wujaszka Kocham i szanuję... A co do środków, to mniejsza!... jakoś się tam poradzi.

I poradził sobie rzeczywiście.

Tego samego dnia jeszcze napisał na czterech stronicach list do Krokowskiego, przypominając się jego pamięci, rozwodząc szeroko nad stratą, którą rodzina, społeczeństwo, kraj cały poniósł ze śmiercią nieboszczki; zapewniał, że żona jego i córka zalewają się łzami od czasu otrzymania bolesnej wiadomości o zgonie ś. p. pani Balbiny, odmalował położenie swoje i swej rodziny, która pozostaje w tak krytycznem położeniu, że nie chcąc dłużej znosić tak dotkliwego losu, a nie mając odwagi wyciągać ręki po jałmużnę do obcych, będzie zmuszoną popełnić jaki czyn rozpaczliwy, aby nie być nikomu ciężarem.

Wspomniał w zakończeniu, iż w zeszłym tygodniu próbowali się zaczadzić, ale ich litościwa sąsiadka uratowała — jednak nie na wiele się to przyda, bo nic im innego nie pozostaje, jak powtórnie użyć tego samego środka, jeżeli im pomoc jaka z nieba nie spadnie...

List nosił cechę szczerości i wiarogodności zupełnej, więc Krokowski, który Plackowskich znał z czasów ich lepszych i wiedział, że nieboszczka żona krewnej pierwszego męża kilkakrotnie za życia pomagała, dał się złudzić frazesom i odpisał z podziękowaniem za kondolencję, a do listu dołączył banknot sturublowy z wyrazem szczerzego współczucia.

Karambol odebrawszy list pieniężny, zatarł ręce i z łotrowskim uśmiechem na ustach pomyślał:

— Ten stary osioł Szuba nawet nie przeczuwa, jaki mi projekt poddał niechcący!...

Na pierwsze kosztu procesu przeciw testamentowi Krokowskiej mąż jej w najlepszej wierze dostarczył środków sam z własnej kieszeni, nie przewidując, jaki użytek z jego zapomogi zrobi podłość i przewrotność ludzka.

Szuba aż oczy wytrzeszczył z podziwu, kiedy w jakiś tydzień po pierwszej wizycie zobaczył u siebie znowu Plackowskiego; palto było na nim syberynowe, wcięte do stanu, kapelusz odprasowany, rękawiczki miał na rękach i niebieski fular na szyi.

Ani podobny był do owego nędzarza bez koszuli, który z własnej biedy się naigrawał.

Zapomoga Krokowskiego starczyła mu nietylko do oporządzenia się na jakiś czas, ale i szczęśliwie posłużyła do hazardu; czując w kieszeni „flotę“, śmieiej wyzywał fortunę przy zielonym stoliku i „obębnił“ jakichś trzech jegomościów z prowincyi, którzy wpadli w urządzoną na „frajerów“ zasadzkę.

Wygrał przez dwie noce paręset rubli, bo szczęście mu niezwykle dopisywało i poprawił odrazu swoje interesa.

— Ileż to tam trzeba na te kosztu procesu? — zagadnął Szubę z taką miną, jak gdyby wszystkie

kieszenie miał wypchane tęczówkami — czterdzieści, pięćdziesiąt, sto rubli?... Placę, ile każecie. No, wujaszku, gramy o gotówkę... Macie już adwokatów?... jeśli nie, mogę wam nastreczyć którego z moich znajomych. Mam kilku kolegów mecenasów, którzy się sprawy podejmą.

Humor miał wyborny, dowcipkował i zapraszał Szubę, aby z nim poszedł na kieliszek „białego“.

Salusia z dziećmi przyglądała mu się z drugiego pokoju i przeze drzwi podsłuchiwała rozmowy, dając znaki mężowi, aby mu się tylko nie dał skusić.

— Wenusiu!... wiesz przecie, że wyjść nie możesz! — wołała swoim piskliwym, słodkim dyszkantem — Szyrmowie przyjdą!...

— Co, Szyrmowie?... — poderwał Karambol ze śmiechem — może także w sprawie procesn?...

— A no, należy się im; familia, i to ze strony samej nieboszczki — tłumaczył mu Szuba — przecież to linia Orszów. Mają te same prawa, co baronowa.

Plackowski jedno oko zmrużył i uśmiechał się szyderezo.

— No, tak, tak, piąta woda po kisielu.

— Jakżeż?... przecież Szyrmowa z Orszów po matce legitymuje się najdokumentniej — bronił ją, jako przedstawiciel pokrzywdzonej rodziny i sprawiedliwości — ma prawo wystąpić o spadek, święte prawo, a jakże!...

— Może... nie spieram się zresztą, ale ich tam

kupa tych Szyrmów!... Oni podobno sfiksowali teraz zupełnie i po całych wieczorach rozmawiają z duchami... Spirytyzm zawrócił im głowy. Wujaszek słyszał o tem?... Moją żonę ciągnęli na te swoje seanse i naopowiadali jej niestworzonych rzeczy, ale zabroniłem kobiecie mieszać się do tego. Ona i tak ma nerwy rozklekotane, że się własnego cienia boi, a tam podobno, u Szyrmów, stołowe nogi hołubce wybijają po podłodze, w powietrzu i im samym po głowach. Zwaryowali!...

Z drugiego pokoju odezwał się z urazą głos Salusi, która nie wychodziła do gościa, bo myła właśnie głowy swoim pociechom:

— Niech-no pan lepiej z takich rzeczy nie żartuje!... widzieliśmy już takich niewiernych Tomaszów. Ho, ho!...

Karambol do drzwi podszedł i uchylając je zlekka, spytał:

— A, to już i panią wzięli na lapę?...

— Na co wzięli, to wzięli! — z wyraźną urazą w głosie odpowiedziała mu Szubina — ja wiem swoje, a pan swoje.

— I rozmawiała pani już z duchami? — zagadnął ją Plackowski.

— Rozumie się, że rozmawiałam.

— Może i o procesie?

— Kto wie!... może i o procesie.

— Proszę!... no i cóż?... wygramy?...

— To się pokaże. Będziemy się śmiali na końcu...

a teraz proszę tu nie wchodzić, bo dziewczynki są w negliżu.

Zamknęła mu drzwi przed nosem i przerwała rozmowę, poirytowana widocznie.

Od pewnego czasu pozostawała bowiem pod wrażeniem duchów, które w domu Szyrmów obrały sobie siedlisko i wyprawiały co wieczór „nadzwyczajne hece“, jak się wyrażał Wenus.

Starzy Szyrmowie mieli domek na Lesznie i żyli z kapitaliku, który im pozostał z lepszych czasów; było ich kilkanaście osób w jednej rodzinie.

Mieszkali razem gromadnie, z córką zamężną i zięciem, urzędnikiem pocztowym, z kilkorgiem dzieci różnego wieku od czternastoletniego Władzia, ucznia szkoły handlowej — do ułomnej, garbatej Pietruni, najstarszej córki, dającej lekcye muzyki i dźwigającej trzydziestą wiosnę na swoim panieńskim, biednym, skoszlawionym krzyżu.

Panował między nimi iście patryarchalny związek, na którego czele stał przysadkowaty, siwy, zażywny pan Piotr Szyrma, głowa rodziny, nazywany „dziadziem“ przez wszystkich i babunia Szyrmowa, jego żona, Orszanka z domu.

Pan Piotr, właściciel niegdyś dużej kamienicy i wcale znacznej gotówki, którą spłacić musiał, jako poręczyciel, długi swojego szwagra, ojca Dranieckiej, po jego bankructwie i ucieczce za granicę — nadwątlwszy w ten sposób fortunę, wyniósł się z resztkami uratowanego mienia na przedmie-

ście ~~w rozpaczliwym~~ rozpoczął życie na mniejszą skalę, odgraniczwszy się zupełnie od świata i zerwawszy wszystkie dawniejsze stosunki.

Niebo obdarzyło go całym tuzinem dzieci, z których połowę udało mu się wychować; najstarszą była garbata Pietrunia, stara panna, pogodzona z losem, zarabiająca na swoje własne utrzymanie; najmłodszą dziesięcioletnia Fema, Benjaminek całej rodziny, która zachorowawszy na błonicę, umarła po tygodniu daremnych wysiłków uratowania jej od śmierci.

Nie pomogło konsylium jedno i drugie, nie pomogła tracheotomia, nie pomogły zamawiania, modlitwy rodziców, ani wotywy, codziennie na jej intencye zakupywane.

Starzy Szyrmowie byli tak zgnębieni utratą najmłodszej córki, że do rozpaczyny dochodzili.

Pan Piotr, człowiek bogobojny i wierzący, w ojcowskim bólu, który mu serce szarpał, poczynął niemal bluźnić i miał chwile bardzo ciężkich przejść ze swoim sumieniem.

— Femę mi Pan Bóg zabrał! — powtarzał ze łzami, skarżąc się na okrucieństwo losów — moją Femę najśladszą!... a przecież na kolanach się modliłem, suszyłem dwa piątki, Różia codziennie na mszę dawała, a Pan Bóg nie wysłuchał!... wziął, nie ulitował się, nie okazał miłosierdzia!...

Zaczerwienione oczy wznosił w niebo, jakby z wyrzutem i od lat pięćdziesięciu po raz pierwszy prze-

stał się modlić i odmawiać, klęczący, swoje pacierze, jak to zwykł był czynić codziennie ze swoją Rózią rano i wieczór...

Wówczas to z jednej ostateczności w drugą prze-rzucił go spirytyzm.

Zaczął rozmawiać z duchami i uwierzył w pu-kające stoliki.

We dworku Szymów mieszkał stary kawaler, Kloniewicz, niby doktor, niby profesor, niby natu-ralista, niby literat, wszystkiego potrochu.

Znano go, jako dziwaka i oryginała, który pro-wadził życie tajemnicze, zagadkowe; zajmował izdebkę małą od podwórza, nie dopuszczał nikogo do siebie, zamykał się po całych dniach i niewia-domo, co robił.

Samym wyglądem zwracał na siebie uwagę: wy-soki, chudy, kościsty, z rozczochną zawsze głową, z brodą kłaczastą i szpakowatą, z twarzą zase-pioną i zadumaną, z oczyma zamglonemi, powoli, dużymi, krokami zamyślnego żórawia zwykł był, cackby czając się, przekradać ulicami i przemyskać do swojej izby w oficynie Szymowego dworku.

Latem i zimą nosił na opaszki grube palto z wy-tłuszczonym kołnierzem, olbrzymie kalosze wkładał na nogi a staroświecki cylinder na głowę.

Pod pachami, w kieszeniach, w rękach nosił zawsze całą przyboczną bibliotekę, a do domu wra-jał zwykle obładowany paczkami, z których wy-glądały owinięte w starą gazetę słoiki, druty, cewki,

śruby w Bóg wie! co za przeróżne graty, które skupywał na żydach.

Okno w jego mieszkaniu do połowy zasłonięte było spłowiałą zieloną firanką, a z nastaniem zmroku zapuszczał szczelnie roletę, aby go nawet nie można było podglądać w jego tajemniczej izdebce.

Z tem wszystkim człowiek był cichy, uprzejmy, spokojny i najwygodniejszy lokator w całym dworku, który komorne płacił najregularniej co pierwszego, nie wymagając przez cały czas żadnej restauracyi, ani odświeżenia swego lokalu.

Nazywano go „panem doktorem“ i spoglądano na niego z jakimś mimowolnym szacunkiem i ciekawością.

Do jednych Szymów zachodził niekiedy na pogawędkę, najczęściej, aby pożyczyć z kilku dni gazety, które po przeczytaniu odnosił starannie poukładane i wygładzone.

Miał opinię bardzo wykształconego i odczytanego człowieka, który gdy się rozgadał, umiał o wszystkim mówić zajmująco, tylko chaotycznie, mieszając ze sobą najrozmaitsze rzeczy, pozornie w żadnym związku ze sobą nie zostające.

Kiedy po stracie najmłodszej córki stary Szym spotkał go na podwórku któregoś wieczoru i zaczął z nim rozmowę od słów:

— Femę mi Pan Bóg zabrał, doktorze!... najśłodsza moja Femę!... Wszystko mnie zawiodło,

wszystko!... nie, nie, już niema, w co by warto było wierzyć!...

Kloniewicz usta ściągnął, głowę zwiesił i z pod oka przypatrując się staremu, ujął go swoimi długimi, chudymi palcami za ramię i zagadnął:

— A duchy jegomość pytałeś?...

— Jakie duchy?...

— No, duchy!... duchy z tamtego świata?...

Szyрма spojrzał na niego w pierwszej chwili zdziwiony i obruszył się z urazą:

— Et!... dałbyś doktor pokój z żartami!... Człowiekowi się serce kraje, a doktor sobie kpisz!...

Kloniewicz puścił jego ramię, głowę jeszcze niżej zwiesił na piersi i kiwał nią, jakby z politowaniem:

— I ja byłem taki!... — szepnął po chwili; potem usta skrzywił bladym śmiechem i dodał:

— A jednak są!... mówię jegomości, Fema nie umarła, ale śpi! Wiara góry przenosi. Nie trzeba zaprzeczać niczemu!... Zwątpienie jest tylko śmiercią duchów na ziemi... Nie nie umiera, nie!... rozumiesz jegomość?... Nic! — powtórzył, podnosząc palec do góry. — Spytaj jegomość swojej Femy... ona cię przekona...

Szyрма oczy otworzył szeroko i słuchał, jak osłupiały.

Nie wiedział, jak ma rozumieć słowa tajemniczego dziwaka, któremu siwe oczy nagle się zapaliły fosforycznym blaskiem i twarz ożywiła niezwy-

kle; ujął staroego pod ramię i prowadząc w głąb podwórka, zaczął mu szeptać do ucha:

— Bo to wy, pospolitaki, patrzycie tylko na koniec swojego nosa, a przecież świat dalej sięga; a kto wie, gdzie jego granice, he?... Byłeś jegomości u bieguna północnego?... prawda, że nie byłeś, a jednak biegun północny jest!... Na drugim świecie także jegomość nie byłeś, więc cóż?... więc ci się dlatego zdaje, że go nie ma? A on jest mimo to, jest może tu dokoła nas, tylko że nasze grube ślepie go nie widzą. A ja jegomości powiadam, że to jeszcze nie koniec tego, co widzimy, albo dotykamy, albo czujemy!... Chcesz się przekonać?... spróbuj!... Ja takim samym byłem niedowiakiem, dopóki nie usłyszałem, nie zobaczyłem, nie przekonałem się, że są cuda na ziemi i niebie, o których się filozofom nie śniło. A no, co będzie, jak jegomości twoją Femę sprowadzimy, ha?... kiedy z nią będziesz teraz gadał, jak ze mną w tej chwili, no, co będzie?...

— Waryat! — pomyślał Szyрма i odsunął się instynktownie od niego; ale Kloniewicz, jakby mu w głowę zajrzał, powtórzył sam ten wyraz, mówiąc:

— Waryat!... co?... waryat Kloniewicz, prawda?... Aha!... A ja jegomości dowiodę, że nie waryat. Idź jegomość do siebie; ja tam przyjdę do was za kwadrans i wiesz jegomość, co zrobimy?... Przywołamy sobie Femę!... no?... co będzie?... Tylko

...www.libtool.com.cn...
sza!... Uda się, nie uda, spróbujemy!... Ale ja wiem, że się uda. Na ziemi niema nic niepodobnego, byle człowiek miał wolę, silną wolę, potężną wolę!...

Spojrzał mu bystro w oczy i jakby rozkazująco dodał:

— Idź jegomość do siebie; ja za kwadrans przyjdę... Musi się udać!...

I cichymi, długimi krokami poszedł ku swoim drzwiom przez podwórze, posuwając się w mroku, jak cień, jak widmo.

Szyрма stał z zapartym oddechem i nie mógł się z miejsca poruszyć.

Wieczór ten miał być pamiętnym w rodzinie Szyrmów.

Wieczoru tego stał się fakt, który ważny prze-wrót uczynił w pojęciach i usposobieniu pana Piotra, otworzył przed nim tajemniczą dziedzinę zjawisk, których zbadać nie umiał, wytłumaczyć sobie nawet nie próbował, a wierzyć im musiał.

Kloniewicz urządził pierwszy seans spirytystyczny, do którego dopuścił tylko same kobiety w domu, pomiędzy którymi przypadkiem znajdowała się Lolusia; przyszła bowiem odwiedzić babcię Franję, jak nazywano starą Szyrmową w rodzinie i trafiła właśnie na próbę przywoływania duchów z inicjatywy Kloniewicza.

Stary dziwak odrazu zwrócił uwagę na nią, od pierwszego rzutu oka poznał jej nerwową organizację; jej blada twarz, podsiniałe oczy histeryczki,

płochliwy wzrok, który zdawał się unikać jego spojrzeń, niespokojne ruchy i wyraz całej fizjonomii zajęły go widocznie bardzo.

Przypatrywał się jej badawczo czas jakiś w milczeniu i rozmyślał; ona zaś zmieszana, kręciła się na krześle i czuła, że się z nią coś niepojętego dzieje.

Magnetyzowały ją te stalowe oczy.

Chciała wstać i nie mogła, chciała się pożegnać i wyjść, ale jakaś dziwna niemoc ją opanowywała; miała uczucie, jak gdyby z każdą chwilą coraz więcej traciła swoją wolę i przedstawiała rozporządzać sobą.

— Z pani musi być dobre medium! — przemówił nagle do niej Kloniewicz, ujmując jej drobną, wilgotną dłoń, która w jego ręku drżała nerwowo. — Niech pani z nami usiądzie do stolika.

I nie pomylił się.

Przeszli do ostatniego pokoju w jakimś uroczystym milczeniu wyczekiwania, instynktowo posłuszni wszystkim jego poleceniom, które wydawał zniżonym, urywanym, tajemniczym głosem.

Przypatrywali się temu, co robił, z ciekawością, rezygnacją, skupieniem i zaleknieniem jakimś; sprawiał na nich tego wieczoru wrażenie hypnotyzujące, bali się go niemal i z bijącym sercem zadawali sobie w duchu pytanie:

— Co to będzie?... co z tego wyniknie?...

Wydawały się im te wszystkie przygotowania trochę śmieszne, a trochę straszne.

On w środku pokoju postawił stolik od roboty na jednej nóżce, dokoła kilka krzeseł, na komodzie pozytywkę, którą przyniósł ze sobą, lampę na podłodze pod piecem, potem drzwi na klucz zamknął; obejrzał okna, czy rolety są puszczane, aby żaden promyk światła z zewnątrz się nie wcisnął od ulicy i rzekł:

— Proszę zająć miejsca. Zaczniemy!...

Po kolei usadowił wszystkich dokoła stolika: pana Piotra między żoną i garbatą Pietrunią, dla siebie zostawił miejsce obok Lolusi i Kawęckiej, zameężnej córki Szyrmów, młodej, limfatycznej blondynki, przejętej tak głęboko sytuacją, że poruszała się jak automat i obawiała odezwać.

Kloniewicz nakręcił pozytywkę i puścił ją w ruch.

Powolne, melodyjne dźwięki instrumentu rozplwały się urywanymi akordami w powietrzu.

Zgasił lampę i usiadł na swoim miejscu.

W pokoju zrobiło się całkiem ciemno i nieswojsko.

— Proszę trzymać ręce lekko na brzegu stolika i dotykać się palcami! — odezwał się uroczystym tonem — a myśli skupić w jednym kierunku!...

Kobiety zaczęły wzdychać, stary Szyrma oddychał głęboko i głośno; w piersiach czuł jakby ucisk jakiś, do skroni krew mu napływała.

Poddawał się tej dziwacznej praktyce, ale z niedowierzaniem sceptyka.

Kilka razy zdawało mu się, jak gdyby pod palcami jego przepłynęło jakieś lekkie, ledwie dostrzegalne falowanie na powierzchni stołu.

Nie odzywał się jednak, czekał cierpliwie, co dalej będzie i myślał o swojej najśłodszej Femie, którą mu Kloniewicz obiecał sprowadzić; nie obrażał sobie, jakby to się stać mogło, ale w duszy jego budziło się gorące pragnienie sprawdzenia tej tajemniczej zagadki, która wypełnić mu miała tę próżnię i pustkę, jaką śmierć ukochanego dziecka w jego sercu wytworzyła.

Zwiesił głowę, przytknął oczy i zatonął w zadumie.

Minuty upływały — tracił rachubę czasu w tem naprężeniu uwagi i nerwów.

— Piotrusiu! — usłyszał nagle łagodny, nieśmiały szept żony — Piotrusiu!... mnie już ręce omdlały!...

— Cicho!... cicho!... jeszcze chwilę!... nie można zrywać łańcucha! — ostrzegął Kloniewicz; a jednocześnie, jakby przez litość nad znużoną Szyrmową, stół drgnął nagle i gwałtownym ruchem przechylił się na bok.

Z ust kobiet wydarł się krzyk przerażenia i podziwu.

Kloniewicz podniesionym głosem kazał się im uspokoić.

— Psst!... nie zrywać łańcucha!... czekać, co będzie dalej! — komenderował stanowczym tonem.

Minęła znowu chwila wyczekiwania.

Pan Piotr oniemiał; pierwszy raz był on świadkiem czegoś niepojętego, cudownego niemal, co się z jego zdrowym rozsądkiem zgodzić nie mogło.

Pod jego palcami ożyła rzecz martwa, wbrew wszelkim prawom i pojęciom o własnościach bezdusznej materii.

Przez chwilę zdawało mu się, że wszystkie myśli uciekły nagle z jego głowy i że się w niej wytworzyła zupełna próżnia.

Nie dawał sobie dokładnie sprawy z tego, co się dokoła niego działo.

Wtem stolik uniósł się w powietrzu, jakby wyraźnym podskokiem i spadł z łoskotem na podłogę.

— Jezus, Marya! — wyrwało się z czyichś ust.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — szepnęła wystraszona Szyrmowa, tuląc się instynktownie do męża; a w tej samej chwili dały się słyszeć jakieś bolesne jęczenia i szczykanie zębami z miejsca, na którym siedziała Lolusia.

— Może zapalić światło? — spytała wylękciona Pietrunia; ale Kloniewicz krzyknął prawie:

— Broń Boże!... ktoś wpadł w trans!... czy to pani?...

— To Lolusia tak jęczy -- odpowiedziała drżącym głosem Kawęcka.

— To nie, będziemy mieli zaraz nowe objawy! — uspokoił ją doktor. — Proszę się nie ruszać z miejsca!... ręce na stół!... w tej samej pozycji... Nie przerywać tylko łańcucha!... Medium mogłoby to życiem przypłacić!...

Dreszcz grozy przeszedł po wszystkich; zapanowała znowu cisza, wśród której dźwięki pozytywki mieszały się z przytłumionym, jak gdyby przez zaciśnięte zęby przeciskającym się jękiem, podobnym chwilami do kwilenia chorego dziecka.

Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z wrażeniem, jakie sprawiły następnie odzywające się w stoliku tajemnicze pukania.

Kloniewicz z uroczystą powagą trzy razy stuknął końcem palca w powierzchnię stołu, a po chwili, jak zgłuszone echo, odpowiedziały mu rytmicznie takie same stuknięcia, jak gdyby je jakaś niewidzialna ręka wywoływała.

— Jest! — oznajmił głosem uradowanym, przejęty widocznie sam głęboko swym eksperymentem spirytysta — możemy zadawać pytania.

Histeryczny, urywany śmiech Lolusi przerwał jej jęczenia na chwilę i powstała cisza, maćona tylko dźwiękami coraz wolniej grającej pozytywki.

Kloniewicz zaczął pytać:

— Kto ty jesteś?... powiedz nam, z kim rozmawiamy? — i w dalszym ciągu litera po literze wymieniał abecadło.

Stolik stał nieporuszony na miejscu.

www.libtool.com.cn
Pan Piotr z zapartym oddechem czekał i słuchał; ogarniało go niewymowne zdziwienie i zającie.

Z jednej strony przytulała się do niego żona i szeptała cichutko:

— Piotrusiu, ja się boję!... ja już nie chcę! ja już mam dosyć tego!...

Z drugiej czuł drżącą, rozpaloną rękę starszej córki, która się nerwowo jego palców dotykała.

Chwilami zdawało mu się, że mu twarz muska jakby chłodny powiew czyjiegoś oddechu.

Nagle, w połowie alfabetu, stolik uniósł jedną nóżkę i stuknął lekko w podłogę.

— L!... — zdecydował Kloniewicz — L!... pytajmy dalej.

I ponownie zaczął wymieniać litery od pcczątku.

Przy *u* dało się słyszeć drugie stuknięcie, przy *d* trzecie.

— Ludwika! — odważyła się przemówić Pietrunia, uprzedzając sylabizującego za powolnie ducha.

Stolik, jakby na potwierdzenie tego domysłu, kilkakrotnie zastukał o podłogę.

— Ludwika?... więc nie Fema?... — z jakimś żalem i rozczarowaniem w głosie odezwał się po raz pierwszy stary Szyrma.

— Co to za Ludwika?... — spytał Kloniewicz — znacie państwo jaką Ludwikę?...

— Chyba Trautówna — wtrąciła pani Piotrowa, osuwając się już stopniowo z sytuacji.

Stolik szybko zaczął potwierdzać jej przypuszczenia.

— Patrzcie państwo!... Ludwika Trautówna!... nauczycielka Femy, ta, co umarła zeszłego roku na tyfus!... — poczęto się dziwić i objaśniać Kloniewicza na wyścigi.

Przez kilka chwil zapanowało ożywienie, mieszały się głosy, krzyżowały pytania i odpowiedzi, pojedyncze wyrazy i wykrzykniki podziwu lub niedowierzania.

Stolik poruszał się niecierpliwie.

Kloniewicz energicznie: „Pssst“! uciszył wszystkich i prowadził dalszą indagację, układając się z rzekomym duchem Ludwiki o bardziej uproszczony sposób porozumiewania się. Na „tak“ miało służyć jedno stuknięcie, na „nie“ trzy.

Ułożono cały klucz do rozmowy, według którego następowały coraz szybsze odpowiedzi.

Duch Ludwiki okazał się chętnym i gotowym do dawania wszelkich objaśnień; zamianował Lolusie główną pośredniczką pomiędzy sobą a światem widomym i orzekł, że ona w tem towarzystwie jest najlepszym medium, że dla niej nie będzie miał żadnych tajemnic.

Przyrzekł na przyszły seans sprowadzić swoją zmarłą pupilkę Femę, która znajduje się w stanie łaski i której miało się dobrze powodzić na drugim świecie; kazał się odtąd nazwywać krótko Iksem, zmieniając swoje ziemskie imię na znak spirytysty-

czny, zalczając największą dyskrecyę nadal wszystkim uczestnikom seansu i oświadczając wkońcu, że jest znużony i że tego wieczoru więcej odpowiadać nie będzie.

— Czy można zapalić światło? — zagadnął Iksa jeszcze przezorny Kloniewicz.

— Za chwilę, aż dziesiąta uderzy!... — brzmiała ostatnia odpowiedź ducha.

Seans był skończony.

Wszyscy odetchnęli głęboko i osunęli się od stołika pod silnem wrażeniem czegoś niepojętego, tajemniczego, przejmującego do głębi.

Pan Piotr z podziwu i wzruszenia nie mógł słowa przemówić.

Siedzieli jeszcze czas jakiś pociemku w zamkniętym pokoju, dopóki zegar nie zaczął bić dziesiątej, spełniając posłusznie polecenie ducha, pod którego władzę oddali się w zupełności.

Gdy zapalono światło, ujrzano Lolusię wyprężoną sztywnie na krześle, z głową zwieszoną przez poręcz, z twarzą trupio bladą, z rękoma zwisłemi bezwładnie po bokach,

— Może ona umarła! — krzyknęły zaniepokojone kobiety i w przerażeniu okrążyły omdlałą histeryczkę, którą zajął się natychmiast Kloniewicz, rozcierając wielkim palcem jej skronie i dmuchając zlekka w zamknięte jej powieki.

— To nic, to nic! — zapewniał — to przejdzie za chwilę. Proszę tylko lampę postawić na swoim

miejscu, aby jej światło w oczy nie wpadało. O, już wraca do siebie!...

Przeprowadzono ją na kanapę i ułożono wygodniej, aby wypoczęła po nerwowym wysiłku.

Stary Szyрма tak był przejęty wrażeniem tego pierwszego seansu, że siedział, jak ogłuszony i błędnym wzrokiem wodził dokoła, rozglądając się po pokoju, jak gdyby nie poznawał własnego mieszkania, a w atmosferze czuł obecność jakichś niewidzialnych istot, które zaludniać miały odtąd jego skromny dworek.

Rozgrzana wyobraźnia jego pracowała pod działaniem nie tylko faktów, których był świadkiem, ale i sugestyi.

— No, cóż jegomość na to, he?... — zagadnął go Kloniewicz z pozytywką pod pachą, zabierający się do wyjścia — są duchy, czy ich niema?... To wszystko jeszcze fraszki, zobaczysz!... to nie koniec.

Stary Szyрма spuścił oczy i przeżegnał się ukradkiem.

Jakaś ulgę czuł w sercu, chociaż zamęt miał w głowie; uwierzył, że mu jego najśłodszej Femy śmierć nie zabrała ze wszystkiem, skoro będzie mógł rozmawiać z jej duchem i mieć ją na każde zawołanie, choć niewidzialną, przy sobie.

Wyciągnął rękę i uściśnął jakby rozrzucony z wdzięcznością dłoń Kloniewicza.

III.

„Dowiadujemy się z najpewniejszego źródła, że rodzina ś. p. Balbiny Krokowskiej, *primo voto* Omylińskiej, jakoteż rodzina pierwszego jej męża zamierza w obronie swoich praw wystąpić o unieważnienie testamentu nieboszczki, którego wykonanie natrafiłoby i tak na liczne przeszkody ze względu na niedość ściśle określenia prawne, pozostające w sprzeczności z obowiązującą ustawą.

„Notując tymczasowo ten fakt najzupełniej przez nas stwierdzony, zastrzegamy sobie głos w tej ważnej sprawie, wobec której od samego początku zajęliśmy jedyni w całej prasie stanowisko rozumnej rezerwy“.

Tę przedmiotową i bezstronną na pozór wzmiankę zamieścili „Wiadomości brukowe“ w numerze sobotnim, aby przez dwa dni pozostawała w rękach czytelników, gdyż w niedzielę pismo nie wychodziło.

Łatwowierni czytelnicy, nie obznajmieni z tego rodzaju redakcyjnymi fortelami, nie spostrzegli się

www.librosdem.com.pl
nawet, że w samem doniesieniu o „najzupełniej stwierdzonym fakcie“ podsunęto im zręcznie dwa wnioski, z góry niejako narzucone: po pierwsze, że testament musiałby być niewykonalnym tak czy owak, bo pozostawał w sprzeczności z obowiązującą ustawą, a następnie, że skoro miał natrafić na liczne przeszkody, musiał zawierać w sobie coś nielegalnego i pokrzywdzać jakieś prawa rodzinne, w obronie których trzeba było aż sądownie przeciwko niemu powstawać.

Zarazem pismo robiło sobie niewinną reklamę, iż jedyne w całej prasie zachowało przezorną równowagę i nie uległo pierwszemu wrażeniu, nie zapędziło się zadaleko w przecenianiu filantropijnego zapisu, którego rzeczywista ważność miała być teraz zakwestyonowaną.

Za parę dni, jako uzupełnienie poprzedniej wiadomości, wydrukowano znowu kilka tylko wierszy:

„Akcyę przeciwko testamentowi ś. p. Krokowskiej, w obronie praw pominiętej rodziny, prowadzić będzie jeden z najzdolniejszych naszych adwokatów, pan mecenas Topiel“.

I znowu nie spostrzeżono się nawet, że w tych trzech wierszach, ustawionych w miejscu najwidoczniejszym, pomiędzy najważniejszymi wypadkami chwili bieżącej, opinia publiczna musiała połknąć dwie pigułeczki, pod których wpływem wytwarzać się miały jej zdania i poglądy na dalszy rozwój sprawy spadkowej.

Wbijano jej w pamięć to twierdzenie, że „pomi-
nięta rodzina“ nie napada, ale przeciwnie, sama
bronić się musi przed jakimś nadużyciem jej
praw — a następnie wysuwano na pierwszy plan
figurę obrońcy, który odrazu nabierał rozgłosu „je-
dnego z najzdolniejszych naszych adwokatów“.

Na wszystkich subtelnościach stylizacyi, w któ-
rych ukryte były sprytnie pomyślane i ze znajo-
mością psychologii czytającego ogółu. użyte środe-
czki urabiania opinii publicznej, poznawali się tylko
wtajemniczeni w dziennikarską robotę specjaliści,
jak Włodziński, który przeczytawszy na wsi obie
wzmianki w „Wiadomościach brukowych“, skrzy-
wił usta swoim sarkastycznym uśmiechem i po-
myślał:

— Aha!... pocziwy Stasieczek zaczyna mącić
wodę. Sprytna kanalia!... No, no! jeżeli nie będzie
wisiał, to jeszcze zostanie kiedyś redaktorem i wy-
dawcą własnego organu... To jest człowiek przy-
szłości.

Na Krokowskim wiadomość o rozpoczętym pro-
cesie sprawiła silne wrażenie.

Z początku nie mógł oczom własnym uwierzyć;
po kilka razy odczytywał owych kilkanaście wier-
szy druku i twarz mu się mieniła, podnosił głowę
i spoglądał na Pniaka, jak gdyby go się pytał:

— Co oni plotą?... co to jest?... więc to prawda?...

Trudno mu było pojąć, aby ktokolwiek ośmielił
się targnąć na świętą wolę jego nieboszczki, aby

jej nie chciał uznać, a co większa — próbował obalić.

Na to tylko mogłaby się zdobyć ostatnia podłość, nierównana czelność, oburzająca niegodziwość!

Kto to śmie upominać się o jakieś prawa rodziny, występować z pretensjami do majątku, ofiarowanego przecież Bogu, przeznaczonego na pożytek ogółu, mającego urzeczywistnić ostatnie myśli, ostatnie dążenia, ostatnią wolę jego najukochańszej zmarłej towarzyszki?...

To niepodobna, aby się znalazł taki śmiałek, taki zbrodniarz, któryby się považał zakłócać spokój w grobie nieboszezki i burzył jej pośmiertne dzieło!...

Przejęty był tak głęboko tą myślą, że się otrząsnął ze swej apatii i melancholii, raz po raz wyrażając na migi swoje oburzenie; z gniewu zaciskał pięście i groził niemi tym wszystkim niewidzialnym przeciwnikom, którzy nie chcieli uszanować rozporządzenia nieboszezki; to znowu z rozrzewnieniem ocierał sobie oczy z wyrazem serdecznej troski i smutku, zrywał się z siedzenia swego pod oknem, biegł do salonu z numerem dziennika w rękach, stawał przed portretem swojej Balbisi i jakby się przed nią uskarżał, spoglądał z niepokojem i zafasowaniem w jej rysy spokojne, uśmiechnięte na płótnie, czekając, czy się nie ożywią i czy z tych ust, na wieki zamilkłych, nie wyjdzie dlań jakie

słowo pociechy, a dla tamtych — surowego potępienia.

— Trzeba pojechać do Warszawy, sprawdzić, dowiedzieć się, rozpytać... To przecież niemożliwe! — napisał na tabliczce i dał Pniakowi do odczytania, gestykulując żywo rękoma i zaglądając mu w oczy.

Ale Pniak głową tylko kiwał i ze spokojem człowieka, przygotowanego na wszystko, odpowiedział mu:

— To przecież było do przewidzenia!...

Jakoż jednocześnie prawie z drugim numerem „Wiadomości brukowych“ nadeszło z Warszawy potwierdzenie o rozpoczętym procesie w liście plenipotentą Krokowskich, adwokata Zabielskiego, który szczegółowo donosił o wszystkim i domagał się natychmiastowego porozumienia co do sprawy.

Nie zwlekając, wyjechał Pniak jeszcze tego samego dnia na nocny pociąg z Omylina, aby stanąć jak najrychlej w Warszawie.

Mecenas Zabielski, człowiek w sile wieku, tęga głowa, prawnik, wyćwiczony w dobrej praktyce, jaką przeszedł w kancelaryi swego ojca, jednego z luminarzy dawnej palestry, cieszył się ogólnie opinią nieposzlakowanej uczciwości i „szczęśliwej ręki“ — jak o nim mówiono.

Nie tykał, co prawda, spraw wątpliwych i nieczystych, odmawiając wprost swojej pomocy w tych wypadkach, w których nie mógł nabrać przekona-

nia o słuszności pretensyi klientów zgłaszających się do niego.

Tradycję tę przejął po ojcu wraz ze sprawami kilkunastu najzamożniejszych rodzin i instytucyi, których zupełnem zaufaniem się cieszył, jako radca prawny.

Ilećroć mówiono:

— Zabielski broni! — tyle razy miało to znaczyć, że proces musi być wygrany, bo sprawa jest czysta i wymiar sprawiedliwości niewątpliwy.

Interesa Krokowskich spoczywały w jego rękach od lat kilku, a były w takim stanie, gdy je obejmował, że — jak sam utrzymywał żartobliwie — nie dawały mu żadnego zajęcia i były tylko synekurą.

— Mając więcej takich klientów — mawiał — mógłbym pół roku siedzieć z założonemi rękoma, a pół roku podróżować za granicą, a wszystko robiłoby się samo, jak w dobrze nastawionej maszynie.

Po raz pierwszy dopiero z powodu zakwestyjonowanego zapisu Krokowskiej zmarszczył swoje grube brwi i starannie wygolone usta zaciął zębami, a przebierając ręką zlekka siwiejące faworyty, zamyslił się z wyrazem markotnym i pochmurnym.

— Przewiduję, że chcą nam kwaśnego piwa nawarzyć — mówił do Pniaka, skreśliwszy mn w ogół-

nych zarysach sytuacji — ale to nie, zmusimy ich wkońcu, aby je sami wypili...

— Czy są jakie punkta wątpliwe w tej sprawie? — zagadnął go doktor.

— Drogi panie, paragraf każdy nie darmo jest znakiem krętym — odrzekł z uśmiechem — jest w nim coś z symbolu kruczka, którego zła wola może nadużywać, a Temida, niestety, nie tylko dla tego jest ślepą, aby była bezstronną... Mojem zdaniem, sprawa nasza jest czystą, ale będziemy mieli do czynienia z ludźmi nieczystymi. Pan wie, kto broni strony przeciwnej?...

— Nie wiem jeszcze.

— Otóż właśnie!... broni, a właściwie napada w ich imieniu kolega Topiel. Nazywam go kolegą, choć przyznam się panu, że mi to żadnej przyjemności, ani zaszczytu nie sprawia.

— Któż to taki?...

— Prawnik dobry; tęga nawet głowa, człowiek bardzo zdolny, tylko że zdolny... do wszystkiego i to właśnie, co mu mam do zarzucenia. Kończyliśmy razem studia, ale przestaliśmy się znać od dawna, bo... bo rozeszliśmy się w naszych poglądach na powołanie obrońcy.

Zagryzł usta, jakby nie chciał popełniać większej niedyskrecyi i po chwili dodał tylko z naciskiem:

— Widzi pan, otwarcie mówiąc, będziemy mieli do czynienia z przeciwnikiem, który przed niezem

się nie cofnie i z paragrafów zechce robić kruczki. Jak uważam, odrazu od tego zaczął. Przenicował cały testament nieboszczki Krokowskiej, zarzucił mu nielegalność, powywlekał z grobu nieboszczków, nawet dopatruje się postronnych wpływów na ostatnią jej wolę i daje niejako do poznania, iż nie uważa jej za poczytalną w chwilach, gdy zapis swój robiła. Są tam bardzo przejrzyste aluzye i... do pana, zdaje mi się, którego posądza o podsuwanie jej...

— Do mnie?...

— Tak, szczególnie do pana. O! to będzie ciekawy ten cały atak, który rozpoczął się dopiero od tyralierki!... Pierwsze strzały padły tylko na alarm, ale głównych baterii jeszcze nie wytoczono. Z kolegą Topielem nie można nigdy być pewnym, gdzie swoją najcięższą bombę skieruje. W tym wypadku jednak zdaje mi się, że odgaduję jego strategiczne plany i będę się starał bronić najbardziej zagrożonych pozycji.

Zaczął mu bardziej szczegółowo zwierzać się ze swoich przewidywań i z przenikliwością doświadczonego prawnika kreślić wszystkie możliwe ewentualności, powtarzając:

— Ale to fraszka!... wtedy damy sobie radę i dowiedziemy mu, że to było nie tak, tylko tak. On może nas zajechać z tej strony, to my się odwrócimy z tej. Będą opały, to prawda, ale w rezultacie nie nam nie zrobi. W tej topieli kolega

Topiel nas nie utopi — dodał z uśmiechem, zdobywając się na dowcip, rozgrzany przewidywaniem walki, w której czuł prawo i słuszość po swojej stronie.

Pniak słuchał tego wszystkiego z wyteżoną uwagą, poddając swoje argumenta i robiąc sobie notatki, potrzebne mu do przygotowania materiału obrończego w procesie, który zapowiadał się gorąco i na szeroką skalę.

Wyszedłszy od Zabielskiego, miał głowę rozpaloną; wirowały w niej myśli, jak pszczoły wyrojone z ula, rozważał szczegółowo całe niebezpieczeństwo, jakie groziło nie jemu bezpośrednio, ale sprawie publicznej i przygotowywał się do walki z tą skupioną energią, która była jedną z właściwości jego charakteru.

W hotelu, za powrotem, szwajcar oddał mu bilecik wizytowy, ze słowami:

— Ta pani była tu już dwa razy i przyjdzie około czwartej.

Na bilecie wyczytał nazwisko Lolusi i zadziwił się.

Przychodziła do niego sama, szukała go w hotelu, zapowiadała swoją wizytę?... nie mógł zrozumieć tego i gubił się w domysłach, co ją sprowadzać mogło.

Od pogrzebu Krokowskiej widział ją wszystkiego raz czy dwa razy za przyjazdem do Warszawy,

ale wtedy nie miał nawet czasu porozmawiać z nią dłużej.

Przypomnił sobie, że otrzymał od niej kilka listów z zapytaniem o zdrowie pana Janusza, przy którym wspólnie czuwali po pogrzebie i że odpisywał na nie krótko, treściwie, nie wdając się w obszerniejszą korespondencję.

Znajomość ich sięgała wprawdzie jego lat studenckich, ale przerywała się kilkakrotnie; tracił ją z oczu i pamięci, aby przypadkowo znowu nawiązywać na jakiś czas ten stosunek, dla niego obojętny, dla niej zaś poważniejszy, niż przypuszczał.

Był grzecznym i wyrozumiałym dla jej „przewróconej głowy“, udając, że nie uważa zabiegów, jakie czyniła, by sobie pozyskać jego życzliwość i przyjaźń; w postępowaniu jej raziła go pewna afektacja, którą przypisywał jej nerwowemu usposobieniu.

Jako lekarz, spoglądał na nią okiem dyagnosty i dopatrywał się w niej początków chorobliwej nerwicy.

Podczas ostatniego pobytu starego Orszy z wnučką w Omylinie, zanadto zajęty był swoją pacjentką, a potem całą sytuacją, jaką jej śmierć wytworzyła, aby zwracał większą uwagę na Lolusie.

Kręciła się przy nim nieustannie, narzucając mu się niemal ze swoją posługą i towarzystwem, ale wówczas wydawało mu się to naturalnem w okolicznościach, jakie ich ze sobą zbliżyły.

Nad listami jej nie miał czasu zastanawiać się wiele, bo miał ważniejsze sprawy na głowie i gdyby mu ktokolwiek był powiedział, że owych listów do-
brze czytać nie umie, byłby wzruszył ze zdziwie-
niem ramionami i sięgnął chyba do kosza po po-
darte ich świstki, do których żadnej wartości nie
przywiązywał, aby doszukać się w nich czegoś
więcej, niż przesadnego stylu młodej dziewczyny,
zwierającej mu się z rozmaitych życiowych refle-
ksyi, pomieszanych z pospolitemi wiadomościami
o sobie, o dziadku, o wypadkach bieżących.

Tyle go tylko uderzało, że owe listy były dłu-
gie, na kilku stronicach pisane, bezładne i chaoty-
czne pod względem treści, a zagadkowe pewnemi
niedomówieniami w urywanych jakby z umysłu fra-
zesach.

Czekała go też tem większa niespodzianka w za-
powiedzianej wizycie i rozmowie, która miała zgo-
tować mu bardzo niemiłą i kłopotliwą kolizję.

O godzinie czwartej po południu numerowy za-
pukał do jego drzwi i przyniósł mu wiadomość, że
„ta pani, co miała być, czeka na dole i prosi, aby
pan doktor zeszedł do niej“.

— Ta pani jest sama? — spytał.

— Sama; chodzi po kurytarzu.

— Powiedz, że natychmiast będę służył.

W chwili, gdy ubrany w palto, sięgał już po
kapelusz i zabierał się do wyjścia, usłyszał silne
stukanie do drzwi i zanim zdążył zawołać: „pro-

sze!“, zobaczył na swoim progu zdyszana Lolusie, w popielatym futerku, barankowej czapce na głowie, zasłoniętą białą woalką.

— Rozmyślałam się — były jej pierwsze słowa — i przychodzę na górę. Tu będzie lepiej, prawda?... a tam mogą nam przeszkadzać. Mam z panem o ważnych rzeczach do pomówienia.

Zmieszana była i nienaturalna; z pod woalki, zasłaniającej jej połowę twarzy, widać było jej grube, mięsiste wargi, drżące nerwowym jakimś grymasem, który miał być uśmiechem; wyglądała, jak w masce.

Oczy z pod białej gazy rzucały ciekawe i płochliwe zarazem spojrzenia po całym pokoju, unikając wzroku doktora.

Zakryła sobie mufką usta i jakby tehu złapać nie mogła, stała znowu chwilę niezdecydowana i oszołomiona własną śmiałością.

— Co ja robię!... — szepnęła półgłosem — przyszedłam do pana, do hotelu. To nie wypada, prawda?... Ale pan się na mnie nie pogniewa?... co?... pan mi tego za złe nie weźmie?... pan człowiek wyższy!...

Podał jej rękę i badawczo patrząc jej w twarz, poprowadził do fotelu.

— Proszę, niech pani spocznie — rzekł. — Przypuszczam, że jakaś ważna przyczyna panią sprowadza aż tutaj, inaczej wystarczyłoby napisać kilka

słów, abym się stawiał u państwa na każde zawołanie.

— O, nie!... — przerwała mu szybko — nie!... w domu nigdy bym się nie odważyła... Dziadzio teraz wcale nie wychodzi, a przy nim nie mogłabym...

Zacięła się znowu i schyliła głowę tak nisko, że prawie jej twarzy nie było widać.

— Co też pan sobie o mnie pomyśli?... — zaczęła po chwili. — Ale co tam!... Pan przecież nie jest człowiekiem przesądów, prawda?...

— O cóż chodzi?...

Przycisnęła sobie ręką serce i wyszeptała:

— Czy nie ma pan tu trochę wody?...

Wziął karafkę ze stołu i nalał jej pełną szklankę.

Umoczyła w niej usta i otrząsnęła się, potem odwróciła głowę od niego i rozmyślała, okazując coraz większe zakłopotanie. On zaś usiadł naprzeciw niej po drugiej stronie stołu i czekał, aż się uspokoi i pierwsza odezwie.

Ośmieliła się spoglądnąć na niego z pod oka i ten bezwiedny, nieokreślony uśmiech przebiegł znowu po jej ustach.

— Panby się nigdy nie domyślił, co mnie do pana sprowadza — zaczęła — prawda?...

— W istocie...

— Nic a nic?

— Nie.

— A jednak to dziwne! — szepnęła, jakby do

www.libtool.com.cn
siebie i jakby oniesmielona jego tonem. — Przeczucie panu nie nie mówi?...

— Przeczucie?... w jakim względzie?...

Odsłoniła woalkę i spojrzała na niego wilgotnemi oczyma, które dziwny i przykry jakiś kontrast stanowiły z jej uśmiechniętymi ustami.

— A ja się trochę spodziewałam, że pan odgadnie... Pan przecież powinien był wiedzieć, że tęskniłam do pana.

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby od rzeczy mówiła.

— Tęskniła pani? — spytał.

— A rozumie się; na ostatni list nie dał mi pan żadnej odpowiedzi. Czy się pan na mnie pogniewał o co?... Pomędzy... przyjaciółmi, jak my... Dlaczego pan tak dziwnie patrzy?... zupełnie, jakby mnie pan pierwszy raz w życiu widział!

Zmieszał ją prawie jego wzrok, zarumieniła się i nie wiedziała, co ma zrobić z oczyma.

On znowu patrzył w nią, jak człowiek, który czuje, że między nim a kimś drugim zachodzi nieporozumienie.

— Pomędzy przyjaciółmi?... — powtórzył mimowoli tonem powątpiewania; ale ona, zajęta więcej sobą i swemi myślami w tej chwili, nie dostrzegła tego odcienia w głosie i mówiła dalej:

— Pisałam panu przecież, że przygotowuję się do bardzo ważnego kroku w mojem życiu i że będę potrzebowała rady przyjaciela; tym przyjacielem

może być tylko jeden człowiek na całej kuli ziemskiej!

Powiedziała te ostatnie wyrazy z przesadną nieco afektacją, która niemile wrażenie zrobiła na doktorze.

— A wiesz pan, kto jest tym człowiekiem? — dodała po krótkim przestanku.

— Nie domyślam się nawet!

— Pan! — wyszeptała uroczyście.

— Ja?...

— Tak, pan, panie Franciszku. Dziwi to pana?...

Wyciągnęła do niego rękę, z której podczas całej rozmowy zdejmowała i wkładała rękawiczkę i czekała, ale doktor nie spieszył się jakoś wcale do odebrania tego uścisku.

— Doprawdy — rzekł z widocznym zakłopotaniem — stawia mnie pani w sytuacji nader drażliwej i daremnie usiłuję wytłumaczyć sobie, czem właściwie zasłużyłem na to zaufanie i wiarę u pani?...

— Czem?... O, niech pan nie udaje!... pan dobrze wie!... — odparła znacząco i z naciskiem. — Ja w pana jednego wierzę i co mi pan uczynić każe — uczynię, choćby to był wyrok śmierci!...

Pniak ujął jej rękę, wyciągniętą ciągle ku niemu i nieznacznie położył palec na pulsie; ręka ta była zimną, ale chwilami drgała nerwowo, a drżenie to dawało się zauważyć jednocześnie w oczach i około bladych ust dziewczyny.

— Jeżeli mi pan powie: nie jedź!... nie pojadę —

odezwala się bez związku z poprzednimi swemi słowami — ale jeśli się pan zgodzisz, wtedy... porzucę wszystko i wyjadę.

Coraz mniej ją rozumiał i coraz przykrzejszą wydawała mu się ta sytuacja.

— Dokądże pani się wybierasz? — spytał wreszcie.

— Do Genewy, do Zurychu, do Paryża! — gdziekolwiek, to mi będzie wszystko jedno wtedy.

— Z dziadkiem?... czy sama?...

— Rozumie się, że sama!... cóż to, czy ja nie dam sobie rady w świecie?... Ja i tu przecież jestem sama: sama wszystko robię, sama chodzę wszędzie. Kobieta powinna wystarczać sobie bez cudzej opieki!

— I po co wybierasz się pani za granicę? — zagadnął ją.

— Potrzebuję celu w życiu!... — odpowiedziała mu nieco patetycznie — albo to, co wiem, albo medycyna!

— A!... chcesz pani pojechać na studia?...

— Tak, ale tylko w takim wypadku, jeżeli nie będę miała po co tu zostać.

Puścił jej rękę i cofnął się nieco z krzesłem.

— Sądzę, że tutaj zawsze byłby powód do zatrzymania pani — rzekł ozięble, ale ona musiała inaczej wytłumaczyć sobie te słowa, bo zarumieniła się nagle, oczy jej zabłysnęły, twarz cała ożywiła

się niezwykle i z jakimś dziwnym wybuchem radości i zadowolenia zawołała:

— Więc pozwalasz mi pan zostać!?...

Zwrócił znów na nią oczy ze zdziwieniem i jeszcze ozięblej odrzekł:

— Przepraszam panią, ale tu moja wola nie nie znaczy; chciałem przez to powiedzieć, że masz pani obowiązki względem starego dziadka, któremu jesteś potrzebną i którego przecie nie można porzucać.

Twarz jej, rozpromieniona przed chwilą, zgąsła odrazu i wyraz wielkiego rozczerwienia zastąpił poprzednią radość i szczęście.

— Pan myślałeś tylko o dziadku? — wyjąknęła zmienionym głosem — a... a nie... a nie... o kimś innym?...

— O kimże mógłbym myśleć?... — rzucił jej spokojnie, powoli, to proste i naturalne zapytanie, które podziało na nią, jak strumień zimnej wody.

Spojrzała na niego zmieszana, błądzą, zawiedzioną — i to nerwowe drżenie w twarzy ponowiło się teraz szybko raz po raz; otworzyła usta, ale słowa jej uwieźły w gardle, chciała przemówić i nie mogła.

Doktor oczu z niej nie spuszczał, patrząc jej poważnie, badawczo i głęboko w same źrenice, jakby zatapiał w nich sondę — i po raz pierwszy przejrzał jakąś tajemnicę, która dotąd była dlań ukrytą.

Wytrzymał ją wzrokiem długą chwilę, zagry-

www.libtool.com.cn
zając usta i marszcząc czoło, potem odetchnął głębiej i rzekł:

— Pani jesteś chora, panno Lolo; pani powinna się leczyć.

Zdawała się nie słyszeć jego głosu i zatopiona była czas jakiś w zadumie; znać było, że przechodzi z sobą głuchą walkę, nie mogąc się pogodzić z myślą, która się po mózgu jej przewalała.

— Zatem pan... radzisz mi pozostać tylko dla dziadka? — rozpoczęła, jakby sama nie mogła uwierzyć temu.

Powstał z krzesła i tym samym tonem, zimnym, spokojnym, co poprzednio odpowiedział:

— Zdaje mi się, że to powód wystarczający; innych nie znam.

Drgnęła i instynktownym ruchem podniosła mufkę, zasłaniając sobie twarz.

Doktor stał na środku pokoju i przypatrywał się jej niezdecydowany.

Zaczął rozumieć zagadkę, której z początku nawet nie przewidywał.

Ona z twarzą ukrytą w futrzanej mufce, siedziała na fotelu, bez poruszenia, bez głosu, jak gdyby czuła na sobie jego wzrok i nie śmiała spotkać się z jego oczyma; bała się wyczytać w nich to, czego jej głośno dotąd nie wypowiedział:

— Zawiodłaś się; ja o tobie nawet nie pomyślałem dotychczas!... jesteś mi pani obojętną i nie na-

rzucaj mi się z uczuciem, którego podzielać nie mogę. Nie moja wina, że się pomyliłaś!

Zdawało jej się, że to milczenie jego ją upokarza i że nie otwiera ust tylko dlatego, aby nie wymówił słów:

— Jesteś śmieszna!...

Uczuła nagle całą niestosowność swojego kroku, całą błahość pozorów, którymi pokryć chciała swoje odwiedziny u niego; wyobrażała sobie całkiem inaczej to spotkanie i rozmowę, która miała do innych doprowadzić ją wyników.

Była zawiedziona, rozczarowana, zawstydzona, nie wiedziała, co począć z sobą, jak wyjść z tej sytuacji, w którą wpadła sama, niby w zasadzkę, przez swoją własną nierozwagę.

Zdradziła się przed nim z tajemnicy swojego serca w tem przekonaniu, że on się jej oddawna domyślał i że potrzebowała tylko poddać mu sposobność do wzajemnego porozumienia, a tymczasem jemu ani się śniło kochać ją, starać o jej uczucie, dbać o nie cokolwiek i przykładać jakąkolwiek wagę do jej osoby i jej miłości.

Była mu zupełnie obojętną, to widoczne.

Ten wyraz zdziwienia w jego twarzy, ten zimny, jakby odpychający ton, którym się do niej odzywał, te jego odpowiedzi z naciskiem na pewnych wyrazach dawały jej aż nadto do poznania, że się przerachowała i łudziła tylko nadzieją jakiejś wzajemności, opartej niewiadomo, na czem.

www.libtool.com.cn
— Ośmieszylaś się — mówiła sobie w duchu — ośmieszylaś wobec człowieka, który był twoim ideałem, ale który cię nie chce, któremu na tobie nie zależy... Dał ci to przecież wyraźnie do poznania. Jak mogłaś tak fałszywie tłumaczyć sobie wasz stosunek i dopatrywać się w nim czegoś więcej, oprócz zwyczajnej znajomości?... On nawet za przyjaciela twego się nie uważa. Co on pomyśli teraz o tobie?... żeś śmieszna, głupia i zarozumiała!...

Zdawało jej się koniecznie, że teraz on naigrawa się z niej i uśmiecha szyderczo, spoglądając na jej zakłopotanie; miała ochotę zerwać się i nie odslaniając twarzy, uciec z tego pokoju bez wytłumaczenia, bez pożegnania, byle go nie zobaczyć więcej.

Chwile upływały; sytuacja stawała się dla obojga coraz drażliwszą.

On znowu zbierał myśli i szukał słów, w którychby oszczędzając jej miłość własną, najdelikatniej usprawiedliwił się przed nią, że zaskoczony niespodzianką, jaką były jej uczucia dla niego, ani przyjąć, ani podzielać ich nie może.

Uważał sobie za obowiązek uczciwości wyprowadzić ją z błędu, na jaki sama się naraziła, ale chciał to uczynić o ile możności najogłędniej.

Pragnął odrazu siebie i ją wyprowadzić z tego dwuznacznego położenia, którego skutki mogły być jeszcze gorsze dla niej samej.

Podszedł bliżej i opierając się jedną ręką o stół,

drugą zlekka ujął jej ramię z wyrazem współczucia, chcąc przemówić do niej łagodnie i pomódz do odzyskania równowagi, ale jej nerwy, naprężone chorobliwą nadezłością, zadrżały nagle i wywołały instynktowny odruch; — cofając się od niego gwałtownie, odskoczyła w bok aż pod ścianę, ze słowami:

— Proszę, nie dotykaj mnie pan!...

Zmienioną była do niepoznania.

Oczy jej pały, na policzkach miała wypieki, usta zwężone drgały w kącikach grymasem tłumionej złości, ściągała i podnosiła brwi, mierząc go ostrem spojrzeniem, w którym dawniejszą czułość i rzewność zajął teraz niewytłumaczony wyraz nienawiści jakiejś i podrażnienia.

Pniak wyprostował się i zdumiony tą nagłą zmianą usposobienia histeryczki, zaczął:

— Ależ, panno Lolo...

Cofnęła się jeszcze o krok ku oknu i nie panując już nad sobą, przerwała mu z płaczem, który jej słowa dławił:

— Niech pan do mnie nie mówi!... ja nie chcę nic słyszeć!... pan mi nic nie ma do powiedzenia... Ja już wiem wszystko!... ja proszę... ja... ja chcę tylko odejść, proszę mnie puścić!...

Stała jednak w miejscu i oddychała spiesźnie, zasłaniając się rękoma, a źrenice jej powiększone, ponuro i groźnie patrzyły na niego.

Próbował ją uspokoić słowami:

— Ależ niech się pani uspokoi!... panno Lolo, pani jesteś rozdrażniona... Co się pani stało?... ja przecież w najlepszym zamiarze.

— Niech pan do mnie nie mówi!... niech pan do mnie nie mówi!... — szeptała zdyszonym głosem — ja już wiem wszystko, wiem wszystko!... Źle zrobiłam, że tu przyszła... Zabrałam panu tyle czasu... przepraszam pana... Niech pan zapomni, że tu byłam... ja już wychodzę, już idę... Ja już wiem wszystko!...

Zasłoniła sobie nagle oczy ręką i umilkła, jęknąwszy boleśnie; ale po chwili z ust jej dał się słyszeć nerwowy, urywany śmiech, pomieszany ze łkaniem, wśród którego zmienionym głosem wyrzucała spieszenie urywane słowa:

— Co pan... co pan sobie o mnie pomyśli!... pan pomyśli, że ja jestem waryatka, prawda?... A ja nie jestem... wcale nie jestem... tylko biegłam tu do pana po schodach tak prędko i dostałam bicia serca... ale to nic... nie mi już nie jest. Żegnam pana, panie doktorze!... a pewnie nie prędko się zobaczymy. Ma pan słuszość, ma pan słuszość, nie mam po co wyjeżdżać za granicę. Tak, tak, trzeba zostać przy dziadku, ja też zostanę, zostanę... Żegnam pana!

I spuściwszy szybko woalkę na twarz, poszła spiesznym krokiem ku drzwiom, szarpnęła z impetem klamkę i głośno zatrzaskując drzwi za sobą, wybiegła na kurytarz.

Pniak oszołomiony patrzył za nią przez chwilę, a pierwsza wyraźniejsza myśl, która mu przemknęła przez głowę, była:

— Brzydka i histeryczka!...

Splótł ręce, głowę zwiesił i wpatrując się w podłogę, szepnął do siebie po namyśle:

— No, no!... tego mi tylko było trzeba!...

Nie przypuszczał nawet wówczas, żeby ta scena mogła mieć jakie następstwa w przyszłości; całe życie tak mało myślał o sobie i tak mało sobą się zajmował!...

Zdawało mu się zawsze, że dla swego osobistego szczęścia nie potrzebuje nic ponad to, co mu dana chwila przyniosła i że gdyby miał zdobywać cokolwiek dla siebie samego w życiu, nie ruszyłby nawet palcem, nie uczynił ani jednego kroku, nie spróbował najmniejszego wysiłku.

Od dzieciństwa przywykł do ciężkiej pracy, ale zawsze z myślą o jakimś celu poza sobą; w szkołach uczył się najpilniej i najgorliwiej ze wszystkich kolegów, kuł po całych dniach i nocach, byle tylko zdobywać promocję i swojej opiekunce, która na jego wykształcenie łożyła, składać z końcem każdego roku świadectwa postępów i przekonywać ją, że czasu nie marnuje na studyach, odbywanych jej kosztem.

Na medycynie marzył o złożeniu doktoratu, byle jak najrychlej oddać się pracy zawodowej i rozpocząć działalność lekarza w warunkach choćby

jak ~~w najuciążliwszych~~, nie szukał karyery w tym zawodzie, ani zadowolenia jakiegokolwiek ambicyi.

Z góry miał postanowiony plan przeniesienia się na wieś i rozpoczęcia tam swojej praktyki, gdzie mógłby być najpotrzebniejszym i najbardziej użytecznym.

Z tego powodu przyjął posadę lekarza fabrycznego w pobliżu Omylina, aby być „pośród swoich” i na całą okolicę rozszerzyć działalność w ciężkiej walce z przesądem ciemnego ludu, z wpływem znachorów i wyzyskiem felczerów.

Milczący, zacięty, zamknięty w sobie, nie zwierzał się nikomu ze swych zamiarów i projektów, ale dążył ku nim wytrwale z istnem zaparciem się siebie i z tem zrezygnowaniem przejęciem posłanników idei, wobec której ustępowały wszystkie egoistyczne uczucia i cele.

Nieboszczka Krokowska poznała się na nim pierwsza najlepiej i oceniła moralną wartość swego wychowanka, zwłaszcza od czasu kilkoletniego jego pobytu na wsi i rozpoczęcia tej cichej, żmudnej, celowej pracy, która powolne, ale widoczne żłobiła ślady swej pożyteczności.

Stąd pochodziła ta wiara i zaufanie, jakich nabrała dla niego i ta głęboka sympatya, zmieszana z szacunkiem, którą żywiła dlań do końca życia.

Patrzała na jego zajęcia, na niezmordowany trud, na wpływ, jaki sobie wyrabiał i powtarzała:

— A widzicie, jak mi się mój Franek z pod lasu

udał!... no, czy taki człowiek, to nie błogosławieństwo Boże dla całej okolicy?...

Nietylko instynktem szlachetnego serca, ale i przenikliwością rozumnej kobiety wybrała go też na wykonawcę swojej ostatniej woli i urzeczywistnienie pozagrobowych dążeń swych na jego głównie złożyła odpowiedzialności, czyniąc męża dożywotnikiem zapisu.

W tym mandacie, powierzonym mu przez opiekunkę i dobrodziejkę od lat chłopięcych, Pniak widział teraz wypełnienie dla siebie całego życia i do reszty zapomniał o sobie.

Przy łożu umierającej Krokowskiej ślubował w duchu poświęcić się całkowicie sprawom, testamentem jej objętym i odtąd żył prawie tylko tą jedną ideą, czyniąc zabiegi i starania około przygotowań do wykonania zapisu.

Wiadomość o rozpoczętym procesie nie zraziła go i nie zachwiała; obawiał się tylko zwłoki w dążeniu do celów, ale na chwilę nie wątpił, że proces musi być wygrany.

Podrażniony był jednak nikczemnością strony przeciwnej, dla której żywił i tak niechęć instynktową, podniesioną teraz do stopnia pogardy.

Odwiedziny Lolusi i odkrycie owej chorobliwej miłości, którą dla niego tliło się jej serce, sprawiło mu na razie przykrość i zakłopotanie.

— W dobrą porę mi licho zesłało amory! —

mruknął, jakby z urazą do losów — ja mam właśnie głowę do myślenia o kochaniu w takiej chwili!...

Skrzywił usta z niesmakiem i zamyślony chodził po pokoju.

Ta „närwana dziewczyna“ wmieszała mu się tak niepotrzebnie w życie i zmąciła równowagę umysłu, której dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, potrzebował.

Machnął wreszcie ręką i wymówił tylko: „at!“, które miało znaczyć:

— Niech się dzieje, co chce!...

U Szyrmów dnia tego przypadał właśnie seans ze zwykłym udziałem Kloniewicza i Lolusi, wybranej przez duchy na uprzywilejowane medium.

Owe spirytystyczne wieczory zamieniły się w ściśle kółeczku domowym pana Piotra na jakieś mysterya familijne; odkąd przekonał się o istnieniu duchów pukających i przynoszących mu wieści o ukochanej Femie, z którą nawet bezpośrednio już parę razy rozmawiał za pośrednictwem stolika, przerzucił się z jednego krańca w drugi, stał się istnym fanatykiem nowej wiary i wobec tajemniczych objawów niewidzialnego świata — grzęznął w jakimś chaosie teorii pseudo-naukowych, które mu Kloniewicz niejasno wykladał, zabobonu, który się w umyśle jego coraz głębiej zakorzeniał i dawnej religijności, do której wrócił po zbłądzeniu.

Seanse rozpoczynały się teraz u Szyrmów na-

bożą modlitwą i prośbą do Boga, aby duszyczkę ś. p. Femy uwolnił na godzinę lub dwie i pozwolił jej obcować z rodzicami.

Pan Piotr z poważną, namaszczoneą miną, w szlafroku i pantoflach, zasiadał do stolika, najczęściej już po herbacie i z głębokiem przejęciem przystępował, jakby do odprawiania jakiegoś kultu tajemniczego, żegnając się i zagajając każde posiedzenie naiwną, ale rozrzewniająco czułą nieraz przemową do stolika:

— Moja Femusiu, nie daj nam też dzisiaj zbyt długo czekać na siebie!... Prosimy cię, moje dziecko, jeżeli masz nam co powiedzieć, to zrób to zaraz, bo widzisz, matka jest trochę niezdrowa dzisiaj i mnie się spać zachciewa...

Duch ukochanej Femusi okazywał niekiedy zaskakujące postuszeństwo i zanim „kółko“ zdołało utworzyć magnetyczny łańcuch przy stoliku, rozpoczynał już rozmowę, jeżeli był łaskawie usposobiony.

Mówiło się wówczas:

— Jakoś Fema jest dziś w dobrym humorze!...

Kloniewicz pouczył szybko starego Szyrmę i ko-biety o wszystkich ważniejszych zasadach medyzmu i spirytyzmu, naznosił im książek ze swojej biblioteki, mówił o Allan Cardec'u, o Hume'm, o Katie King, wytłumaczył, że unoszenie się stolika w powietrzu nazywa się „lewitacją“, znoszenie przedmiotów rozmaitych przez niewidzialne ręce

„aportami”, zapowiadał „materyalizację”, czyli wcielanie się w widome kształty duchów — i w krótkim czasie wszyscy oswoili się z tą terminologią do tego stopnia, że nie było już dla nich żadnych kwestyi wątpliwych, ani żadnych objawów niespodzianych.

Duch nieboszczki Trautówny pośredniczył jednak stale w rozmowach ze światem pozagrobowym, bo, jak się okazało, Fema nie była dostatecznie przygotowaną w ortografii, schodząc z tego padołu marności i dyktując swoje naiwne odpowiedzi litera po literze, robiła niejednokrotnie błędy, które stały się przyczyną rozmaitych nieporozumień i daremnej straty czasu.

Na szczęście Kloniewicz wpadł na oryginalny pomysł i pewnego razu, z wielką powagą i namaszczeniem, nachylając się ponad stolikiem, przemówił do ucha byłej guwernantki:

— Czy nie zechciałaś zrobić nam wielkiej przysługi?...

Stołowa nóżka tupnęła po namyśle trzykrotnie na znak przyzwolenia.

— Zgadza się, zgadza! — zawołały z radością kobiety — mów pan tylko dalej!

— Prosimy cię, abyś swojej dawnej uczennicy nie wypuszczała nadal z opieki i udzielała jej w dalszym ciągu lekcyi, przerywanych tu za życia, szczególnie co do poprawnej pisowni, której błędy nas bałamuca w jej odpowiedzi.

Stołowa nóżka pomchwili wypukała obietnicę:

— Zrobię to dla was.

Kloniewicz uniósł się nieco z krzesła i pochylił głowę, jakby z ukłonem przed żyjącą osobą, z namaszczeniem wyrzekłszy słowa:

— Dziękujemy ci!...

W kilka dni później okazały się już widoczne skutki tej prośby; Fema robiła coraz mniej błędów, a pan Piotr nie posiadał się z radości, wołając do żony:

— Matka!... czy ty uważasz, jak ona teraz dobrze dyktuje?... ani razu się dzisiaj nie zmyliła! — a głaszcząc stolik płaską ręką z taką czułością, jak gdyby najmłodszą córkę swoją gładził po główce, przemawiał do niej w najgłębszem przekonaniu, że go słyszy:

— Dobrze, dobrze, moje dziecko!... słuchaj tylko panny Ludwiki i ucz się... bądź pilną... Rodzice są z ciebie bardzo zadowoleni, Femusiu!...

Ta ślepa, zabobonna wiara w nawiązany stosunek ze światem duchów, udzielała się coraz więcej wszystkim uczestnikom tajemniczych seansów, stała się niemal obłędem otumanionych umysłów kobiecych w rodzinie Szyrmów, działała przez sugestję, wywoływała halucynacje.

Garbata Pietrunia w jasny dzień zaczęła widywać jakieś cienie w kształcie rąk, sięgające po rozmaite przedmioty na ścianie. Kawęcka opowiadała pod największym sekretem mężowi, że po no-

— cach słyszy jakieś głosy w ciemnym pokoju, nad swoją głową, śmiechy, szepty i pocałunki, które jej niewidzialne usta najwyraźniej składały na twarzy, a kiedy mąż ją nazwał waryatką i wyśmiał się z tego, obraziła się na niego i zagroziła, że poskarży ojcu.

— Ty jesteś niedowiarek! — wyrzucała mu — mądrala!... zdaje ci się, żeś filozof, a nie rozumiesz najprostszej rzeczy. Spytaj się mamy, to ci powie, jak wczoraj lampa przeszła sama z tego stolika na szafę.

— Sama?...

— A sama!... żebyś wiedział, że sama!... Mama widziała, a mama przecież nie kłamie!...

— I któż ją przeniósł?...

— Któżby?... Trautówna ją przeniosła, bo Fema nie sięgnęłaby tak wysoko.

Mąż śmiechem parsknął jej w oczy.

— Pilnujcie wy się tylko, żeby wam kiedy głów nie powynosiła do komina, albo na dach! — żartował, naigrawając się ze ślepej wiary żony i teścia.

Za karę nie dopuszczano go do seansów, jako niegodnego sceptyka i szydercę z rzeczy tak poważnych, z czego był bardzo zadowolony, bo mógł wieczorami wychodzić na piwo i na bilard, którego był wielkim amatorem.

Kloniewicza nazywał poprostu szarlatanem i podejrzewał, że sobie z nich wszystkich żartuje.

— Trafił na głupich frajerów, więc zawraca wam głowy — mówił do żony w cztery oczy, nie śmiać wobec teścia głośno zdradzić się ze swoją opinią.

Kawęką to do pasyi doprowadzało; nie mogąc męża przekonać argumentami, przytaczała mu coraz cudowniejsze przykłady i powiadała o objawach nadzwyczajnych, jakich bywała świadkiem.

— No?... no?... może powiesz, że i to nie prawda? — kończyła zwykle podrażniona, gotowa mu do oczu skakać i przysięgać na wszystkie świętości, że wczoraj, w samo południe, gdy był w biurze, ogromny kamień spadł nagle z sufitu na sam środek pokoju, albo że do ściany z zewnątrz puknęło trzy razy tak, jakby kto pięścią walił, albo że kiedy Lolusia „wpadła w trans“, to z pod mamy coś wyciągnęło krzesło i postawiło je ponad głosami wszystkich, na stoliku.

Kawęcki spoglądał na nią z pod oka i uśmiechał się sceptycznie z takim wyrazem, jak gdyby mówił:

— Do czubków!... do czubków'...

Od chwili, kiedy zaczęto z duchami rozmawiać o poważniejszych sprawach i dopytywać się o kwestye coraz drażliwsze, seanse spirytystyczne w domu Szyrmów nabrały jeszcze większego znaczenia.

Na każdym posiedzeniu teraz zajmowano się wynikiem procesu o spadek familijny, zasięgano opinii i rady duchów, stawiano pytania co do rozmaitych osób i spisywano odpowiedzi, zwykle dwuznaczne

i zagadkawe, nad którymi potem przez cały dzień łamano sobie głowy.

Szubina, dopuszczona do jednego z seansów, chcąc wybać wiarygodność duchów, zagadnęła wprost wszystko wiedzącą Trautównę:

— Kto nam najwięcej przeszkadza w odebraniu spadku?

Nieboszczka Ludwika zatrzęsła tak gwałtownie stolikiem, że omal nóg mu nie połamała i z widocznym oburzeniem nagle odpowiedziała:

— Pniak!...

Na Szubinę aż poty uderzyły.

— A co?... — zawołała, przekonana już do głębi tą jedną odpowiedzią — ja zawsze mówiłam, że przez tego Pniaka wszystko złe się nam stało!...

Wogóle osobistość Pniaka odgrywała od pewnego czasu ważną rolę na seansach spirytystycznych u Szurmów.

Nieboszczka Fema i opiekuńczy jej Iks w postaci zmarłej guwernantki, którym za życia zapewne nawet nazwisko jego było obce, teraz rozmawiali o nim i wyrokowali, jak o najlepszym znajomym, nie szczędząc mu epitetów wcale nie-pochlebnych.

W opinii ich, jako obdarzonych przenikliwością istot nadziemskich, był on intrygantem, czarnym charakterem, chytrym i złośliwym obłudnikiem, którego wpływ należało usunąć i zniweczyć dla dobra całej rodziny.

To ~~nieżyczliwe~~ usposobienie duchów w dziwnej zgodzie pozostawało z uczuciami, jakie dla niego żywiło medium od czasu ostatniej z nim rozmowy w hotelu.

W sercu Lolusi zaszła bowiem nagła i krańcowa zmiana dla jej dawnego ideału; sama nie byłaby umiała wytłumaczyć sobie, co w niej zaszło, ale miejsce bezwzględnej adoracyi i owej cichej, ukrytej miłości, którą, zdawało się, miała dla doktora, zajęła teraz głęboka uraza i nienawiść dziwnego rodzaju.

Przestała go kochać i czcić prawie w jednej chwili, odkąd się przekonała, że padła ofiarą własnej swojej pomyłki i nieporozumienia.

Egzaltowana jej natura, podniecona jeszcze bardziej chorobliwymi nerwami, zdolną była do takich gwałtownych, nielogicznych na pozór prze-skoków.

Zdawało jej się teraz, iż ma do niego najśluszniejszą pretensyę, że ją śmiertelnie obraził i że jest jej wrogiem, skoro odrzucił nietylko miłość, ale nawet przyjaźń, którą mu chciała poświęcić.

Jak wogóle osoby z bujną imaginacją, skłonna była do przesady i rozpamiętywając swoją rozmowę z nim w hotelu, snuła istne improwizacye na temat tego, co mu niby mówiła, a co właściwie *post factum* roilo się w jej głowie — i dopełniała to rzekomemi odpowiedziami, których z ust jego wcale nie słyszała.

Rozdrażniona była i zdenerwowana w tym czasie, jak nigdy, ale Kloniewicz utrzymywał, że jako medium znajduje się w doskonałym usposobieniu, zdolnem wywoływać najpoważniejsze objawy.

Stary Orsza jednak nie miał nawet pojęcia o tem, co się z udziałem jego wnuczki od dłuższego czasu działo w domu Szyrmów; wiedział tylko, że chodzi do nich wieczorami i późno wraca.

Dolegał mu artretyzm, więc się nie ruszał ze swego pokoiku i wcześniej kładł się spać, pozostawiany przez Lolusie jedynie na opiece sługi.

Cały świat był mu i tak obojętny poza jego spuchniętą nogą, którą w bandażach trzymał na stołeczku, drzemiąc w fotelu za dnia, a chrapiąc w łóżku, jak trąba jerychońska, po nocach.

Jakkolwiek praktyki spirytystyczne u Szyrmów otaczane były wielką tajemniczością, wiadomość o nadzwyczajnych zjawiskach „w pewnym domu na Lesznie“ przedostała się do pism i sensacyjnością swoją sprawiła na czytelnikach wrażenie niezwykłe.

„Wiadomości brukowe“ polując na tego rodzaju nowinki, zamieściły artykuł o cudownem medium w osobie panny X, która poddaje się od dłuższego już czasu naukowym badaniom jednego ze specjalistów w dziedzinie nowych zjawisk.

Wspomniano coś o czwartym wymiarze przy tej sposobności i wymieniono też nazwisko Kloniewicza, przypominając jego artykuły, zamieszczane przed

kilku laty w jednym z pism: „O ślepych, którzy nie chcą widzieć i głuchych, którzy nie chcą słyszeć“.

Naturalnie, że wiadomość ta, wystylizowana półsłówkami, które obliczone były na rozbudzenie ciekawości czytelników, wyszła z pod pióra młodego Szuby, na podstawie relacji, dostarczonych mu pod największym sekretem przez matkę.

Któregoś dnia spotkawszy Kloniewicza na ulicy, zamówił u niego szereg artykułów dla „Wiadomości brukowych“ z dziedziny medyumizmu i spirytyzmu.

— Tylko, panie doktorze — ostrzegał go — piszcie samą prawdę, ale jaskrawo, sensacyjnie, malowniczo... Ludek to czyta!... Możesz doktor kropnąć nawet parę tysięcy wierszy, to nic, byle zajmująco. My miejsca nie żałujemy dla studyów naukowych!

Następnego tygodnia „Wiadomości“ zapowiedziały na czele numeru szereg nadzwyczaj ciekawych artykułów p. t. *Piu luce* (Więcej światła!).

Prenumeratorzy przybywający z nowym kwartałem mieli otrzymywać początek tej niezwyklej pracy, odsłaniającej najnowsze zdobycze wiedzy z dziedziny psycho-fizjologii, całkiem bezpłatnie, za nadesłaniem tylko drobnej kwoty na kosztą przesyłki pocztą.

— Zrobi się huczek!... — mówił z tajemniczym uśmiechem do swego redaktora pan sekretarz re-

dakcyi (awansował na sekretarza redakcyi młody Szuba w nagrodę za ten pomysł wyzyskania Klonowicza) — zrobi się huczek!... Taka bomba na początku kwartału nie zawodzi nigdy.

Redaktor Kłapczyński, z fizyognomią wiecznie pochmurną i udającą poważne zamyślenie nad samemi sprawami *pro publico bono*, których jedynym organem w jego przekonaniu były tylko „Wiadomości brukowe“, poklepał protekcyjonalnie po ramieniu swego współpracownika i powiedział:

— Panie Szuba, pan się wyrabiasz!... wiesz pan?.. z pana będzie dobry dziennikarz!...

Szuba poprawiał binokle na zadartym nosie i z zrozumiałą miną odrzekł, pewny siebie:

— Spodziewam się!... redaktor to dopiero teraz zauważył?...

Piu luce miało zrobić sensację i zrobiło; wyrwano sobie z rąk pierwsze numery „Wiadomości brukowych“.

Kłapczyński kazał powiększyć nakład o trzysta egzemplarzy.

Bomba poskutkowała; ludek miał się czem zajmować przez kilka tygodni.

A tymczasem druga sprawa publicznego znaczenia rosła, jak balon, powoli, do coraz większych rozmiarów — sprawa obalenia testamentu Krokowskiej.

IV.

Przy końcu obiadu, który w Omylinie podawano stale o godzinie szóstej z wieczora, posłaniec dworski przywoził z poczty dzienniki i listy; kamerdyner Antoni wnosił je zwykle jednocześnie z czarną kawą, a Krokowski otwierał korespondencję i odczytywał ją w swoim gabinecie przed poobiednią drzemką.

Od kilku dni, wbrew swemu zwyczajowi, nie kładł się wcale na perskiej otomanie, która stała wzdłuż całej ściany zacisznego pokoju w prawem skrzydle pałacu, a z której przez otwarte drzwi do salonu mógł spoglądać na portret nieboszczki żony, wiszący nad kominkiem i mieć ją ciągle na oczach, dopóki mu ich sen nie skleił.

Jakaś uparta, niecierpliwa myśl nie dozwalała mu zasnąć od czasu, gdy niespodzianie otrzymał list, pisany nieznaną mu ręką, a rozpoczynający się od słów: „Nieszczęśliwy mój przyjacielu!...”

www.libtool.com.cn
List był bezimienny i zakrawał na mistyfikację, ale autor jego, jak gdyby przewidywał możliwość tego podejrzenia, w bardzo zręczny i podstępny sposób starał się przybrać pozory szczerości, rozbudzając powoli ciekawość i zainteresowanie adresata.

Na kopercie znajdował się stempel wagonu pocztowego, bez oznaczenia miejsca.

Wrażenie, jakie sprawił na Krokowskim, było jednak głębokie i zamąciło wielce jego spokójnoś.

„Jeżeli pamięć Twoja nie osłabła — pisał ów tajemniczy korespondent — to może rozpoznasz życzliwą rękę, którą niegdyś ścisłałeś przyjaźnie w latach młodości, a która dzisiaj ujęła pióro, aby skreślić do Ciebie tych kilka wyrazów, w zamiarze oddania Ci ważnej przysługi, a raczej spełnienia obowiązku sumienia.

„Mam powody, dla których do czasu muszę pozostać bezimiennym; później sam się przekonasz, że powody te były słuszne, jednak na teraz nie badaj, nie podejrzewaj, tylko zaufaj życzliwej Ci osobie i uważnie odczytuj moje listy, dyktowane przez serce Ci przychylne i przez honor człowieka, posiadającego tajemnicę dwóch grobów...

„Zrobisz z tem potem, co uznasz za stosowne; pozostawiam to twojej wyrozumiałości i doświadczeniu.

„Stawiam tylko czasowo jeden warunek: bezwzględnej dyskrecyi, dopóki nie dowiesz się wszyst-

kiego i nie stwierdzisz sam prawdziwości faktów, które mam zamiar Ci zakomunikować.

„Powtarzam, że dla Ciebie jest to sprawa wielkiej wagi.

„Przygotuj się na odkrycia, których zapewne nawet nie przypuszczałeś, a z których wyjawieniem sam się wahałem i dotąd jeszcze waham; zostawiam Ci przeto trochę czasu do pozyskania zupełnej równowagi i zbadania swoich sił.

„Jeżeli w usposobieniu, w którym się dzisiaj znajdujesz, nie czułyś się dość pewnym do wysłuchania spokojnie tajemnicy, mogącej zbyt silnie wstrząsnąć Twojem zbolełym sercem, daj mi znać o tem w jednym z trzech najpopularniejszych naszych dzienników pod rubryką prywatnej korespondencji. Tych kilka wyrazów: *Życzliwemu przyjacielowi* — *nie teraz*, powstrzymają mnie od pisania dalszych listów i doświadczenia Twojego spokoju.

„Jeżeli w ciągu dni czterech odpowiesz Twojej nie znajduję wydrukowanej, napiszę znowu, a tymczasem polecam Cię Bogu i oddaję Jego świętej opiece“.

Po odczytaniu listu w tak zagadkowym stylu, Krokowski nie wiedział w pierwszej chwili, co począć; nie domyślał się nawet, w jakim celu ów życzliwy przyjaciel odzywał się do niego i co właściwie oznaczać miała „tajemnica dwóch grobów“.

Przejęty był jednak do głębi zapowiedzią owego ważnego odkrycia, które budziło w nim wzrasta-

jącą z każdym dniem ciekawość i jakąś instynktową obawę.

Lękał się dowiedzieć czegoś, coby zbyt silnie mogło wstrząsnąć jego zboleiał sercem i pragnął jak najprędzej osiąść ową tajemnicę, której wyjawienie nazywał bezimienny przyjaciel obowiązkiem swego sumienia i honoru.

Przyglądał się pismu i trudził nadarmo swoją pamięć, usiłując odgadnąć, czyja życzliwa ręka kreśliła te wyrazy, mające niby oszczędzać jego uczucia i spokojność, a wbrew pozornym intencjom, wystawiające je na najcięższą próbę.

Próbował otrząsnąć się z pierwszego wrażenia i nie myśleć o tem, ale mimowoli wyjmował ów list po raz setny i odczytywał go z uwagą, zastanawiając się nad każdym wyrazem.

Ciekawość, z piekielną złością podrażniona, paliła go i nie dawała mu chwili spokoju.

Nie mógł teraz dosiedzieć do końca obiadu i doczekać się posłańca z poczty; unikał spojrzeń Pniaka i Włodzińskiego, jakby się lękał zdradzić przed nimi.

Wiedział, że przed upływem oznaczonego terminu nie może się spodziewać dalszego ciągu tajemniczej korespondencji, a jednak codziennie drżącemi rękoma przebierał dzienniki i listy rozmaiej treści, przywożone z poczty, szukając koperty ze stemplem pocztowego wagonu.

Każdy dzień rozczarowania rozdrażniał go tylko jeszcze bardziej.

Termin upłynął — nowego listu nie było.

Nareszcie szóstego dnia nad wieczorem Antoni na srebrnej tacy przyniósł, jak zawsze, paczkę gazet, kilka korespondencji z Warszawy, a na samym spodzie kwadratową kopertę, której sam widok dreszczem przejął Krokowskiego.

Wyciągnął szybko rękę po list, tak niecierpliwie oczekiwany i nie mogąc się dłużej powstrzymać, wstał od niedokończonego obiadu, porwał pismo tajemniczego przyjaciela i wyszedł spiesźnie do swego gabinetu.

Chciał być sam przy odczytywaniu listu, który zawierał dalszy ciąg tak intrygującej zagadki.

Rozerwał kopertę, zbliżył się do lampy, oparł łokciem o stół i zaczął przebiegać pismo wzrokiem.

List zawierał cztery bite stronicy, a w nagłówku odzywał się znowu do „nieszczęśliwego przyjaciela“.

Szeroko i długo kołując, tajemniczy anonim unosił się nad trudnością swojego zadania, dziękował za zaufanie, które go ośmielało do dalszego pisanie i usprawiedliwiał się, że nie przystępuje od razu do rzeczy — ale:

„To, co Ci mam zwierzyć — wyrażał się — wymaga ostrożności i delikatności niezwykle. Gdyby to dotyczyło żyjących osób, nie wahałbym się

wprost przemówić otwarcie, gdyby była potrzeba, jednak względem umarłych inne się ma obowiązki. Nie dziw mi się zatem, ani bierz za złe, że się ociągam, namyślam jeszcze i gdyby mi sumienie dozwalało, cofnąłbym się natychmiast, pozostawisz Twoją ciekawość niezaspokojoną. Mam jednak święty obowiązek względem prawdy otworzenia Ci oczu, abyś i Ty przejrzał...”

Pomiędzy te okresy długie, wymijające jakby z umysłu główny przedmiot korespondencji, wtrącane były szczegóły, świadczące, że autor listu obznajmiony być musiał dokładnie z rodzinnymi stosunkami Omylińskich i Krokowskich; wspominał o pierwszym małżeństwie nieboszczki i zapytywał, czy w parku nad rzeką stoi jeszcze ów krzyż żelazny na pamiątkę nieszczęsnego samobójcy i czy w chacie pod lasem mieszka zawsze stary gajowy Pniak, ojciec doktora?...

„Groby milczą, Bóg jest miłosierny!” — pisał pod koniec, robiąc niespodziany zupełnie zwrot i powracając znowu do swoich ogólnikowych uwag i roztrząsań, czy dobrze robi, że się odzywa w takiej porze i czy nie należałoby mu raczej przecze-kać chwile żałoby i smutek wdowieństwa.

Owa dyskretya i delikatność, na którą się nieustannie powoływał, zakrawała na wyrafinowane okrucieństwo, z jakim na próbę wystawiał ciekawość i domysłność Krokowskiego.

Biedny niemowa trząsł się, jak w febrze, czyta-

jąc ów list, który sprawiał na nim wrażenie moralnej tortury.

Przebiegły anonim obliczyć musiał dobrze efekt swojej korespondencji i gdyby się był chciał paścić nad czyją duszą, nie byłby lepszego wynalazł środka, jak owe gładkie, niby nieśmiałe półsłówka, któremi zaszczeniał trawiący jad w serce i nerwy swojej ofiary.

W ostatecznej konkluzji znowu odwlekał wyjawienie tajemnicy, zapowiadanej tak ogłędnie i obiecywał dopiero w następnym liście obszernie się rozpisać.

Upłynęło znowu dni kilka długiego, drażniącego wyczekiwania...

Nastąpiła przerwa i milczenie, gorsze od wszelkiej katuszy.

Krokowski miejsca sobie znaleźć nie mógł; chodził z pokoju do pokoju, od okna do okna, dwa razy dziennie kazał zaprzęgać do powozu i wyjeżdżał na cmentarz skarżyć się swojej zmarłej na to, co znosił, szukać u jej grobu uspokojenia — i powracał do pałacu rozdrażniony, opryskliwy, unikający bardziej niż kiedykolwiek towarzystwa.

Pniak próbował go badać, ale mu na migi dał poznać, że potrzebuje tylko spokoju i że go irytują wszelkie zwracanie uwagi i zapytania.

— Zdrow jestem i nic mi nie jest — napisał na świstku papieru i rzucił go doktorowi na stół, wychodząc z pokoju.

Zabielski ~~zatelegrafował~~, że w ważnej sprawie potrzebną jest obecność Pniaka w Warszawie; wezwania takie przychodziły teraz bardzo często od mecenasa, który oprócz sprawy testamentowej w sądzie, prowadził jednocześnie akcyę przygotowawczą w kwestyi wykonania zapisu i wypracowywał pod względem prawnym szczegółowe projekty zużytkowania zamierzonych fundacyi.

Uproszony komitet, złożony z kilku celniejszych obywateli, z przedstawicieli filantropijnych instytucyi i z trzech najpoważniejszych redaktorów, jako reprezentantów prasy, miał rozpatrzyć nakreślone przez testatorkę i rozwinięte przez Pniaka plany.

Sprawa wymagała dłuższego czasu, pracy, namysłu i rozpraw.

Narady odbywały się dwa razy w tygodniu u Zabielskiego, który zbierał i składał wszystkie referaty, oddając je potem Pniakowi do lepszego przestudowania.

Podczas takich częstych wyjazdów doktora do Warszawy, w Omylinie pozostawał Włodziński, nazywając się żartobliwie „bonifratrem“ przy Krokowskim i utrzymując, że nigdy w życiu nie czuł się tak przejętym żadnymi obowiązkami, jak tą opieką nad opuszczonym wdowcem.

— To całe szczęście — mówił — że mam, panie, dozorować tylko same chore dusze, bo gdyby mi przyszło cieleśnie chorych pielegnować, to nie ręczyłbym za ich zdrowie i życie.

Dał zresztą tego dowód, kiedy pewnego dnia wieczorem przybiegł do niego wystraszony Antoni z wiadomością, że jaśnie panu coś się stało i pewnie dostał gorączki.

— Niech pan zejdzic na dół i sam zobaczy — naglił go kamerdyner. — Po obiedzie mu się źle zrobiło, był taki zmieniony, jakby broń Boże apopleksya, albo co gorszego!... A tu ani pana rządcey, ani pana doktora niema w domu. Sam nie wiem, co zrobić!...

Włodziński zerwał się na równe nogi i pospieszył za służącym, który go prowadził do gabinetu Krokowskiego.

— Co się stało?... zachorował?... kiedy?... cóż mu jest?... — badał przez drogę starego kamerdynera, zaniepokojony samą wieścią, a jeszcze więcej poczuciem własnej niezaraдности w tym wypadku.

— Zobaczysz pan sam — objaśniał go Antoni — siedzi w fotelu, oczy ma w słup, febra nim trzęsie i wygląda tak okropnie, że aż ciarki przechodzą patrzeć!... Nie rusza się, nie rozumie, co do niego mówię, zupełnie kłoda, nie żywy człowiek!... Nieszczęście!... oj, nieszczęście!... Żeby tylko znowu jakiej biedy nie było!...

Włodziński przed samemi drzwiami przystanął, jakby się zawahał, czy ma wejść; onieśmielała go świadomość grożącego niebezpieczeństwa, o którym wspomniał stary sługa.

Wobec wszelkich wypadków tego rodzaju, na-

głych, gwałtownych, w których trzeba było działać energicznie na własną odpowiedzialność, zdobyć się na jakąś stanowczość, on — dekadent, jak się sam nazywał, tracił do reszty pewność siebie i czuł całą swoją niepraktyczność.

Nie byłby wiedział, co począć, jak postąpić, jak sobie poradzić — i to go mieszało, upokarzało, stawiało w najdrażliwszej pozycji.

— No... no... panie, cóż... cóż ja tam?... -- bał się do siebie zająkliwe, co bywało zawsze dowodem zachwianej w nim równowagi — bo... niech Antoni sam co poradzi!... Ja... ja się nie umiem wcale obchodzić, panie, z chorymi!...

O ile w pierwszej chwili pospieszył na wezwanie kamerdynera, o tyle teraz ociągał się i miał ochotę cofnąć się z samego progu zakłopotany, ale służący otworzył drzwi i wepchnął go niemal do pokoju, ze słowami:

— Niech-no pan tylko idzie; zawsze we dwóch będzie raźniej!... jaśnie pan pana bardzo lubi.

— No, dobrze, panie, że lubi, ale cóż z tego? .. przecież ja nie doktor!

Mówił to jakby z urazą do służącego, że go wciąga ze sobą i każe mu działać, kiedy on pomódz nie nie potrafi; szedł jednak przez pokój jeden, drugi i trzeci do gabinetu Krokowskiego, z instynktową odrazą człowieka, mającego zobaczyć coś przykrego i działającego na nerwy.

— Powiadam Antoniemu przecież, że... panie, ja

się nie znam na tem!... — mruczał, jakby się wymawiał i wypraszał od asystowania przy takiej scenie, któraby na próbę wystawiała jego wolę i przytomność umysłu.

Cerę miał zmienioną i powiekami łypał nerwowo, ale szedł, bo go popychała jednak troskliwość o Krokowskiego i obawa, aby mu się co złego nie stało.

W gabinecie panował mrok, rozpraszany tylko światłem lampy o niebieskim kloszu pod abażurem jedwabnym.

Na stoliku stała niedopita filiżanka z kawą a na srebrnej tacy kryształowa karafka z likierem i druga z koniakiem, który podawano do kawy.

Krokowski siedział w fotelu z głową w tył odrzuconą, z oczyma otwartymi, wpatrzony w sufit, ale zdawał się być nieprzytomnym; w rękach trzymał zmięty i zaciśnięty kurczowo list, który przed pół godziną z poczty odebrał.

Dyszał krótko, lecz z wysiłkiem i miał w twarzy wyraz jakiejś grozy i boleści zarazem.

— O, widzi pan! — zwrócił się do Włodzińskiego stary sługa z rozpaczliwym gestem — tak go zastałem już i tak jeszcze siedzi... Niech pan przemówi do jaśnie pana; może pozna, może się odezwie!...

Włodziński zatrzymał się przy drzwiach i wpa-trywał się z zaleknioną ciekawością w Krokow-

skiego, przy którym z załamanemi rękoma stał wystraszony również Antoni i biadał:

— Co tu zrobić?... co tu zrobić?... Jezus, Marya!... żeby choć mógł powiedzieć, co mu się stało!...

Upłynęło kilka chwil daremnego wyczekiwania; gabinet zalegała złowroga cisza, wśród której słychać było tylko ciężki, urywany oddech niemowy.

Nagle z kąta pokoju, gdzie stał duży, staroświecki zegar w machoniowej szafie, odezwały się dzwonki i stalowy młotek uderzając o sprężynę, zaczął wybić powoli godzinę siódmą.

Po twarzy Krokowskiego przebiegło drżenie, brwi się podniosły, otworzył jeszcze szerzej oczy i usta, jakby się budził z głębokiego snu na jawie i przysłuchiwał zdziwiony tej muzyce dzwonek, wygrywających jakąś melodyę w porwanych akordach.

Podniósł głowę o własnej sile z poręczy fotelu i odetchnął głęboko z jękiem człowieka wracającego do przytomności.

Sprawiało to wrażenie, jakby mu ciężka zmora spadała z głowy i z piersi zgniecionych.

Kamerdyner pochylił się nad nim i swoim rzewnym, pełnym serdeczności szeptem pytać go zaczął:

— A co?... lepiej jaśnie panu?... może co podać?... może wody?... Przeszło już, co?... Chwała Bogu, że przeszło, prawda?...

Pochylił się jeszcze bardziej i rozczerwony dotknął

ustami ramienia Krokowskiego; potem nalał szybko kieliszek koniaku i na tacy podał mu go ze słowami:

— Niech jaśnie pan przełknie choć kropelczkę!... to wzmocni, to orzeźwi...

Ale Krokowski odsunął go machinalnym ruchem i rozglądał się po gabinecie, zbierając widocznie rozproszone jeszcze myśli.

Antoni postawił kieliszek napowrót na stoliku i cofnął się do stojącego w głębi Włodzińskiego.

— Biedne panisko, przychodzi do siebie!... da Bóg, może to tylko tak — szepnął, ocierając sobie dłonią zaczerwienione powieki — ale co było strachu, to było, prawda?...

Krokowskiemu przytomność wracała powoli; podnosił rękę w powietrzu, jak gdyby nie miał jeszcze siły dźwignąć ją zupełnie i z jakimś wyrazem zdziwienia przypatrywał się zmiętej karcie papieru, którą trzymał w rozkurczonych już palcach, przypominając sobie coś z wysiłkiem, co musiało gwałtownie zamącić mu wszystkie myśli przed utraceniem przytomności.

Włodziński spoglądał na niego z zajęciem i zbliżał się nieznacznie ku stolikowi, odzyskując również równowagę; oswajał się z sytuacją, która o wiele groźniej zapowiadała się w pierwszej chwili.

Nadczulone jego nerwy uspokajały się, ale teraz inne wrażenie podziało na nie odmiennym bodźcem i poruszyło niemniej gwałtownie.

Zapach rozlanego koniaku podrażnił jego powonienie; zdawało się, że odtąd całą uwagę nieszczęsnego nałogowca przyciągnął teraz ów złotawy płyn, połyskujący w kieliszku i w kryształowej karcie.

Od kilku miesięcy wstrzymywał się zupełnie od wszelkich spirytualiów i w czasie swojego pobytu na wsi odwykł znowu od używania trunków; przetrwał bohatersko jeden z owych okresów wstrzemięźliwości, które przychodziły nań od czasu do czasu.

Ale w tej chwili demon jego nałogu wystawiał go na ciężką próbę i łowił w zasadzkę.

Zabłyśnęły mu oczy namiętnie i nozdrza zadrgały.

Otrząsnął się z dreszczem i widać było po nim rozpoczynającą się walkę wewnętrzną alkoholika.

Miał w oczach wyraz czającego się kota, kiedy powoli, nieśmiało, hamując w sobie zbudzony pociąg do trunku, przysuwał się niby nieznacznie ku stolikowi, wpatrując się coraz pożądliwiej w napełniony kieliszek koniaku.

Zdawało się, że jakaś siła magnetyczna zwalcza jego opór i pociąga go nieustannie.

Twarz mu się ożywiła, rozradowała niemal tym widokiem; wciągał z tajoną lubością powietrze, jakby w niem odczuwał rozkoszny zapach zakazanego owocu.

Zapominał o wszystkim, oprócz o tej ponętnej pokusie, którą miał przed oczyma.

Krokowski zrobił nagle ruch gwałtowny i pięścią, ściskającą zmięty papier, uderzył o kolano; był w tym giescie jakby wybuch oburzenia i gniewu, który wraz ze świadomością sytuacji przywrócił mu i siły.

Musiał sobie przypomnieć treść odczytanego listu i nikiemność anonimu, który ośmiewał się spotwarzać świętość jego najdroższej zmarłej.

Owa tajemnica bowiem, którą bezimienny przyjaciel przed nim odsłaniał, dotyczyła dalekiej przeszłości i kalala pamięć nieboszczki jego żony.

„Oburzysz się i zadrżysz aż do głębi swojej natury — czytał w liście — ale niestety, przekonasz się kiedyś, że napisałem prawdę.

„Byłeś następcą samobójcy i pojąłeś po nim wdowę, nie badając przyczyny gwałtownej śmierci swojego poprzednika. A wiesz ty, dlaczego Omyliński się zastrzelił?... wiesz zapewne tyle tylko, ile wiadomem było światu i uwierzyłeś tak samo, jak wszyscy, że odebrał sobie życie w przystępie melancholii.

„Skąd jednak człowiek młody, w sile wieku, stał się melancholikiem, skąd mu przyszedł ten rozpaczliwy zamiar do głowy zabić się bez widocznej przyczyny, o to nie pytałeś, a może i nie zastanawiałeś się nad tem?...

„Słyszałeś jednak, że żona Twoja — świeć Panie nad jej duszą! — zgodziła się raz pierwszy wyjść

za mąż bez wielkiego przywiązania i że to małżeństwo prawie nagle przyszło do skutku.

„Nie kochała nigdy swego pierwszego męża, bo w sercu swoim nosiła inną miłość, która ją zawiódła i zdradziła. Miłość ta była tajemnicą jej młodości i musiała ją ukrywać tak samo, jak jej owoc ukrywać się musiał...

„Nie rzucaj z oburzeniem tego listu; doczytaj go do końca.

„Dowiedz się zatem, że tak samo, jak Ty w tej chwili, zadrżał i zmartwiał Twój poprzednik, gdy mu przypadek zdradził wszystko i gdy się przekonał, że tuż pod jego boki, w tym samym Omylinie... Pióro z rąk mi wypada, nie mogę wypisać wszystkiego!... Ty sam dorozumiesz się i domyślisz reszty; *pro mortuis aut nihil, aut bene*.

„Musiałeś może niejednokrotnie zauważyć w ciągu dwuletniego pożycia ze swoją żoną pewne szczegóły, które Ci się dziwnymi wydać musiały; musiałeś nawet żądać od niej wyjaśnienia, które Cię nie zadowalniało; musiałeś się pytać sam siebie, pozbawiony blizkiego przyjaciela i zaufanego powiernika, którego przez swoje nieszczęśliwe kalectwo mieć nie mogłeś, o pewne podejrzone sprzeczności, jakie Cię może w nieboszczce uderzały.

„I nie doszedłeś do żadnego rezultatu, prawda?...

„A jednak przywołaj do pomocy wspomnienia, zastanów się dobrze, zestawiaj fakta, a do wniosku sam dojdiesz bez żadnego pośrednictwa“.

Czytając to, doznawał uczucia człowieka zaskoczonego nagłą napaścią, który się szamocze i boryka i bronić usiłuje, a nawet głosu z piersi wydobyć nie może.

Krew mu uderzała, jak młotem w skronie, oddech mu zapierało; musiał list położyć na stole, aby go mógł doczytać do końca, tak mu ręka drżała z oburzenia i bólu, który mu serce ścisnął.

Musiał sobie dłońmi przecierać oczy, bo mu coś wzrok przysłańało.

Przemógł się jednak i czytał dalej:

„Nie potrzebuję wskazywać Ci nikogo palcem, poznasz go sam, gdy się zastanowisz nad ową niewytłumaczoną sympatyą Twojej żony dla cudzego niby dziecka, nad tą czułą, macierzyńską opieką dla chłopskiej niby krwi, nad tą troskliwością dla niby wychowanka, nad zaufaniem bezgranicznem do kogoś, co ani stanowiskiem swoim, ani pochodzeniem do Waszej sfery nie należał.

„Nie wymieniam nazwisk żadnych, aby słowa moje nie zakrawały na denuncyację; sam je sobie uzupełnisz, a czy się dasz, czy nie dasz przekonać, będziesz przynajmniej na wszelki przypadek uprzedzony.

„Na jedno jeszcze zwróć tylko uwagę: komu właściwie nieboszczka oddała większe zaufanie — Tobie, którego mianowała tylko dożywotnikiem swojej spuścizny, czy temu, którego uczyniła wykonawcą swojej ostatniej woli?...

„Może ten drobny na pozór szczegół przekona Cię bardziej od moich słów, które dyktuje mi tylko szczerłość i współczucie dla Ciebie, opuszczonego dziś i pozostawionego na łup...”

Dalej doczytać nie mógł; zamąciło mu się w głowie, zaćmiło w oczach, nerwy wyprężone, jak struny przeciągnięte, omal nie pękły...

Zmiał gwałtownie nikczemne pismo i chcąc powstać, zachwiał się na nogach, upadł napowrót na fotel i stracił władzę w całym ciele...

W tym stanie zastał go właśnie Antoni, kiedy wszedł do gabinetu, by zabrać naczynie do kawy.

Po oprzytomnieniu wróciły nieszczęsnemu niemo-wie do głowy myśli i wrażenia, które zatargwały przy czytaniu listu całym jego jestestwem.

Otworzywszy oczy, poznał Włodzińskiego i kamerdynera, stojącego nad nim z miną wystraszoną; przez chwilę rozglądał się po pokoju błędnym wzrokiem, potem przymknął powieki, usta zaciął — i zdawał się namyślać...

Twarcz jego wyrażała surową boleść, która szarpała mu serce.

Odwrocił głowę, jak gdyby uniknąć chciał spojrzeń, które czuł na sobie, potem wstał i dawszy znak Antoniemu, aby się nie zbliżał do niego, chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu.

Włodziński ze starym sługą pozostali na miejscu; pierwszy zwrócił oczy znowu na koniak i instynktowym, nieśmiałym ruchem wysuwał rękę po kie-

liszek, ale ją cofał co chwila, jakby się wahał i wstydził własnej słabości — drugi, z głową spuszczoną, obserwował go czas jakiś z pod oka.

Wreszcie nie mogąc przemódz się dłużej, podrażniony alkoholik sięgnął szybko po pełny kieliszek i chciał go ponieść do ust — gdy w tej samej chwili poczuł, że go czyjaś ręka schwyciła za ramię i przytrzymała:

— Niechże pan nie pije! — usłyszał za sobą głos Antoniego — zapomniał to pan, że pan doktor zabronił?... pan wie przecie, że to panu szkodzi. Na co to budzić licha, skoro śpi?... Ja nie dam; pan doktor-by się potem gniewał. Kto to widział!... fe!... oddaj pan ten kieliszek!

Głos starego brzmiał pocziwie, z jakąś ojcowską powagą i życzliwością.

Włodziński, jakby przydybany na gorącym uczynku, poczerwieniał, zmarszczył brwi, spojrzał na kamerdynera z niechęcią, ale pozwolił sobie z ręki odebrać koniak i po namyśle, uśmiechając się, rzekł:

— A... a... a Antoni nigdy, panie, do spirytualiów nie miał pociągu?... co?... możebyśmy tak razem... co?... po kieliszku?... hm?...

— Ee, obejdzie się!

I postawiwszy kieliszek na tacy, zabrał ją ze słowami:

— A już pana znowu korcić zaczyna!... fe!

wstyd!... Niech no pan lepiej jaśnie pana trochę dopilnuje, bo jak pan doktor wróci, to będzie bieda.

Podreptał ku drzwiom, powtarzając:

— Wstyd!... wstyd!... żeby tak człowieka do gorzałki ciągnęło!...

Włodziński patrzył za nim i uśmiechał się, ale jakoś nieszczerze; włożył obie ręce w kieszenie i oparty o stół na rozstawionych nogach, spuścił głowę i rozmyślał.

— Wstyd!... wstyd!... — brzmiały mu jeszcze w uszach słowa starego sługi, któremu przyznawał słuszość.

Miał wrażenie, jak gdyby się ocknął nad brzegiem stromej pochyłości, po której omal nie stoczył się znowu; znał siebie dobrze i wiedział, że tych kilka kropel trunku, których mu w porę przełknąć nie dozwolono, byłyby się zamieniły w nim w trawiącą iskrę i wzniciły nowy atak pijackiej gorączki.

— Widzisz — mówił sobie z wyrzutem — trzeba cię pilnować, jak dziecko albo waryata, bo sam straciłeś władzę nad sobą... Zdawało ci się, żeś już uleczony?... ładne uleczenie!... Bydłę jesteś!... nie-szczęśliwe bydłę!...

Skrzywił się, jakby miał język pełny niesmaku.

Analizował siebie teraz i potępiał za tę słabość, która w nim tak głęboko tkwiła, chociaż chwilami przyczajała się i łudziła go pozorami wyzdrowienia.

Miał ojca, po którym odziedziczył taki sam na-

łóg, ale który w pięćdziesiątym roku życia przeszedłszy ciężką chorobę, nagle pić zaprzestał i nawet nabrał wstrętu do wódki.

— Może i ze mną tak będzie — mówił sobie w chwilach oprzytomnienia i równowagi, odzyskiwanej dłuższą wstrzemięźliwością; ale ilekroć się przekonywał, że ta nadzieja była tylko złudzeniem, że, jak teraz właśnie, sam zapach koniaku, podniecający jego nerwy, wystarczał do rozkiełznania w nim tej wiecznie spragnionej hydry nałogu, tracił znowu wszelką wiarę w siebie i stawał się zrezygnowanym fatalistą.

— Co to warto łudzić się — rozumował wtedy zniechęcony — wierzyć w jakieś moralne dźwignie, w siłę woli!... Pijaczyną byłem, pijaczyną jestem, pijaczyną będę już do końca i basta.

Uczuwał dla siebie pogardę, wymyślał sobie szorstko, nie przebierając w wyrazach i miał ochotę zanurzyć głowę w beczce pełnej spirytusu, aby się „zachlać“ już raz na umór i skończyć to marne życie, w którym takie wybrakowane jednostki nie mają wcale racyi bytu.

— Panie, prosty fagas mnie nabesztął, no?!... — powtarzał sobie, uśmiechając się w ten sposób ironiczny, który mu był właściwym. — Jak Boga Kocham, nabesztął i miał rację!... A coby dopiero ona powiedziała?!... hm?... Powiedziałaaby, żem bydlę i miałaaby także rację.

Wspomnienie Leosi jednak zachmurzyło mu twarz

i sprawiło przykreść widocznie wielką, bo usta zagryzł i westchnął, a potem posmutniał bardzo i patrzył w podłogę, stojąc ze spuszczonej oczyma, jak gdyby czuł przed sobą jakąś niewidzialną postać, która spogląda na niego z wyrzutem, pełnym żalu...

— To dziwne, panie; zdawało mi się, że sobie już z całego świata nic nie robię, a przed nią, panie, miałbym jednak głupią minę... Ona mnie krępuje! — monologował w dalszym ciągu — jakim prawem?... hm?... przecież jej nie kocham chyba, bo toby dopiero było śmieszne. Ja i kochać?... Miłość w szpitalu nieuleczalnych, to przecież anomalia.

Sprawiało mu to jednak zadowolenie, że pozostał trzeźwym i uniknął pokusy, której następstwa byłoby go wykoleiły znowu i naraziły zarówno w Omylinie, jak i Żółdziówce.

Wiedział, że upiwszy się raz, nie byłby mógł tu dłużej pozostać i musiałby pozrywać zawiązane stosunki, wśród których jakoś inaczej toczyło mu się życie od kilku miesięcy w gościnie u Krokowskiego i w sąsiedztwie z Leonią.

— Pojadę do niej jutro — pomyślał — a gdyby nie ten stary moralista w liberyi, byłbym może spity, jak Bela, zataczał się między pałacem a karczmą, dopóki bym do Warszawy się nie zatoczył. A wtedy?... skończyłaby się zimowa sielanka. Ba!... tak czy owak, kiedyś się skończyć musi, nie dziś, to jutro... Ale lepiej jutro, niż dziś, a może dopiero pojutrze.

Machinalnie schylił się i podniósł biały kawałek papieru, który dostrzegł leżący na podłodze; była to rozerwana koperta listu, porzucona przez Krokowskiego.

Wziął ją w rękę i obojętnie spojrział na adres.

Zdawało mu się, że poznaje charakter tego pisma.

— Co u licha!... Szuba, czy nie Szuba? — szepnął — przecież znam skądciś tę kaligrafię!... Albo on, albo jakiś drugi geniusz brukowy.

Przypatrywał się uważniej literom, kreślonym z pewną starannością, ale mającym swoje charakterystyczne cechy zaniedbania, które piszący poprawiać usiłował dla zamaskowania swej ręki.

— On i nie on! — konkludował dalej Włodziński — wygląda mi to tak, jakby jego pismo trochę zmienione... ale może nie on!... Dyabli wiedzą!...

Koperta przywiodła mu dopiero teraz na myśl Krokowskiego i zaczął kombinować wszystkie fakta, których był świadkiem, wyrzucając sobie, że tak mało współczucia okazał człowiekowi, zasługującemu przecież na większą życzliwość i uwagę z jego strony.

Z początku przypuszczał wprawdzie, że ów atak omdlenia, który jednak pozornie minął bez śladu, miał jakąś przyczynę czysto przypadkową; Pniak mu opowiadał, że Krokowski ma skłonność do neurastenii, skutkiem przejść, jakich doświadczał od czasu choroby i śmierci żony.

Omdlał jednak przy czytaniu listu, to widoczna;

w twarzy i w całej fizygnomii miał wyraz wielkiego wzburzenia moralnego, które wywołać mogła otrzymana korespondencya.

Cóż w niej było?... co zawierać mógł list, według jego przypuszczeń, pisany ręką młodego Szuby?... Czyż jednak Szuba, jeśli go pisał, mógł wyrzucić na umyśle Krokowskiego wrażenie aż tak silne?... W takim razie list musiał być od kogo innego... Ale od kogo?...

Te pytania i wątpliwości nasuwały się Włodzińskiemu chaotycznie, nie doprowadzając go do żadnego wniosku.

Postanowił pójść za Krokowskim i starać się wybadać go, a przynajmniej uspokoić, gdyby tego potrzebował.

Wyszedł do salonu i zaczął go szukać po wszystkich pokojach, ale nadaremnie; zadzwonił na Antoniego, aby spytać, czy nie widział pana, lecz stary kamerdyner nie umiał go objaśnić.

— Przecież zostawiłem pana przy nim! — powiedział z wyrzutem.

— Może jest na górze?

— Może.

Poszli szukać we dwóch i nie znaleźli go nigdzie.

Na dworze, wschodzący księżyc wieczorny zmrok rozpraszać zaczynał.

Powietrze było chłodne, lekki wiatr wiał od zachodu.

W parku nagie drzewa czarnemi sylwetami ry-

sowały się na szarem tle, a sepiowe tony ziemi, obnażonej już z zimowej powłoki śniegu, stanowiły silny kontrast z białymi ścianami pałacu, które światło księżyca coraz silniej wysrebrzało.

Antoni cały park przeszedł wzdłuż i wszerz, szukając „jaśnie pana“, ale powrócił z niczem.

Wszystkie poszukiwania na nie się nie zdały.

Krokowskiego nie było ani w domu, ani w ogrodzie; niepostrzeżony wymknął się z pałacu i powlókł w stronę cmentarza.

Uciekał od ludzi, szukał samotności i ukojenia, a zabierał z sobą najbardziej wrogie swemu sercu myśli i ów fatalny list, który taką niegodziwą krzywdę mu wyrządził.

Przecież jemu na świecie i tak źle było, opuszczonemu, kalece, wdowcowi, którego jedyną pociechą była pamięć dla tej zmarłej towarzyszki życia i miłość najwdzięczniejsza za wszystko dobre, tylko od niej jednej doznane!...

A teraz na te uczucia, tak święte i tak mu potrzebne do istnienia, czyjaś brutalna ręka czyniła zamach i chciała go poróżnić nawet z tym grobem, który mu jedynie na świecie pozostał; podsuwała mu podejrzenia nieczne i dręczące, upozorowane niby faktami bez dowodów — i w jakim celu to czyniła?... przecież śmiertelny wróg nie byłby gorszym od tego fałszywego przyjaciela, który się litował nad jego dolą i oświadczał z tak wielką życzliwością!

— Do kogoż ja mam pójść, kogo pytać, przed kim się użalić, jeśli nie przed tobą? — przemawiał w myślach, oparłszy czoło o zimny grobowiec żony na pustym cmentarzu wiejskim. — Zabierz ty mnie, zrób mi miejsce przy sobie; ja nie chcę wracać więcej do tego świata, który jest tak złośliwy i okrutny, tak zawistny i podły, że nawet na twoją trumnę kamieniem rzuca!... Widzisz, jak oni źle zrozumieli nasze zamiary, jak uszanowali twoją ostatnią wolę, jak się rzucili na twój testament i wloką nas teraz przed sądy, i szarpią, aby nie dopuścić twojego dzieła do skutku!... Widzisz!... a ty mnie tu zostawiłaś samego i kazałaś czuwać nad swoją puścizną dla Boga i dla ludzi!...

Na szary piaskowiec padały jego łzy i lśniły, jak rosa wieczorna.

Cicha, rzewna, głęboka boleść wypełniała mu całą duszę; płakał, jak dziecko, a lekki powiew wiatru muskał jego długie, posrebrzone włosy i niby łagodną dłonią ścierał mu łzy z powiek.

W tej pozycyi zastał go jeszcze Antoni, który, kierowany domysłem, kazał zaprzadź do faetonu i pojechał na cmentarz szukać pana, gdy się coraz później robiło, a Krokowski nie wracał.

Stary sługa przezornie zabrał z sobą pled i płaszcz, aby go okryć w drodze powrotnej do pałacu; mimo to Krokowski szczykał zębami i dreszcze miał, ale wydawał się spokojniejszym, niż zwykle po odwiedzinach u zmarłej żony.

Interesa zatrzymywały Pniaka w Warszawie przez dni kilka.

Zabielski, korzystając z jego obecności, co wieczór zwoływał komisję, radzącą nad projektami fundacyi imienia małżonków Krokowskich i przygotowywał materiały do odparcia ataku familii na zapis *pro publico bono*.

— Czy doktor znasz przynajmniej wszystkich naszych przeciwników? — zagadnął kiedyś Pniaka, przeglądając akta rozpoczętego procesu.

— Znam tylko barona i cały kłębek Szubów; to dość.

— Ba!... to tylko główniejsze prowodyry, ale po za nimi jest legion. Zrekrutowali sobie całą armię, aby mieć za sobą siłę, nie będąc bardzo pewni prawa. Zobacz-no pan, co to za lista pokrzywdzonych spadkobierców!... wszyscy uważają się za lepszych od społeczeństwa, które miałoby korzystać z funduszów nieboszczki, a są pomiędzy nimi jedni, którychby można wprost zamknąć do kryminału, a drudzy, kwalifikujący się do domu poprawy. Kolega Topiel — (z naciskiem ironii wymawiał te dwa wyrazy) — utrzymuje, że tego rodzaju zapis jest niemoralny, bo obala prawa rodziny i dla celów humanitarnych i filantropijnych odsuwa ubogich krewnych, którzy po sprawiedliwości w pierwszym rzędzie stać winni. *Pereat mundus, fiat justitia!* — woła w imieniu swoich klientów i w obronie dziedzicznego majątku, który po-

winna ~~wymarować~~ rodzina, po przeprowadzeniu
działów przez niego.

Podrapał się w podbródek i po chwili namysłu
mówił dalej:

— Znam ja trochę całą tę paczkę!... Phalerno-
wie, to dziurawa beczka Danaid, Dranieccy hołota,
Szubowie pasorzyty, Plackowscy szumowiny; Szyr-
mowie jeszcze najwięcej z nich warci, ale dali się
opętać, — dobrana kompanijka, niema co mówić!...
Ale kolega Topiel zapis Krokowskiej nazywa nadu-
życiem praw własności i występuje z artykułu 896-go
kodeksu cywilnego o substytucyi. Ha, no!... bę-
dziemy mu tłumaczyli, co właściwie przez substy-
tucyę rozumieć należy.

— Tymczasem róbmy swoje, panie mecenasie —
odezwał się Pniak — szkoda każdej chwili stra-
conej.

— Rozumie się, że szkoda, zwłaszcza, że nam
przeszkadzać będą wszelkimi sposobami. Zanosi
się na gorącą i przewlekłą walkę. Czytujesz pan
uważnie dzienniki?

— Niektóre tylko; mało mam czasu do zajmo-
wania się wszystkiemi.

— Szkoda, zobaczyłbyś pan ciekawy objaw oscyl-
lowania u nas opinii publicznej.

Wyjął kilka numerów gazet i wskazał mu zakre-
śłone niebieskim ołówkiem ustępy.

— Zobacz pan, jakie nam tu szpileczki wsadzają!...
„Dowiadujemy się — zaczął odczytywać pojedyncze

wyrywki — że w wielkim procesie familijnym o spadek ś. p. Krokowskiej zajęć mają podobno polubowne układy z rodziną, występującą na drogę sądową. Pan adwokat Topiel wygotowuje w tej ciekawej sprawie obszerny memoriał, który zamierza ogłosić drukiem“.

— Ależ to fałsz! — wybuchnął doktor.

— Rozumie się, że fałsz, ale o prawdę nie chodzi, drogi panie, tylko o sensację i bałamucenie opinii. Słuchaj pan dalej: „Z wiarogodnego źródła donoszą nam, że puścizna znanej filantropki, ś. p. Balbiny Krokowskiej, która olbrzymią fortunę przeznaczyła na cele publiczne, po dokładniejszem obliczeniu okaże się o wiele zmniejszoną. Majątki testatorki znajdować się mają bowiem w stanie wcale nie świetnym, skutkiem zaniedbanej w ostatnich latach gospodarki, a kapitały, lokowane na niezbyt pewnych hipotekach, przedstawiają wartość po większej części iluzoryczną“.

— Ohydne kłamstwo!

— Zapewne, ale w druku wygląda to na prawdę. Czekaj-no pan, jest tu jeszcze jeden pasztecik: „Według twierdzenia osób kompetentnych, wykonanie rozporządzeń nieboszczki Krokowskiej napotka w praktyce na niezwalczone trudności. Szlachetna utopistka za mało liczyła się widocznie z rzeczywistością i w swoich marzeniach o dobro społeczeństwa posunęła się za daleko, po za granice możliwości zrealizowania swoich dążeń. Krytyczniejszy

www.libtonl.com.pl
pogląd na środki i cele jej zapisu doprowadza do wniosku, że niestety, tego rodzaju rozporządzenia przedśmiertne powiększają tylko szereg niewykonalnych utopii, narażających wielkie fortuny rodowe raczej na zmarnowanie, aniżeli zapewniających rzeczywisty pożytek publiczny nawet w najdalszej przyszłości“. No, cóż pan na to?... Brudna woda z sikawki „Brukowców“ ostudziła, jak widzisz nietylko zapal pierwotny do sprawy, ale zaczyna pokrywać ją samą ciemnymi smugami.

Pniak się zachnął z oburzeniem.

— A cóż na to opinia publiczna?...

Zabielski skrzywił usta dwuznacznym uśmiechem.

— Opinia publiczna?... najpierw trzeba, żebyśmy ją mieli, powtóre, żeby umiała rozumować sama i nie poddawała się tak łatwo sugestyi, broniąc własnego zdania, a po trzecie, aby nie była nerwową histeryczką, jak całe pokolenie, zmieniającą się co chwila pod ostatniem wrażeniem, które na nią podziała. Jakie czasy, tacy ludzie, jacy ludzie, taka opinia, drogi panie!... Jakże pan chcesz, aby chorowity organizm funkcjonował prawidłowo?... Oddawna to powtarzam, że powinniśmy przejść hydropatyę podwójną: fizyczną i moralną. Wody, dużo wody, czystej wody, trzebaby zużyć, abyśmy mieli więcej zdrowych głów i czystych rąk!

— O tak, masz pan słuszność, panie mecenasie! zdrowych głów i czystych rąk nam potrzeba — powtórzył Pniak ze smutnem westchnieniem. — Cóż

jednak wypada zrobić z tymi wszystkimi fałszami i potwarzami w druku?... należałoby może odwołać, zaprzeczyć?...

Mecenas głowę przechylił trochę na bok i, uśmiechnięty, spoglądał zpod oka na doktora.

— Odwołać?... chyba na dziś, bo jutro lub pojutrze nowa plotka wyskoczy, jak ropucha, i skrzeczeć zacznie co innego, a za nią całe bagienko powtarzać będzie instynktownie to samo. Daremny trud, stracona praca, drogi panie, bawić się w odwołania i sprostowania, dopóki się ma do czynienia ze złą wolą i dopóki pierwszy lepszy reporter pod osłoną anonimu będzie miał prawo głosu na tem forum. Zdawałoby się, że prasa powinna być, jak parlament, do którego bez mandatu niema wejścia, i w którym tylko ludzie zaufania i poważnej kwalifikacyi mogą rozbierać sprawy publiczne i głosować za lub przeciw; a ona staje się coraz więcej targowiskiem, pełnym mniejszych i większych straganów, przy których kramarze opinii sprzedają swój towar, robiąc sobie konkurencyę reklamą i krzykiem. Nie myśl pan, że potępiam wszystkich, bo są wyjątki, ale złe współzawodnictwo demoralizuje nawet najlepszych, albo ich marnuje po pewnym czasie. Ach, dużoby było w tym przedmiocie do mówienia, ale my tego nie naprawimy!... Co ma skisnąć, to skiśnie i przejdzie fermentacyę, z której coś się przecież lepszego wytworzy.

Zgarnął papiery i wkładając je w ogromną tekę, rzekł:

— Widzisz pan, kolega Topiel umie sobie radzić i stosunki swoje wyzyskiwać; jestem przekonany, że te wszystkie rakiety on sam puszcza rękoma swoich przyjaciół, bo kolega Topiel umiał się zrobić popularnym, tak samo, jak pan baron Phalern, który od kilku tygodni urzęduje u siebie środy i ściągają na swoje zebrania bez wyboru wszystkich, którzy mu mogą być potrzebni.

— W jakimż celu?

— Aby urabiać opinię i zdobywać popularność. Chodzi, zaprasza, sprowadza gwałtem, częstuje, podejmuje i mydli ludziom oczy frazesami o sprawach publicznych, a ma tylko jedną sprawę na oku: swój własny interes. Podobno bywa tam ludno na tych baronowskich środach, choć dają tylko herbatkę, kanapki, cienkie wino i papierosy, ale za to traktuje się całą gębą sprawy publiczne, reformuje społeczeństwo, układa projekty, które nigdy nie mają być wykonane i... mają wodę, by w niej rybki łowić.

— I chodzą do niego?

— Dlaczego nie mają chodzić!... jedni idą przez próżność, aby się otrzeć o pana barona lub pana hrabiego, drudzy przez ciekawość, trzeci przez ławowierność, inni z nudów, a jeszcze inni, ot tak sobie, bo wszędzie chodzą, gdzie ich zaproszą, przez pracowite próżniactwo i chęć odgrywania jakiegś

rol. Zdaje im się potem, że naprawdę coś znaczą i są kierownikami społeczeństwa!

Dalszą rozmowę przerwał lokaj, który na tacy wniósł depeszę, adresowaną do doktora Pniaka.

Otworzył telegram i przeczytał:

„Wracać jak najprędzej — pan Krokowski chory“.
Na depeszy podpisany był Krysiewicz.

V.

W połowie wielkiego postu, który po długim, ospałym karnawale, wyjątkowo był ożywionym w Warszawie, mówiono wiele o dwóch świetnych rautach, urządzonych w „gościennych salonach państwa baronowstwa Phalernów;“ w kilku pismach znalazły się nawet wzmianki o tych niezwykle licznych zebraniach, które w kronice towarzyskiej syreniego grodu zaznaczyć się miały wyjątkowymżywieniem.

„Wiadomości brukowe“, rozumie się, podały najobszerniejszy opis obu rautów.

Staś Szuba wysilił się na istne arcydzieło dziennikarskiej reklamy, wymieniając z dyskretną niedyskrecją prawie wszystkich gości mniej lub więcej utytułowanych, których zaznaczał tylko początkowymi literami, ale każdemu przypisał jakiś sprytnie dopasowany przymiotnik, zachwycił się nad gęstością toalet, przyczem z ręcznie nie zaniedbał napomknąć, z którego wyszły magazynu; przechwalał tradycyjną gościnność gospodarstwa i stawiał ich za wzór „prawdziwie wielkopańskiej uprzejmości“.

Nie zapomniiał i o sobie, nadmienając, iż w ułożeniu nadzwyczaj zajmującego programu, który się składał z żywych obrazów, czarujących wdziękami pań X., Y., Z. i przepychem malowniczych kostymów, oraz z deklamacyi i muzyki, pomocnym był gospodarstwu „jeden z młodych literatów, skuzynowany z domem państwa baronowstwa Ph.“

Skromność nie pozwalała mu wymienić swojego nazwiska, ale sprawiedliwość i dokładność dziennikarska nakazywały mu pochwalić się stosunkami, które go wobec opinii postawić mogły jeszcze bardziej na widoku.

Wiedział, że w ten niewinny sposób robi się popularnym.

I tak, od czasu, gdy się przyplątał do barona, ofiarując mu swoje usługi, wznosił się szybko coraz wyżej, zawierał znajomości, o których do niedawna nie śmiał zamarzyć, ogładzał się i przetwarzał z poczwarki brzydkiej i niepozornej w istnego motyla; przede wszystkim pod względem powierzchowności zmienił się do niepoznania: nabierał szyku i pozorów pretensjonalnej jeszcze, ale już nie rażącej elegancji.

Doszedł do posiadania własnych lakierków, szapokłaka z pękniętą wprawdzie sprężyną i całego garnituru frakowego; na raucie u baronowstwa wystąpił z ogromną gardenią w butonierze i po raz pierwszy dał sobie ufryzować włosy, zgoliwszy brodę

www.libtool.com.cn
i zapuściwszy rzadkie baczki, sięgające mu do połowy policzków.

Niebieskawe binokle z talmi-goldu nosił na cieniutkim łańcuszku, który zakładał za ucho, aby mu się nie zaczepiał przy żywej gestykulacji i nie ściągał szkielek z migdałowego noska, jak to bywało dawniej.

Na salonach „kuzynów“ odgrywał rolę aranżera; ślizgał się po posadzce, przeskakiwał na palcach długie treny dam i przeciskał pomiędzy mężczyznami z uprzejmem: *pardon!* — nadając sobie pozory salonowca, przejętego do głębi obowiązkami „kuzyna domu“ i głównego pomocnika w urządzeniu tak świetnego rautu.

Z tą miną impresarya i rezydenta w jednej osobie, dyrygował służbą, ustawiał krzesła, rozsuwał i zasuwiał zasłonę, po za którą przygotowywano dekoracye i akcesorya do żywych obrazów, otwierał fortepian do salonowych popisów i wprowadzał na zaimprovizowaną estradę „naszą niezrównaną Kłaczewską“, która, jako gwiazda komedyi, wygłosić miała parę monologów, umyślnie dla niej na ten wieczór napisanych.

W programie bowiem pierwszego rautu przyjmowali udział prawdziwi artyści, za pośrednictwem Szuby wprowadzeni na salony baronowstwa, za umówionem z góry wynagrodzeniem.

Baronowi zależało na tem, aby całe miasto mówiło o urządzonych przez niego wieczorach; chciał zabłysnąć, olśnić, zachwycić swoich gości.

W rzesiście oświetlonych apartamentach panował istny tłok, przez który chwilami trudno się było przecisnąć.

Pomimo pozorów wysokiej dystynkcji, znajdowała się tu jednak mieszanina rozmaitych sfer, stanów i żywiołów towarzyskich, rozpadając się w grupy, żadnej spójni ze sobą nie mające.

Najmniej liczna, jakby dla okraszy tylko, była garstka prawdziwej arystokracji, sztywna, znudzona, ceremonialna, zachowująca widoczną rezerwę z miną, która zdawała się mówić:

— Przyszliśmy tylko pokazać się tutaj, ale zaraz wyjdziemy!... zrobiliśmy poświęcenie z konwensu!

Ku niej natrętnie garnęły się zbyt kownie postrojone i brylantami obsypane damy ze świata finansowego, żony i córki bankierów, dyrektorów, prezesów, jak gdyby szukały dla siebie tła i oparcia, przy których efektowniej wydaćby się mogło ich parweniuszowskie bogactwo.

Osobną grupę stanowili przedstawiciele „obywatelstwa“, kilku radców ziemiańskich bez żon, zażywna, tęga młodzież wiejska, przybyła ze wsi na karnawał w celach zabawy i ożenku, kilka mam z dorodnymi wiochnami szlacheckiego pochodzenia, rozglądającymi się ciekawie po obcych sobie fizjognomiach, z widocznym wyrazem zadowolenia i podziwu w naiwnych i ożywionych twarzyczkach.

Najliczniej jednak reprezentowane było tak zwane

„miasto“, z którego bez wielkiego wyboru baron spraszał do siebie bogatszych fabrykantów, znaczniejszych urzędników, burżuazyę byle ogładzoną, oraz „inteligencyę“, mogącą mu się przydać, kilku głośniejszych adwokatów, lekarzy z nieodzownym dodatkiem prasy w osobach aż czterech redaktorów i całej paczki literatów i artystów.

Chciał zgromadzić w swoim salonie ową różnorodną mięszzaninę, pod ogólnym tytułem „całego świata“, albo „tout Varsovie“, określając w terminologii liczniejszych zebrań.

Baronowa roztargniona, rozrywana na wszystkie strony obowiązками gospodyni domu, w towarzystwie jednej tylko córki (nieobecność drugiej usprawiedliwiano zawsze jeszcze pobytem na wsi z polecenia lekarzy), z nerwowym, wysiłonym uśmiechem na ustach, a owym właściwym sobie niepokojem w oczach, śledzących nieustannie męża i wyraz jego fizyognomii, przechodziła z jednej grupy do drugiej, rozpoczynała rozmowę nigdy niekończoną, prawiała banalne grzeczności damom, mizdrzyła się do mężczyzn, przepraszając wszystkich za tłok i niewygody, starając się ożywić i powiązać towarzystwo w sztuczną całość i czując, że ma zadanie niełatwe do spełnienia.

Frasobliwem okiem matki nie zaniedbywała jednak badać wrażenia, jakie na młodych ludziach sprawiała jej Ninon, porównyując jej wdzięki,

toaletę i całe zachowanie się z innymi pannami na wydaniu, zgromadzonemi w jej salonie.

Od czasu do czasu nachylała się do ucha córki i szeptała jej swoje uwagi:

— Ninko, przysiądź się trochę do starej Blau-steinowej; zdaje mi się, że przesowa się nudzi!... Bój się Boga, powiedz co przyjemnego tej chudej Irencie, niech się tak nie krzywi, bo nas obmówi potem, że ziewała na naszym raucie.

Posyłała ją do napuszonych hrabiów i złotych młodzieńców, komenderowała raz po raz z miejsca na miejsce, dawała znaki głową, wachlarzem, a przy sposobności poprawiała jej ramiączka od stanika, powtarzając:

— A mówiłam ci, że będziesz zanadto wydekoltowana!... wszystko z ciebie opada, wyglądasz skandalicznie!...

Nina wzruszała ramionami pobłaźliwie i uśmiechała się z ironią, nie dzielając wcale zgorszenia matki; w oczach mężczyzn, wśród których obracała się więcej, niż w gronie pań i swoich rówieśniczek, czytała zupełnie inną opinię o sobie i swoich obnażonych kształtach, którym starsi przypatrywali się z lubością doświadczonych znawców, a młodszy z impertynencką ciekawością.

Zdawało się to jednak pochlebiać jej raczej, niż ubliżać, i nie czuła się wcale krępowaną spojrzeniami, których była ogólnym celem; cieszyło ją takie powodzenie.

Szuba nadszakał matce i córce jednakowo, znosząc jednej i drugiej podsłuchane uwagi gości i zapewniając, że wszystko idzie doskonale.

— Cudowny wieczór!... wspaniały!... wygraliśmy! — wołał z entuzjazmem w przejęciu i z zadowoloną miną podnosił swój zadarty nos jeszcze wyżej, nie uważając tego, iż spoglądano na niego po większej części z drwiącym uśmiechem i bawiono się po kątach jego kosztem.

Od całego towarzystwa odbijał dziwnie rozstrojoną fizygnomią i skłopotanym wyrazem twarzy młody baron, który z widocznym przymusem przesuwiał się wzdłuż ścian z salonu do salonu, ukrywał po framugach okien, unikał rozmowy, i znać było, że pozostaje pod wrażeniem jakiegoś przygnębienia i tłumionego niepokoju.

Na wązkim jego czole osiadła jakaś troska, brwi podnosił w górę i marszczył, zapadając w zamyślenie, z którego budził się chwilami i próbował nadrabiać miną, szczególnie przy spotkaniu z ojcem, któremu jak gdyby nie śmiało w oczy spojrzeć.

Usuwał mu się z drogi, jakby z obawy, by się nie zdradzić i nie być zmuszonym do tłumaczeń.

Szukał samotności i wymykał się ciągle z tłumu.

Niekiedy blady, bezmyślny uśmiech skrzywiał mu usta, gdy czuł na sobie obce spojrzenia, jak gdyby próbował nim zamaskować swoją wewnętrzną rozterkę; spoglądał ukradkiem na zegarek i trzymał się blisko drzwi wiodących na schody, oświetlone

lampami wśród zielonych krzewów i wyłożone dywanem.

Załóżył ręce pod poły fraka i oparty o ścianę, udawał, że się przypatruje temu rojowisku ludzi, którzy się przed nim przesuwali nieustannie.

Wygolony lokaj, w brązowej liberyi ze srebrnymi guzikami, zbliżył się do niego i szepnął:

— Proszę jaśnie pana, tam ktoś chce się widzieć z jaśnie panem.

Drgnął i poczerwieniał wyżej uszu.

Słowa służącego przeraziły go niemal, jak gdyby zwiastowały mu oczekiwaną, a przykrą niespodziankę.

— Już?... co?!... gdzie?... — zająknął się w roztargnieniu, zbierając z trudem całą przytomność umysłu.

— W pokoju jaśnie pana czeka jakaś pani.

— Co za pani?...

— Nie wiem, bo za woalką; kazała tylko na słóweczko poprosić.

— W moim pokoju?...

— Tak, koniecznie chce się widzieć; przyszła drugimi schodami od podwórza — objaśniał lokaj z miną kamerdynera, znającego obowiązek dyskrecyi w podejrzanych sytuacjach.

Młody baron wymknął się na schody ostrożnie, chwilę rozmyślał, wreszcie zdecydowany, podniósł kołnierz od fraka i zbiegł szybko po stopniach do przedsionka, a potem przeze drzwi dostał się na

ciemny dziedziniec, z którego boczne schody prowadziły do jego prywatnego mieszkania, na pierwszym piętrze w oficynie.

Nikt nawet nie zauważył jego nieobecności w salonie.

Raut rozwijał się właśnie; służba roznosiła tace z lodami, chłodnikami i winem; gwar, szepty, śmiechy, szelest sukien i wachlarzy, zapach perfum, pudru i kwiatów, wypełniał atmosferę.

Rozmawiano, słuchano, przyglądano się sobie wzajemnie i przechodzono pojedynczo i grupami z salonu do salonu powolnym, leniwym krokiem, tam i z powrotem, szukając nowych tematów do pogawędki i zabicia czasu, który pomimo wszelkich usiłowań gospodarstwa, dłużył się gościom i fizyognomie ich powlekał wyrazem ciągłego wyczekiwania i maskowanej nudy.

W tem różnorodnem, sztucznie spojonem zbiorowisku wszelakich sfer i warstw towarzyskich, brakło punktów bliższego zetknięcia i wspólnego łącznika.

Jedni nie znali drugich i niewiele okazywali chęci zawierania znajomości.

Salon podobny był do okrętu, na którego pokładzie przypadek połączył przygodnych pasażerów, którzy parę godzin płynąć z sobą mieli bez celu pod jedną banderą, czekając, rychło przybiją do brzegu i rozejdą się znowu w różne strony.

Baron tylko, jak kapitan tego statku, kręcił się

www.libtool.com.cn
pomiedzy wszystkimi i zdawał się obliczać, ile korzyści może z każdego wyciągnąć.

Lawirował i urabiał sobie zwolenników, którzy mu mieli być użyteczni.

Około grupy ziemian krążył najczęściej i najgorliwiej zajmował się poważniejszymi wśród niej figurami, szczególnie jakimś łysym, otyłym jegością z zawieszistymi wąsami i krótko strzyżoną brodą.

— Radca nie łaskaw na nasze środy — mówił właśnie do niego, przysiadając się obok na chwilę — a szkoda!... mieliśmy kilka zebrań bardzo interesujących i światłe zdanie pana radcy bardzoby się nam było przydało w dyskusyi.

Radca powieki spuścił, usta wydał i niskim tonem zapytał po chwili:

— O czymżeście tam radzili?...

— O!... ważnych kwestyi nie braknie nigdy!... zbiera się u mnie teraz małe, ale wyborowe kółko ludzi, dwadzieścia do trzydziestu osób, czasami nawet więcej.

— Dwadzieścia do trzydziestu?... ależ to cały sejmik!

— A tak, sejmikujemy, sejmikujemy!... Alboż to niema o czym radzić?... Sprawy publiczne wymagają gruntownego zbadania, wymiany zdań, namysłu, a my, niestety, przywykliśmy iść luzem, żyć z dnia na dzień, bez programu, bez jasno wytkniętego celu. Brak nam wspólnego ogniska i sposo-

wności porozumiewania się w kwestyach najżywotniejszych. Ofiarowałem tedy moje skromne pośrednictwo i otworzyłem dom na taki rodzaj areopagu opinii; może się z tego co wyrobi. Schodzą się ludzie różnych stronnictw i zapatrywań, ścierają się zdania, wywiązują dyskusye, rodzą projekta. Ot, zajrzałyby radca kiedy choć przez samą ciekawość, jeśli nie z obowiązku!... W przyszłą środę mamy mówić o wyborach i nowych źródłach kredytu rolnego. Trzeba służyć temu biednemu społeczeństwu, jak kto może!...

Radca spojrział na niego zpod oka podejrzliwie, odechrząknął grubo i jakby szukając wymówki, rzekł:

— Służyłbym bardzo chętnie, ale wieczory miwam zajęte...

— Raz na tydzień!...

— Może się wybiorę, zobaczę... Kogoż tam macie w tym areopagu?...

Baron zaczął mu wyliczać po kolei nazwiska, które zdawały się zadziwiać go, bo powtarzał co chwila:

— Tak?... proszę!... i tego macie?... no, no!...

— A widzi radca!... sam dobór ludzi, prawda?...

Braknie nam tylko przyszłego prezesa Towarzystwa melioracyjnego — dodał na końcu, robiąc zręczną aluzję do kandydatury pana radcy na przyszłą godność obywatelskiego dygnitarza; wiedział, czem go może ująć.

Lysy jegomość uśmiechnął się i skinął głową, jakby na podziękowanie.

— No, jeszcze do tego daleko! — rzekł z fałszywą skromnością — są zasłużeńsi odemnie...

Baron pod ramię go ujął i uściśnął zlekka.

— Niema, niema, panie radco!... przedyskutowaliśmy już wszystkie kandydatury na ostatniej środzie i utrzymała się tylko pańska jednogłośnie!... Daj nam Boże takich jak najwięcej!...

Cmoknął go w powietrzu z obu stron, na znak szczególniejszego szacunku i życzliwości i uściśnął powtórnie za rękę.

— Radca wiesz, że jestem bezstronny i nie mam żadnego w tem interesu. Wycofałem się przecież zupełnie z Melioracyi i tylko z czysto obywatelskich względów dbam o dobro tej instytucyi, która...

Nie zdążył dokończyć, bo go w tej chwili uderzyła po ramieniu wachlarzem jakaś dama, wysoka i chuda, odciągając ku drzwiom salonu.

— Baroneczku!... na słówko!...

— Służę kuzynce!

— Mój drogi, proszę cię... czy to prawda?...

— Co takiego? — niechętnie, ale z udaną uprzejmością spytał baron, opuszczając przyszłego prezesa, którego tak szczęśliwie udawało mu się już zagarniać w siatkę i zjednywać pochlebstwem i fałszywą szczerością.

— Powiedz-no, kuzynku, czy to prawda co mówią?... — szeptała chuda dama w granatowej aksa-

mitnej toalecie, przybranej koronkami, w grubych perłach na szyi. — Więc to się znówu skleіło?...

— Co?... z kim?... nie rozumiem.

— Wszak ten brunecik z węsami i kneblikiem, co tak Nince nadskakuje, to Kraene, co?... młody Kraene?...

Wskazała mu wachlarzem młodego człowieka, rozmawiającego w tej chwili pośrodku salonu z młodszą baronówną.

Baron włożył binokle na nos, udając, że chce lepiej zobaczyć.

— Tak, to Kraene... albo co?...

— Wrócił się!?... — z wyrazem największego zdziwienia i ciekawości pytała dalej — przeprosił?... rozmyślił?...

— Nie rozumiem doprawdy, o co kuzynce chodzi?...

— Nie udawaj, baroneczku, nie udawaj!... Wiesz, że Rawiłową nie łatwo wyprowadzić w pole! — mówiła, wieszając mu się u ramienia. — Przecież zerwaliście z nim, gdy mu Leosia dała odkosza?... może nie?... Cały świat o tem wiedział!... Skądże teraz znów?... Czyżby z Ninką próbował?...

Baron się skrzywił niby z uśmiechem.

— A czemużby nie? — rzekł, spoglądając jej w oczy — mam dwie córki na wydaniu; nie ta, to ta!... Wolno wybierać; to jego rzecz nie moja. Nina musiała mu się lepiej podobać, gdy się rozejrzał. Cóż w tem dziwnego?...

Mówił to niby żartem, niby seryo, śmiejąc się i podnosząc do góry ramiona.

Rawiłowa nie mogła się jeszcze połapać.

— I wydalibyście Ninę za Kraenego?... choć go Leosia nie chciała?...

— A kuzynka-byś nie wydała, gdybyś miała jeszcze co do wydania?... — zagadnął ją i pocałował w rękę, ale minę miał przytem kwaśną, jakby niezadowoloną, że się musiał wydać zawczasie z projektami, które miały do pewnego czasu pozostać tajemnicą dla świata.

Pociągnął zlekka chudą damę w perłach ku oknu i zmienionym tonem poufnie zaczął z nią szeptać:

— Tylko, moja droga, nie rozgaduj tego!... To nie pewnego dotąd. Ja nie sam nie wiem i nie myślę się wtrącać. Ma co być, to niech będzie z woli Bożej, ja już się nie chcę mieszać do niczego. Miałem dość z tamtą waryatką!... Tymczasem bywa znowu u nas, bo mamy przecież interesa ze sobą. Rozsądny chłopak, nie wziął tego bardzo do serca i może tam się co sklei z Niną, choć się rozkleiło z Leonką!... tylko *la bouche close, ma chère*. Bardzo cię o to obliguję!...

Rawiłowa słuchała go z zajęciem, ale jakiś drwiący uśmieszek nie schodził z jej ust, gdy mówiła:

— *Mais pour qui me prenez vous?!...* czyż ja tego nie rozumiem?... nie chcecie, żeby się to przed czasem rozniosło, to jasne, to całkiem naturalne.

Wiesz, baroneczku, ja wam dopomogę; przedstaw mi tego niemczyka, już ja go urobię, bądź spokojny!... Ale cóż Ninka?... nie będzie się skrupulizowała?... zawsze to brać konkurenta, któremu starsza siostra dała odkosza... Ale ona ma rozum także. Kraene, to doskonała podobno partya?... co?...

— Niezła, niezła!...

— Chociaż *parvenu*, prawda?... Ten stary, to był... czem to on był?... spławiał drzewo, czy coś takiego?... — pytała, przymrużonemi oczyma przyglądając się baronowi — szwabska krew?... co?... Ale to nic, Ninka go spolonizuje!... Zresztą znać na nim kulturę... wcale przystojny! — mówiła dalej, przyglądając się młodemu człowiekowi przez lornetkę — tylko ten frak jakoś na nim tak leży, jakby był pożyczany, ale to głupstwo, prawda?... skoro w każdą połę zawinąć może pół miliona!... podobno nawet więcej, co?... No, nie traćmy czasu... niech-no mi go kuzyn przedstawi!...

Pociągnęła go pod ramię do salonu, w którym młodsza baronówna rozmawiała z odpalonym konkurentem Leosi i rzucała w lustro na przeciwległej ścianie badawcze spojrzenia, chcąc się przekonać, czy wygląda rzeczywiście tak czarująco, jak jej to dzisiaj ze wszystkich stron powtarzano.

Czuła to, że się podoba i że nie trudno jej będzie zatrzeć wrażenie starszej siostry w sercu tego niedoszłego szwagra, który szedł na lep jej wdzieków i koligacyi z utytułowanym rodem.

Przełożył to sobie w praktycznym umyśle do-robkiewicza, że ta czy owa baronówna jednako może udekorować jego milion, gdy się tylko zgodzi oddać mu swoją rękę, i że skoro nadarza mu się sposobność wzięcia żony z arystokratycznej sfery, nie powinien się wahać w wyborze i zrażać pierwszym lepszym odkoszem.

Baron zresztą sam wpadł, jako ojciec, na ten pomysł korzystnej kombinacyi i zręcznym manewrem podsunął mu młodszą córkę zamiast starszej, ratując zagrożone zupełnem zerwaniem z Kraenami swoje interesa majątkowe.

Znalazły się życzliwe pośredniczki i nie całkiem bezinteresowni przyjaciele którzy „nietaktowność“ Leosi naprawili i młodego Kraenego sprowadzili powtórnie do domu baronowstwa, wytłumaczywszy mu, że małżeństwo jego ze starszą baronówną było prostem niepodobieństwem wobec tego, iż... młodsza siostra potajemnie była nim od samego początku zajęta.

Podstęp ten dyplomatycznych swatów i swatek był tem łatwiejszym, iż panna Nina zgodziła się sama należeć do spisku i przyjąć przeznaczoną sobie rolę.

Było jej to wszystko jedno, byle w jakibądź sposób wydostać się raz z domu rodzicielskiego, w którym od dzieciństwa ów stosunek zależności i tyrania ojcowska. maskowane wieczną komedią wobec świata, stawały się coraz bardziej nieznośne.

Oddawszy kandydata na przyszłego zięcia w ręce Rawiłowej, która mu się sama na sprzymierzoną narzuciła, wrócił baron do przerwanej akei z radcą, ale tu zastał już miejsce swoje zajęte przez żonę.

— Nie wyobraża sobie pan radca — głosem rzewnym, poufnym, przytłumionym egzaltacją i wyrazem głębokiego przekonania, szeptała właśnie baronowa na ucho wpływowemu matadorowi grupy ziemiańskiej — ile energii i obywatelskich uczuć marnuje się w tym człowieku!... co to za gorąca dusza, jaki charakter, jakie serce!... Wszystkiego mu zamało!... ciągle rwie się do czynu, chciałby być pożytecznym ogółowi, chciałby bezustannie coś robić, nie dla siebie, tylko dla drugih. Wy go nie znacie, więc nie możecie tak ocenić, ale to wzór człowieka i obywatela!... Dajcie mu tylko odpowiednie pole do działania, a zobaczycie, co potrafi. Nie dla marnej ambicji, nie dla zaszczytów, broń Boże!... ale jedynie przez umiłowanie dobra społecznego, przez poczucie obowiązku rwie się tak do służby publicznej. Niech mi pan radca wierzy, że mówię prawdę, nie przechwalam go w zaślepieniu żony, bo jako takiej, brakłoby mi już słów na oddanie mu sprawiedliwości.

Mówiła w tym tonie długo, zapalając się i zapominając, że ani miejsce, ani chwila nie były stosowne do traktowania tego przedmiotu; unosiła się w ten sposób nad zaletami swego Tonia, urabiając mu opinię i starając się pozyskać względy czło-

wieka, który używał szerokiego zaufania i poważnego wpływu w swojej sferze, — a mówiła to wszystko z najlepszą wiarą zaślepionej żony, mającej wysokie wyobrażenie o moralnej wartości swojego męża, którego zalety przeceniała, a wad nie dostrzegała wcale.

Radca słuchał jej szeptu pobłażliwie, bez przejmowania się jej zapalem, i kiwał w milczeniu głową, przez grzeczność nie zdradzając się z tem, co myślał.

— A jakżeż tam z tym procesem państwa? — zagadnął ją nagle, niby od niechcienia, nie zważając na gorący rumieniec, który to niespodziane zapytanie w takiej chwili wywołało na jej twarz.

— Ach, ten nieszczęsny proces! — zawołała, zalamując ręce, — to powód moich bezsennych nocy i nieustannej troski!... Wciągnęli nas, zawikłali, musimy teraz iść mimo woli coraz dalej, aby uratować przynajmniej to, co nam się prawnie należy. Musimy bronić swego, bo inaczej rozdrapią wszystko inni.

Radca podniósł oczy i, niby dobrodusznie zmieszany ją znowu pytaniem:

— Kto taki?...

— No, rodzina!... Pan radca musiał zapewne słyszeć, że inicjatywa głównie wyszła od linii Omylińskich; krewni pierwszego męża mojej ciotki wystąpili pierwsi z pretensjami na drogę sądową. Cóżemy mieli począć?... Nieboszczka w najlepszej

intencyi porobiła rozporządzenia, które pozornie wydały się całkiem prawne, ale przy bliższem zbadaniu całej sprawy, okazało się zupełnie co innego. Ja wiem dobrze, że z tego powodu krążą rozmaite plotki; nawet nieprzyjaciele mego męża rozpuszczają uwłaczające nam pogłoski, jakobyśmy powstawali przeciw interesom publicznym i obalali testament z tak filantropijnemi fundacyami; ale tak nie jest!...

Gdyby to pan radca zechciał ofiarować mi kiedy godzinę swojego drogiego czasu, zwierzyłabym panu radcy, jak na spowiedzi, całą prawdę. Rzucają na nas kalumnie, a my nie mamy nawet możności bronić się... To przecież sprawa drażliwa, jak każda sprawa familijna; ale ludziom jak pan radca, ludziom poważnym i godnym zaufania, wolno jest mieszać się w takie sprawy, i dlatego właśnie...

Zacięła się nagle i zniżyła głos, zaczerwieniwszy się powyżej uszu, bo w tej samej chwili dostrzegła groźne, jakby karcące spojrzenie męża, który z drugiego krańca pokoju przypatrywał się jej i zdawał się odgadywać z jej miny, o czem mówi z takim przejęciem.

Obawiał się jej nieostrożnej gadatliwości i przywołał ją do porządku tym wymownym błyskiem oczu zpod brwi zmarszczonych.

Znała go dobrze i rozumiała każdy giest, odgadywała każdą myśl jego.

— O, to wszystko inaczej się zdaleka wydaje! —

zakończyła zmienionym tonem, nadrabiając sztuczny uśmiechem i swobodną miną swoje pomieszanie. — Kiedyindziej powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, panie radco, tymczasem proszę nas nie potępiać, nie wysłuchawszy naszych argumentów.

Wyciągnęła do niego obie ręce i powstała, przerywając rozmowę, w której zadaleko się zapędziła.

Szła więc ku mężowi teraz, jakby czuła się winną i chciała mu się usprawiedliwić, zanim jej zarzut uczyni, ale on powstrzymał ją surowem spojrzeniem i nieznacznie, półgębkiem, aby nie był przez nikogo słyszany, syknął przez zęby:

— Już pytlujesz?...

— Ależ... powiem ci... — zaczęła zmieszana.

— Nic lepiej nie mów, bo powiesz znowu jakie głupstwo. Wróć do salonu i zajmij się gośćmi — komenderował po cichu — widzisz przecie, że się nudzą!...

Sam zwrócił się do kilku niemłodych panów, którzy wsunęci w ką, rozmawiali ze sobą o polityce, zaczął ich zapraszać na papierosa do przybocznego gabinetu, przeznaczonego na *fumoire*.

We drzwiach spotkał go Szuba z miną zakłopotaną i zagadnął:

— Nie widział pan baron Kłapczyńskiego?... mam do niego pilny interes.

— Zdaje mi się, że palił cygaro w moim gabinecie.

www.libtpool.com.cn
— A prawda!

Podszedł do pochmurnego brodacza, rozpartego w fotelu i puszczającego przez nos kłęby dymu, i nachyliwszy się nad nim, zaczął mu szeptać w ucho:

— Redaktor czytał dzisiejszego „Gońca“?... jest tam jakiś sensacyjny artykuł o „żywych szkieletach“. Nie miałem czasu przejrzeć wieczornego numeru. Olkiewicz sobie reklamę robi w salonie, opowiada cuda o zrobionem odkryciu całej fabryki aniołków. Baby omal nie mdleją z wielkiego wrażenia!...

Kłapczyński głową skinął.

— Czytałem... Wynaleźli sobie jakiegoś ssącego węża!... To pewnie nowy kawał Skrzypkiewicza.

— Jest w tem co prawdziwego?

— A no, niby; gdzieś tam na Bugaju ma być jakaś nora, w której głodzą dzieci, oddawane na garnuszek. Podczas wczorajszego pożaru mieli przypadkiem natrafić na cały cmentarz pod śmietnikiem.

— Pewnie reporterski kawał!... a mówiłem, żeby Skrzypkiewicza wziąć do nas, prawda?... co?... i dać mu o kopiejkę drożej, niż mu „Goniec“ płaci. On ma nos do takich rzeczy!... Artykuł robi sensację.

Kłapczyński się skrzywił i ręką machnął.

— Głupstwo!... my jutro damy „Tragedyę pod progiem“.

— Cóż to takiego?

— Jakto, nie wiesz pan jeszcze?... a prawda, nie było pana w redakcyi wieczorem. Podrzucili nam dziecko w koszyku, z kartką bardzo ciekawą.

— Dziecko?!...

— A widzisz pan!... oni mają siedm szkieletów, a my mamy żywą ofiarę. Zrobi się z tego całą tragedję, tylko trzeba będzie ubrać to efektownie. Kropniesz pan felieton: list matki, historya uwiedzenia, rozpacz opuszczonej, wychowaniec redakcyi, kwestya podrzutków, *et caetera*... Naradzimy się nad tem po rancie.

Szuba z niedowierzaniem odsunął się od niego.

— Redaktor nie bierzesz mnie na kawał? — spytał.

Śmieszny pan jesteś!...

— I to fakt?

— O ile faktem jest żywy bęben jakiejś szwaczki, czy magazynierki.

Szuba aż poczerwieniał z zadowolenia.

— Ależ to świetnie!... to pysznie!... „Tragedya pod progiem!“ doskonały tytuł. Tylko za dużo trochę tych dzieci naraz... U nich żywe szkielety, u nas podrzutek.

Kłapczyński strzepnął popiół z cygara na podłogę.

— Przeciwnie, to właśnie dobrze. Jeden przyczynek więcej do kwestyi opieki nad niemowlętami, którąśmy już raz poruszali. Wznowimy teraz tę sprawę i zdystansujemy „Gońca“. Oni będą mieli

fakt reporterski, my to uogólnimy i wyprowadzimy na porządek dzienny sprawę filantropijną.

— Czekaj redaktor, mam myśl! — przerwał mu nagle Szuba, a uderzywszy się w czoło i zakręciwszy na pięcie, wybiegł szybko z pokoju.

W dziesięć minut później, kiedy Olkiewicz, redaktor „Gońca“, opowiadał jeszcze szczegóły sensacyjnego odkrycia, którem jego pismo zaalarmowało całe miasto, a wzruszone damy kupiły się około niego i z wielkiem przejęciem słuchały historii męczonych niewiniątek przez jakąś potworną wiedźmę, utrzymującą przytułek dla niemowląt — Szuba wśliznął się do salonu z wiadomością o „Tragedyi pod progiem“.

Porozumiawszy się naprędce z baronem i baronową, ułożył szybko cały plan doraźnego działania, aby w tem współzawodnictwie z niebezpiecznym konkurentem, nie dać się prześcignąć.

Z kilku danych, udzielonych mu przez Kłapczyńskiego, wysnuł całą powieść i upstrzył ją własnymi dodatkami, improwizując na ten temat, podsunięty mu szczęśliwie przez przypadek.

Przytaczał wyjątek z rzekomego listu nieszczęsnej matki, która swoje biedactwo z ostatniej nędzy oddawała pod opiekę najruchliwszego organu prassy, aby zwrócić w ten sposób uwagę ogółu na palącą kwestyę zajęcia się nareszcie losem niewinnych istot, zmuszonych marnować się bez pomocy społeczeństwa i ginąć gdzieś w ciemnych zaułkach proletaryatu.

Kwestya była drażliwą, jak na dodatkowy numer rautowego programu, ale Szuba sprytnie omijał drażliwości i tylko w kole mężatek, starszych dam i mężczyzn opowiadał o sensacyjnym wypadku, który się „Wiadomościom brukowym“ wydarzył.

Dyskusya na ten temat rozruszała poważniejszą część towarzystwa; nie brały w niej tylko udziału panny, zajęte przygotowaniami do żywych obrazów, które miały uwieńczyć program tak niezwykle urozmaiconego wieczoru.

Zanim dzwonek dał znać o odsłonięciu kurtyny, baron z kapeluszem Szuby w rękę obchodził w dalszych pokojach panów, kwestując na rzecz „wychowanka Wiadomości brukowych“, wygłosiwszy przedtem mówkę krótką, ale bardzo gorącą, w imię miłosierdzia i obywatelskiego obowiązku zajęcia się losem nieszczęśliwych ofiar nędzy i demoralizacyi.

Na początek składki pozwolił sobie złożyć banknot dwudziestopięciorublowy; przybrał przytem pozór człowieka głęboko wzruszonego sprawą i przejętego chęcią spełnienia dobrego uczynku.

Rzucano mu do kapelusza banknoty dość licznie, ale wielu krzywiło się ukradkiem na tę „niestosowną karotę“ i wzruszało ramionami, uważając, że ani cel, ani chwila nie były bardzo odpowiednie do takiego filantropijnego wyzysku gości przez samego gospodarza.

Baron, jak drugi Baudouin, chodził, potrząsając kapeluszem i z patetycznem namaszczeniem powta-

www.libtool.com.cn
rzał za każdą ofiarą, złożoną do tej rautowej skarboxy:

— Bóg zapłać!... Bóg zapłać!...

Potem pieniądze wysypał na swoje biurko, poprosił Kłapczyńskiego o przeliczenie i oddał mu zebrany fundusz ze słowami:

— Tylko, szanowny redaktorze, zastrzegam sobie, aby przy tem nie było mego nazwiska!... nie chcę wcale figurować w druku... broń Boże!... Co najwięcej, jeżeli to uznacie już za koniecznie potrzebne, wymieńcie tylko pierwsze litery.

Kiedy w tej roli filantropa potrząsał kapeluszem i zbierał ruble na opuszczone dzieci, redaktor „Gońca“ ze złośliwym grymasem zagryzał wąsa, stojąc obok poważnego radcy i nie mógł się powstrzymać, aby nie zrobić trafnej, ale zjadliwej uwagi:

— I pomyśleć, że ten sam człowiek obala zapisy na cele publiczne!... No, no!... O, konsekwencyo, skąd ty jesteś rodem, że cię nad Wisłą z świecą szukać trzeba! — westchnął, uśmiechając się znacząco do radcy, który zrozumiał dobrze aluzję, ale udał, że się jej nawet nie domyśla.

— Jakto kochany redaktor rozumie?... — spytał, zaciągając go z sobą na kozetkę pod ścianą.

Olkiewicz wyciągnął ciężką, srebrną papierośnicę z kieszeni, pokrytą inicjałami i podpisami główniejszych współpracowników swego pisma i zapalił papierosa, nie odpowiadając przez chwilę na zapytanie radcy.

Skwaszony miał humor; nie mógł stawić tego podrzutka z „Wiadomości brukowych“ i okiem niechętnem spoglądał w milczeniu jakiś czas na Szubę z pogardliwym wyrazem twarzy.

Domyślał się konkurencyjnej flinty z jego strony i układał w głowie dalszy plan działania.

Z Kłapczyńskim nie rozmawiał już oddawna i przy spotkaniu pomijał go zupełnie; oba dzienniki prowadziły ze sobą zażartą walkę nie tyle o wpływy na opinię publiczną, ile o prenumeratorów, których sobie wzajemnie wydzierały z początkiem każdego kwartału.

— Pan radca bardzo wierzy w tego podrzutka?... — zagadnął znowu swojego sąsiada.

— W jakiego?

— A no, w tego, którego Brukowcy sobie na poczekaniu sprokurowali?... Zdaje im się, że zasypią „Gońca“ taką śmieszną awanturą. Ja im jutro poradzę, aby zamiast skrzynki do listów, umieścili sobie żłobek przy wejściu do redakcyi.

Zaczął się sam śmiać ze swojego złośliwego pomysłu.

— Ale pan baron — ciągnął dalej po chwili — mógłby być ostrożniejszy w popieraniu podobnie drażliwych celów w swoim domu, przynajmniej dopóki nie ukończy procesu familijnego. Ot, to, że nie zaprasza na swoje rauty swojego adwokata, to mu się bardzo chwali!

— Jakto?

— Cóż to, nie uważał radca, że pomiędzy gośćmi niema wcale Topiela?... Opuścili go z rozmysłem, aby swoją obecnością nie przypominał sprawy spadkowej i napaści na testament Krokowskiej. Ho! ho!... to sprytne.

— Redaktor jesteś dziś w kostycznym usposobieniu — zauważył radca.

— Broń Boże!... robię tylko swoje obserwacye, bo zresztą trzebaby tu ziewać z nudów. W trzech kątach przysiadła mnie wprawdzie baronowa, opowiadając o obywatelskich dążeniach swego męża i domagając się, abym jego kandydaturę popierał w „Melioracyi“...

— I pana także?...

— A rozumie się!... przecież cały ten raut jest tylko *ad captandam benevolentiam nostram*. Widziałem, jak i pana radcę obrabiała, ale to niewiele pomoże.

Radca poczerwieniał i twarz zachmurzył.

— Wciągnęli mnie tutaj prawie przemocą — próbował się usprawiedliwić — ja u nich nie bywam wcale!... Wyjątkowo dzisiaj... nie mogłem się wy mówić, ale zaraz wychodzę. Gorąco tu, tłok...

— I za dużo mieszaniny — wtrącił Olkiewicz. — Ja byłbym już dawno to samo zrobił, tylko kape-lusza swego nie mogę odszukać.

— Tak, jak i ja!...

— Może go nam skonfiskowali...

— Cóż pan znowu przypuszczasz?

— A dlaczegożby nie?... byłby to najpewniejszy sposób zatrzymania nas do końca rautu.

Radca udał, że się śmieje z tego dowcipu, ale zaczął się kręcić na miejscu niecierpliwie; nie swojsko mu było w tej fałszywej pozycji. Żałował, że się dał ściągnąć na ten raut i swoją osobą dodawał powagi zebraniu, które miało jedynie na celu kaptowanie opinii i urabianie stosunków dla przyszłej kandydatury barona.

Nadęty był i urażony.

Olkiewicz psuł mu do reszty humor swojemi uwagami, zaprawionemi żółcią i szyderstwem; kilka razy miał już na języku słowa:

— A jednak redaktor także tu jesteś, choć wiesz, w jakim celu cię ściągnęli! — ale się w porę powstrzymywał, aby nie usłyszeć może odpowiedzi:

— Skoro pana radcę tu znajduję i tylu innych, cóż w tem dziwnego?...

I nie byłby miał żadnego racjonalnego argumentu na swoje usprawiedliwienie.

Przypominał sobie, że przed kwadransem zaledwie całował się z baronem, ujęty jego pochlebstwami i że mu prawie przyrzekł wybrać się na którąś środę, a słuchając pochwał baronowej dla obywatelskich uczuć i dążeń męża, udawał, że im wierzy, chociaż nie miał nigdy przekonania do szczerości wygłaszanych przez niego zasad i o moralnej wartości jego powątpiewał tak samo, jak wielu innych.

Pocieszało go tylko to jedno, że nie był odoso-

bniony ~~vive~~ miał przed oczyma ludzi, równie poważnych i dobrze myślących, którzy jednak przyszlizli również na zaproszenie zręcznego karyerowicza, szukającego popularności i pleców, poparcia i pozorów w świecie i zapelniali tak samo, jak on, jego gościnne salony.

Nie czuł się odosobnionym w tem zgromadzeniu, ale mimo to doznawał jakiegoś niesmaku i niezadowolenia.

Cóż warta jest opinia publiczna, jeżeli tacy, jak on, robią ustępstwa, przymykają oczy i nie mają dosyć odwagi bronięcia jej, protestowania przeciw nadużyciom, pozwalają się używać za parawan?...

Wstał, wyprostował się i nie dosłuchawszy złośliwych przytyków Olkiewicza, który w dalszym ciągu nicował barona i całe towarzystwo — skierował się ku drzwiom.

— Odchodzi pan radca?... a kapelusz?... — zatrzymał go redaktor.

— Mam w futrze czapkę — odparł i, zapominając nawet pożegnać się, pod wrażeniem własnych refleksyi, wysunął się szybko z gabinetu, aby co prędzej opuścić te progi, które nierozważnie przekroczył.

Jako przyszły prezes Melioracyi, nie chciał się dłużej narażać i swoją obecnością dodawać splendoru takiemu rautowi.

Na schodach natknął się na młodego barona, zajętego tak ważną rozmową, że nawet go wcale nie

zauważył, schodzącego pompatycznie do przed-sionka, w którym urządzoną była garderoba dla gości.

Zreflektowana opinia zdawała się opuszczać te salony w osobie pana radcy...

Na schodach dwaj młodzi ludzie szeptali w dal-szym ciągu pod ścianą.

Starszy, blondyn z kociemi wąsami, łysawy już trochę na ciemieniu, chudy, ruchliwy i nerwowy, trzymał obie ręce w kieszeniach i przyglądał się swoim lakierowanym ciżemkom z kokardkami, słuchając opowiadania przyjaciela i wydając od czasu do czasu krótkie, urwane śmiechy, na znak ironii i oburzenia, jakim go słowa towarzysza przejmowały.

— Waryatka!... dalibóg, waryatka!... — wybuchał co chwila i podrzucał ramionami, ważąc się z nogi na nogę, jak mały kolosik rodyjski we fraku, z szapoklakiem pod pachą. — A cóż ty na to?...

— No, cóż ja?... cóż ja?... ja w pierwszej chwili... zgłupiałem formalnie!... — jękał się młody baron, czerwony, jak piwonia, zmieszany widocznie pod wrażeniem jakiegoś wielkiego zakłopotania, za-straszony wypadkiem, o którym właśnie opowiadał w największej tajemnicy przyjacielowi, którego z salonu aż na schody wyciągnął. — Z nią niema żartów... ona gotowa jeszcze jakie głupstwo zrobić!...

— Ale... — perswadował mu łysawy młodzieniec, oburzając się na samo przypuszczenie takiego „głup-

stwa“ — one wszystkie tak w pierwszej chwili. Mój Jędrku, nie trzeba brać tych rzeczy za garść!... powinieneś to traktować więcej po męsku, z zimną krwią. Przecież nie jesteś już dzieckiem.

Jędrus marszczył swoje niskie czoło i krzywił się; perswazyje nie trafiały mu jakoś do przekonania.

— To wszystko dobrze, ale wyobraź sobie, żeby się naprawdę otrula u mnie w pokoju, no?... co wtedy?... ciekawy jestem, co byś ty zrobił w takiej sytuacji?... — mówił, przechylając głowę na ramię — aha!... widzisz!... a ona z tem przyszła. Powiedziała mi wprost: „Ja stąd żywa nie wyjdę!... jestem skompromitowana — mówiła — życie sobie odbiorę!... ja stąd żywa nie wyjdę!...“ no?!...

— Ale wyszła?

— Wyszła, bo jej przyrzekłem, że się z nią jutro jeszcze zobaczę i ostatecznie... ostatecznie... czy ja wiem, co zrobię!... Dałem jej słowo... słowo honoru, że jej teraz nie opuszczę, no i... i co będzie?...

Targnął się za włosy z komiczną rozpaczą niezadowolonego chłopca, który zrobił coś złego i obawia się kary.

— Co ma być?... Przemówisz jej do rozumu, aby awantur nie robiła, a potem... no, potem coś się znajdzie... Przedewszystkiem, mój kochany, trzeba tę rzecz rozważyć, o ile to jest sprawa honorowa, bo honor, widzisz, względem kobiety nas, ludzi dobrze urodzonych, zawsze zobowiązuje w ta-

kich wypadkach! Powiedz-no mi, mój drogi, czy ona ma braci?...

— Ma.

— Hm... to się trochę komplikuje. Dorosłych?...

— Nie, chodzą do gimnazjum.

— Ach, tak!... to jeszcze studenterya? No, to głupstwo; nie mogą żądać satysfakcji... Ojciec, sa-fandula stary!... znam go przecież z banku; co ci zrobi?... przecież na pojedynek cię o córkę nie wy-zwie?... a choćby?... Ale nie, to się nie praktykuje w takich razach. Pozostaje matka, tak... matka to coś znaczy. Ta Draniecka ma fizyognomię, która znowu strasznych rzeczy nie zapowiada. Widziałem ją kiedyś w biurze u mego starego; powiadam ci, że robiła mu formalnie oko!... chciała wtedy pod-wyżki dla męża, czy urlopu, czy coś takiego. Nie, ta mama, widzisz, wygląda mi na taką, co potrafi być wyrozumiałą. Z nią będzie można pogadać ro-zumnie.

— Sądziysz?...

— O, z pewnością!... wierzaj mi, ja się znam na tem... Zresztą, czegoż może żądać od ciebie?... W najgorszym razie, będzie cię to kosztowało trochę...

Jędrus głową potrząsnął.

— To jej nie znasz?... ona się nigdy na to nie zgodzi!...

— Kto?... matka?

— Nie, ona... Klocia. Przecież mi wyraźnie po-

stawiała warunek, abym się o nią oświadczył!... aha!... a widzisz, to gruba sprawa. Matka wyjechała z tą młodszą na trzy dni do Płocka, ale wróci i wtedy...

— Cóż wtedy?... wtedy przecież tego głupstwa nie zrobisz, żebyś się na seryo oświadczył. Dajże pokój, waryacie!... mezalians!... z panną Draniecką-byś się żenił?... Ależ to niemożliwe! Jesteś człowiekiem honoru, więc zrobisz to, co w danych warunkach honor zrobić ci pozwala, ale aż do mezaliansu się posuwać?... nigdy!... przedewszystkiem ojciec ci nie pozwoli.

Wspomnienie o ojcu niemiłym dreszczem przejęło młodego barona; otrząsnął się, przełknął ślinę i odwrócił głowę, jeszcze bardziej zafrasowany.

— Dyabeł wiedział, że się to tak skończy!... — westchnął, jakby do siebie — pech!... istny pech, co?... nieprawda?...

Przyjaciół położył mu rękę na ramieniu i z miną mentora prawił:

— Bo ja ci tyle razy mówiłem, z pannami nie zaczynaj!... to ślizka historia, mój drogi. Teraz masz *casus paskudeus*, boś sobie nawarzył piwa najniepotrzebniej w świecie... Mnie się odrazu ten twój romansik z Draniecką nie podobał!... A zapierałeś się, a przysięgałeś, a to, a owo, miało być coś tylko *pour passer le temps*, tymczasem wlałeś po uszy i masz teraz!... Mówiłem ci: „Jędreku, daj pokój!... nie zawracaj jej głowy i nie łaż z nią po ślizgawkach, po Łazienkach, nie odprowadzaj do domu,

nie rób konkurenta!...” Ale nie chciałeś słuchać. Teraz masz!... ot!... wdepnąłeś!... jak cię kocham, wdepnąłeś!...

— A wdepnąłem!... — z cierpkim westchnieniem, jakby ubolewając nad sobą, z miną skruszonego grzesznika powtórzył — wdepnąłem!... Bój się Boga, Gajczycki, radź!... ja.. ja daję słowo, sam nie wiem, co ja jej jutro mam powiedzieć. Żeby to jeszcze z jaką inną, ale ona ma bzika, ona zaraz chce robić awantury. Masz na przykład dzisiaj trzy razy do mnie pisała i z pięć razy przysyłała po odpowiedź, aż nareszcie w nocy sama przyleciała. Całe szczęście, że matki niema w Warszawie, ojciec się położył, a ta rotundę na siebie, jakąś chustkę na głowę i wpada ci do mnie, jak waryatka!... „Ja stąd żywa nie wyjdę!...” No, coż ty na to?... Daję ci słowo honoru, że w pierwszej chwili myślałem, czyby sobie w łeb nie palnąć, ale potem się zastanowiłem, że toby był jeszcze większy skandal.

— Et, głupi jesteś! — przerwał Gajczycki — mój ojciec jest prezesem banku, ja jestem dobrym szlachcicem, mam lat dwadzieścia pięć i pochlebiam sobie, że należę do ludzi honoru, a gdyby mnie coś podobnego spotkało, to... to... to...

Nie mógł dojść do żadnej logicznej konkluzji po tym energicznym wstępie, więc urwał i, klepiąc przyjaciela po plecach, dla nadania mu otuchy, dodał:

— Fe! wstydz się!... mówisz, jak dzieciak, nie

www.libtool.com.cn
jak mężczyzna. Chodź do salonu, zapomnij o tem teraz, wyśpij się, a jutro przyjdę do ciebie rano na herbatę i obgadamy tę sprawę. No, trudno!... masz obowiązki, to prawda, ale znowu tak tego brać do serca nie można. Wypadki chodzą po ludziach... A ostatecznie, ona tu dużo winna; wiedziała przecież, co robi, nie?... przecież jej na pensyi nie poznałeś?.. Kto wie jeszcze, czy to wszystko nie jest tylko komedya, aby cię złapać?... Oho, mój kochany i to się praktykuje. Pannie podobaloby się zostać baronową, cóż ty myślisz!... przypuszcza, że na frajera trafiła.

Jędrusiowi to podejrzenie wydało się prawdopodobnem; uczepił się go, jak deski ratunku, przynajmniej na chwilę, był rad uwierzyć w nie sam, aby się uspokoić i równowagę odzyskać.

— A wiesz ty, że kto wie... może to i tak jest!... — szepnął z twarzą nagle rozjaśnioną.

— Ale daję ci słowo honoru, że to jest możliwe! — zapewniał go z emfazą Gajczycki — mnie samego omal tak raz nie złapali, tylko się wcześniej zmiarkowałem i nie dałem się wziąć... W tem sztuka, rozumiesz?... trzeba mieć nos, mój kochany i doświadczenie. Tyś jeszcze za młody na to i za łatwowierny. Biorą cię na stare sztuczki, ale się nie daj!... mówię ci... ja ci mówię, Gajczycki ci mówi: nie daj się!...

Ujął go pod ramię i prowadził ku drzwiom salonu, obstawionych zielonymi krzewami, wśród któ-

rych w mlecznych kloszach połyskiwały lampy na marmurowych słupkach.

— Tylko głowa do góry! — ostrzegał, zatrzymując się przy wejściu — nie dawaj poznać po sobie, żeś miał awanturę; przeczesz sobie włosy... Chodź, palniemy po kieliszku wina dla animuszu, to cię orzeźwi. Co tam!... głupstwo!... śmiej się z tego!...

Jędrusiowi mina zrzedła, nie mógł się przezwyciężyć, pomimo wszelkich wysiłków zapanowania nad sobą. Strapiony był i onieśmielony; nie miał wcale ochoty wracać do gości, a zwłaszcza spotkać się z ojcem.

Z salonu dochodziły go zgłuszone odgłosy chaotycznej rozmowy i oklasków, jakimi obsypywano właśnie piękne przedstawicielki żywych obrazów, odsłanianych w tej chwili przy dźwiękach fortepianu.

— Słuchaj, Gajczycki! — zwrócił się nagle do przyjaciela, zatrzymując go we drzwiach — ale mogę liczyć na ciebie?... będziesz milczał, jak mur, prawda?...

Prezesowicz cofnął się o krok, przybrał minę urażoną i z emfazą odrzekł:

— Ublizas mi, mój drogi!... albo się jest człowiekiem honorowym, albo się nim nie jest!... W takich sprawach nie zdradza się przyjaciela.

— Bo gdyby się to rozniosło...

— Po co się ma roznieść?... ze mnie sam dyabeł
słowa nie wydusi!

— No, pamiętaj!

Zarzucił mu ramiona na szyję i ucałował go gorąco na dowód zaufania i wdzięczności, jaką miał dla sprzymierzeńca, który posiadał jego tajemnicę i dodawał mu otuchy w najdrażliwszej sytuacji, w jakiej się od urodzenia znajdował.

VI.

Pan mecenas Topiel powrócił z Petersburga w doskonałym humorze; jeździł tam dla załatwienia kilku ważnych interesów, pomiędzy którymi znajdowała się i sprawa barona o uzyskanie koncesyi na duże akcyjne Towarzystwo eksploatacyi lasów, oraz założenia dużej fabryki wyrobów z drzewa.

Zachwiana chwilowo spółka z Kraenem, skutkiem nowych kombinacyi małżeńskich, dochodziła ponownie do skutku, tym razem oparta na trwalszych i pewniejszych podstawach.

Przemyślny i energiczny adwokat podjął się pośrednictwa zwerbowania kilku znaczniejszych kapitalistów nad Nową i znalezienia wpływowego poparcia dla przedsięwzięcia, z którego zastrzegł sobie jednak pewne zyski.

— Obejdziemy się, panie baronie, bez tutejszych kapitałów — zapewniał swojego klienta — tu niema ludzi inicjatywy i ryzyka. Sprowadzimy sobie forszę

skądinąd i postawimy na swoim. Będą może na nas powstawali, że korzystamy z obcych kapitałów, ale to trudno!... Niech krzyczą; wykrzyczą się i umilkną, a interes się zrobi. Zresztą, koncesya wydana została pod firmą: „Phalern, Kraene i Spółka“; spółka zaś pozostanie i tak bezimienną. Po wygraniu procesu, będzie można i tak odkupić niektóre udziały, jeżeli panu baronowi na tem zależeć będzie.

Baron uśmiechnął się lekceważąco.

— Kochany mecenasie, gdybym się chciał na sero rachować z naszą opinią, musiałbym chodzić bez butów — rzekł — i dzieci wyprowadzić na dziady. U nas wszystko muszą krytykować i we wszystkim znaleźć coś do nagany. Jesteś pan przecież świadkiem, że robiłem, co mogłem, aby konsorcjum złożyć na miejscu. Nie znaleźliśmy ani jednego ze swojskich kapitalistów, któryby zechciał swój fundusz zaangażować. Nasi panowie nie mają do mnie zaufania, bo nie jestem ani żydem, ani nie czapkuję nikomu, ani ludziom zamydlam oczy!... Pan mnie znasz!... walę prosto z mostu i narażam się na prawo i na lewo, rżnę prawdę, nie obwijając jej w bawełnę. To już moja natura, a to się nie wszystkim podoba... Ha, trudno! — westchnął z miną zrezygnowanego męczennika — nie zmienię się już na stare lata. Kładłem tym osłom łopatą do głowy, że interes jest świetny do zrobienia, szukałem wspólników i znalazłem kogo?... Niemca, który jeden mnie zrozumiał, bo swoi nie chcieli. Oni mnie prze-

cięż podejrzewają, że tu chodzi tylko o moją własną kieszeń. Zapewne!... trudno jednak, abym o sobie całkiem zapomniał, ale dla ogółu daję również korzyści, tworząc przedsiębiorstwo handlowo-przemysłowe na tak wielką skalę. Mam obowiązki, mam rodzinę, muszę myśleć o przyszłości, tego, co straciłem dla kraju, nikt mi już nie wróci, a choćbym się do ostatniej koszuli wyzuł ze wszystkiego, nikt tego nie uzna!...

Podał mecenasowi pudełko z cygarami, a sam zapalił papierosa.

— Ot, i teraz psy na mnie wieszają z powodu tego procesu, nazywają zdrajcą sprawy publicznej — mówił dalej z miną człowieka najniewinniej oskarżanego, — biorą mi za złe, że się upominam o swoje, a właściwie o własność mojej żony i moich dzieci. Zajechała im do głowy filantropia i dobro ogółu!... Łatwo im być dobroczyńcami ludzkości cudzym kosztem!... Że tam stara waryatka, podmówiona przez jakiegoś demagoga, czy może nawet komunistę, bo licho wie, czym ten Pniak wszystkim nie jest, chciała sobie po śmierci zrobić reklamę, marnując rodowy majątek, to ja z żoną i dziećmi mam za to pokutować, eicho siedzieć i rzec się swoich praw do spadku!?... Słyszane to rzeczy?... A pierwszy lepszy truteń społeczny, w imię opinii publicznej, uważa się w obowiązku wymyślać mi od szubrawców i wyzyskiwaczy. Ciekawy jestem, czy gdyby ten baron Phalern poszedł z torbami, ta

szanowna opinia w poczuciu obywatelskiem dałaby mi chociaż kawałek chleba, jako zbankrutowanemu szlachcicowi?... Odwróciłaby się z pewnością do mnie tyłem i pozwoliła mi z głodu zginąć na bruku.

Założył ręce na kolana i kiwał się na fotelu, monologując dalej w ten sposób.

Topiel pozwolił mu się wygadać dowoli; znał już na pamięć te wszystkie tyrady i utyskiwania na świat, ludzi, kraj, społeczeństwo, opinię, która nie była warta złamanego szeląga, bo się nie poznawała na obywatelskich uczuciach, poświęceniu, zdolnościach i charakterze takiego człowieka.

Nie zaprzeczał, nie potakiwał, palił swoje cygaro w milczeniu i przypatrywał się błękitnawym kółkom, które co chwila z ust wypuszczał.

Niekiedy tylko zmrużał jedno oko i skrzywiał usta ironicznym uśmiechem, gdy baron się odgrzązał, że sprzeda wszystko za psie pieniądze i wyniesie się zagranicę, bo ma dość już tego wszystkiego!...

— Nie warto tu nic robić!... ciemnota, barbarzyństwo, zawiść tylko, *homo homini lupus*... Spróbuję jeszcze ostatni raz, a potem poły ucinam i uciekam!..

W gruncie nie przyznawał się, o co mu szło tak bardzo, ale Topiel się domyślał, że nowym powodem tego rozgoryczenia i zniechęcenia była sprawa czysto osobistej ambicji pana barona.

Chodziło o kandydaturę na członka zarządu w Towarzystwie Melioracyi, z którego raz już, niby-to dobrowolnie, ustąpić musiał po awanturze ze starym

Orszą, który mu sobkostwo i interesowność publicznie, na zgromadzeniu przedwyborczem, w gronie obywatelstwa zarzucił.

Teraz, po kilku latach, przyszła mu znowu ochota zdobycia sobie zaszczytnego mandatu i stanowiska, ale przyszła w najniestosowniejszą chwilę, bo właśnie wtedy, gdy rozpoczynając proces o rodzinny spadek po Krokowskiej, bardziej niż kiedykolwiek podkopywał swoją popularność i naraził się tej samej opinii publicznej, od której wymagał dowodu zaufania i mandatu do przedstawicielstwa poważnej warstwy społecznej w instytucyi, popierającej najżywniejsze finansowe i ekonomiczne interesy kraju.

Pomimo najgorętszej agitacyi, z kandydaturą stało krucho.

Ponowny wybór jego był więcej, niż problematycznym, ale owe przewidywane trudności tembardziej drażniły jego ambicję i zarozumiałe dążenia zdobycia, na przekór swoim przeciwnikom, utraconej już raz pozycyi.

Pragnął za jakąkolwiek cenę postawić na swoim i wcisnąć się choćby przemocą tam właśnie, gdzie go sobie wcale widzieć nie życzano.

Na razie zajmowało go to więcej nawet od wszystkiego, niepokoiło, rozdrażniało, gryzło i podniecało gorączkowo.

— A jednak, ja im pokażę, że mnie muszą wybrać! — odgrażał się w rozmowach na cztery oczy z żoną, która spoglądała na niego zawsze z tą mie-

szaniną zachwytu, głębokiej wiary, adoracyi i za-
lęknienia.

Ona jedna ślepo ufała mu i przekonana była o szczerości jego frazesów, podziwiała jego energię, wierzyła w jego nadzwyczajne zdolności i uważała go za wzór człowieka publicznego; przebaczała mu jego opryskliwość, arbitralność, despotyzm domowy i rodzinny, pragnęła go widzieć na wybitnem stanowisku i otworzyć mu jak najszersze pole działania.

W zaślepieniu tem, w jakim na swoją rękę, poza plecami męża, próbowała pomagać jego interesom, było nieraz coś tragikomicznego, co rozbrajało litością albo śmiechem wobec wysiłków jej przekonania świata i ludzi, że się na nim nie poznają i opacznie słowa małżonka, jak i czyny jego tłómaczą.

Nauczyła się od niego skarżyć na losy, które ich prześladują, na fatalność, która najzaciewniej ich intencyom przeszkadza, na intrygi, które paraliżują działalność i dążenia ich do dobrego nie dla siebie, ale dla drugih — i wikłała się w sofizmatach, powtarzanych z kobiecą nielogicznością.

Do kółka najzaufańszych powierników należał i Topiel, z którym baronowa prowadziła konszachty po każdej wizycie jego u męża i czatowała na niego w przedpokoju, na schodach, nawet na ulicy, by przed nim wynurzać swoje troski i zasięgać rad rozmaitych, oraz informacyi.

— Pan mecenas jesteś naszym zbawicielem, na-

szym sternikiem, naszą opoką! — zapewniała go z egzaltacją, przesadzając w pochlebstwach, którym on wszelako niewiele dowierzał, a których zwykle słuchał z miną znudzoną i lekceważącą.

W dniu swojego powrotu z Petersburga, spotkał ją w bramie kamienicznej właśnie w chwili, gdy zajechał przed dom, by baronowi zdać sprawę ze swojej misji.

Zatrzymała go, przyparła do ściany i przez pół godziny opowiadała o nowem zmartwieniu, które ją gnębiło.

Chodziło tym razem o... Jędrusia, nie o męża.

— Ach, mecenasie, mecenasie! — biadała prawie ze łzami w głosie — coś jest, coś wisi w powietrzu!... Mam najgorsze przeczucia, mecenasie!... Od kilku tygodni nasz Jędrus chodzi, jak Piotrowin: schódł, położył, osowiał, zdenerwowany, zmieniony do niepoznania! Nie mogłam z niego nic wydobyć, ale serce matki mi powiada, że coś się stało!... Mój mąż zajęty swoimi kłopotami — ach! on, biedaczysko, ma ich zawsze tak dużo! — nie uważa tego, ale ja widzę, ja widzę... oko matki się nie myli. Radź, mecenasie, wybadaj Jędrusia, ratuj nam syna!...

Trzymała go za klapę paltota i po raz dziesiąty pytała:

— Mecenas nic nie słyszałeś na mieście?... nie nie wiesz?... nie tam nie mówią o Jędrusiu?... Może

się co stało, czego nam jeszcze nie donieśli, a czego on nie powie?...
www.libtzel.com.pl

Musiał jej przyrzec, że się będzie dowiadywał, badał, że porozmawia w zaufaniu z młodym baronem i że ją uwiadomi, jeśli cokolwiek usłyszy.

— Czy pan Andrzej dużą ma sumę do swojej dyspozycji? — spytał tylko z uśmiechem zagadkowym, niby od niechcienia.

Pytanie to zakłopotało ją trochę; w sprawach pieniężnych nie miała żadnego głosu w domu i za leżała, jak wszyscy, od męża, który trzymał kasę pod kluczem i o każdy grosz robił nieraz sceny brutalne.

— No, zawsze ma tyle, ile młodemu człowiekowi potrzeba — odrzekła wymijająco.

— W takim razie radzę zdublować pensję na miesięczne wydatki panu Andrzejowi, a jestem pewny, że mu to zaraz humor poprawi — powiedział niby żartem, żegnając się, jakby dalszej rozmowy unikał.

Radę tę rzucił nie bez pewnej podstawy, oddawna bowiem doszły do jego uszu wieści, że młody baron wdaje się z pokątnymi lichwiarzami i szuka pożyczki na weksle; zamierzał nawet o tem napomknąć zdaleka ojcu, aby się miał na baczności i przygotował na niespodziankę, jaką mu synalek gotów kiedy sprawić, zabrnawszy w długie nierozważnie.

Słuchając teraz właśnie szablonowych wynurzeń

barona, rozmyślał nad tem, jakby mu tę niemiłą wiadomość podać w najogledniejszej formie.

— Ale *à propos*, panie baronie — odezwał się nagle, przerywając jakiś długi i napuszony frazes swojego klienta — chciałem już kilka razy w pewnej drażliwej kwestyi spytać pana barona, czy... (z góry przepraszam jednak, jeżeli się wtrącam w nie swoje rzeczy!) — czy pan Andrzej nie skarży się na brak... apanażów?... Młody człowiek, na jego stanowisku, miewa potrzeby, które rosną z wiekiem... dlatego...

Baron głowę podniósł; uderzyło go to obcesowe zapytanie.

— Skąd panu ta kwestya na myśl przyszła? — spytał z zajęciem.

— Z bardzo prostej przyczyny; zdawało mi się, że syn pański od pewnego czasu jest w kłopotach pieniężnych.

— Jędrus?... coś znowu!... jakież on może mieć wydatki?... Utrzymanie, mieszkanie, wygody wszelkie ma w domu. Rachunki jego sam płacę, a na drobne wydatki dostaję co miesiąc...

Zmarszczył brwi i podejrzliwem okiem spojrzał na swego adwokata.

— Czyżby... ośmielił się robić już długi? — zagadnął go nagle z surowym marssem na czole.

Topiel gładził swą czarną, okrągłą brodę i uśmiechał się chytrze, zapatrzony niby w kryształowy przycisk na biurku.

— No, wielkiej śmiałości na to nie potrzeba — odparł wymijająco — młodzi ludzie nie liczą się z groszem.

— Jak jacy! — wtrącił baron. — Mój syn do nich nie może należeć. Dałbym ja mu pożyczać, może jeszcze na weksle?!... Tegoby tylko brakowało!... Nie, mecenasie, to niepodobna! Moje dzieci chowane są w takim rygorze, że żadne nie ośmieliłoby się zbłądzić w ten sposób... Ja przestrzegałem tradycyi wzorowego wychowania w mojej rodzinie... Nie, nie, to być nie może!

Zaprzeczał wprawdzie, ale był zaniepokojony; przybierał minę ojca, odpowiedzialnego za postęпки swoich dzieci, lecz w głębi duszy czuł niepewność.

Przyszła mu na myśl starsza córka, której postępowanie zaprzeczało wzorowej tradycyi wychowania.

— Dobrze jednak, żeś mi pan zwrócił na to uwagę — rzekł — muszę być ostrożnym na przyszłość.

— Radziłbym! — krótko, ale znacząco odezwał się adwokat.

Ten jeden wyraz dał baronowi znowu do myślenia.

— Mówisz mecenas to jakoś tak, jak gdybyś coś więcej wiedział!... Proszę bardzo, jeżeli pan Andrzej zrobił jakie... głupstwo, nie ukrywaj tego!... Bardzo pana proszę — nalegał już coraz goręcej — jako ojciec, mam obowiązek wiedzieć o tem. Oddasz

mi pan tem prawdziwą przysługę... No! co pan słyszałeś, mecenasie?...

Nachylił się przez biórko i czekał odpowiedzi.

— Pożyczył co?... od kogo?... ile?...

Topiel odetchnął głęboko i po chwili namysłu, rzekł:

— Czy pożyczył i ile, nie wiem, ale słyszałem, że pożyczki szukał.

— U lichwiarzy?...

— Niestety!

Baron się rzucił na fotelu.

— Smarkacz! — wyrwało mu się przez zaciśnięte zęby.

— No, ale mu chyba nie dali?... — spytał znowu po chwili rozdrażniony.

— Nie wiem, nic nie wiem, panie baronie; jeżeli jednak panu baronowi na tem zależy, mogę się dowiedzieć. W każdym razie, mówię to tylko w zaufaniu i spodziewam się, że mi pan baron za złe tego nie weźmie.

— Przeciwnie, bardzo panu dziękuję i bardzo wdzięczny będę za dokładniejsze informacje.

Wyciągnął do niego rękę, a jednocześnie nacisnął guzik od dzwonka.

Za chwilę stanął we drzwiach służący.

— Poprosić do mnie pana Andrzeja! — rzucił rozkazująco lokajowi.

Topiel podniósł się z miejsca.

— Ależ, panie baronie... przecież nie w mojej

obecności!... Nie chciałbym, aby z tego powstała jaka przykreść... Nie jeszcze niema pewnego; dziś, przed wieczorem, będziemy mieli dokładniejsze szczegóły, a wtedy dopiero będzie można w tej sprawie coś postanowić.

Baron podniósł się również z fotelu.

— Bądź pan spokojny — rzekł — dyskretya dyskretya, a obowiązek obowiązkiem. Jako ojciec, wiem, co mi uczynić wypada. Zanim pan się dowiesz prawdy, mój syn musi mi sam wyznać wszystko... Moje dzieci od małości są tak chowane, że nie mają przede mną żadnych tajemnic. Miłość i zaufanie powinny być podstawą stosunków rodzinnych! — wygłosił sentencyjonalnie. — Żałuję, że pana nie mogę przekonać o tem, ale za chwilę będę wiedział o wszystkim... i to z ust mojego syna. Musi mi sam wyśpiewać wszystko, a jeśli rzeczywiście co zbroił, otrzyma naukę i przestrożę na przyszłość i ręczę, że się to więcej nie powtórzy. W każdym razie, mój mecenasie, dziękuję panu raz jeszcze... serdecznie dziękuję!...

Topiel pożegnał się, przepraszając ponownie za niedyskretną uwagę, która „oby tylko nie pociągnęła za sobą konsekwencji zbyt drażliwych“ — mówił na odchodnem.

Wysunął się z gabinetu barona co prędzej, aby nie spotkać się z Jędrusiem, który, na wezwanie ojca, miał się stawić lada chwila.

Młody baron szedł, jak na ścieżce, przeczuwając

burzę; wisiała nad nim katastrofa oddawna, którą los z dnia na dzień przewlekał, ale która ostatecznie musiała prędzej czy później wybuchnąć.

Stosunek jego z Draniecką, w którym według wyrażenia jedyne go powiernika i doradcy, Gajczyckiego, „zadaleko oboje się zagalopowali“, nie mógł pozostać długo tajemnicą.

Jędrusiowi przychodziły już najrozpaczliwsze myśli do głowy; chodził zmieniony, rozdrażniony, niezadowolony, nie mogąc sobie miejsca znaleźć ani w domu, gdzie się obawiał śledczych spojrzeń ojca i matki, ani poza domem, gdzie czatowała na niego Klocia, domagając się, aby spełnił względem niej obowiązek honoru i uczciwości, oświadczył się o jej rękę, lub cośkolwiekby postanowił.

Z początku godził się na wszystko, potem wymawiał, kręcił, usprawiedliwiał, wreszcie uciekał przed nią, wymykał się, aby tylko sam na sam w cztery oczy jej nie spotykać; ona zaś zasypywała go listami i nagliła nieustannie, zaklinała, błagała, groziła i domagała się jakiegokolwiek, byle stanowczej decyzji z jego strony.

Chciała ostatecznie uciekać z nim zagranicę, albo popełnić samobójstwo we dwoje, albo przyznać się rodzicom do swego błędu i oddać się na łaskę i niełaskę ojca — ale wtedy...

Dalsze następstwa tego kroku zaznaczała domysłnikami, które Jędrusia przerażały jeszcze bardziej od wszelkich innych ewentualności.

Mściła się nad nim młodzieńcza lekkomyślność w sposób okrutny i zatruchiła mu teraz każdą chwilę.

Tracił głowę wobec tak poważnej sytuacji, w którą się zaplątał, a za którą nie umiał przyjąć całkowitej odpowiedzialności i chwiał się nieustannie pomiędzy obowiązkiem nieokreślonego honoru, a obawą jakiegoś stanowczego kroku.

Dreszcze go przenikały za każdym razem, kiedy go ojciec zagadnął — i płochliwe, wystraszone spojrzenia rzucał na niego przy spotkaniu, aby się przekonać, czy „stary“ wie już o czem, czy dotąd nie odkrył jeszcze tajemnicy synalka?

Gdy mu służący przyniósł wezwanie ojca, nogi się pod nim zachwiały.

Przypomniawszy sobie, na szczęście, słowa Gajcyckiego, który mu dodawał otuchy, powtarzając ze swoją rezonerską swadą:

— Nie bądź głupi, mój kochany!... Czego się masz obawiać?... Ostatecznie, albo się jest mężczyzną, albo się nim nie jest!... Cóż ci może twój stary zrobić?... przecie cię nie zje, ani w skórę ci nie da. To trudno, tak czy owak, dowiedzieć się raz musi, a chyba ma tyle rozumu, aby takie rzeczy traktował, jak należy. Nie myśl, że to się tobie jednemu przydarzyło; każdy młody człowiek przechodzi podobne awanturki. No, uszy do góry!... nie bądź niuńką!... przestań być smarkaczem i... ostatecznie,

albo się ma odwagę swoich przekonań, albo się jej nie ma!...

— No, to się rozumie! — odpowiadał mu wówczas, nadrabiając miną i poczuwając się nieszczerze do większej ambicyi, niż ją posiadał — albo się ma, albo się niema! — powtarzał machinalnie — to się rozumie!... Ale bo widzisz, z papą to nie tak łatwo... on... on... on ma trochę krańcowe w tym względzie pojęcia i...

— Głowy ci przecie nie urwie! — konkludował zniecierpliwiony Gajczycki.

— Głowy mi przecie nie urwie! — mówił też sobie w tej chwili Jędrus, wezwany nagle do gabinetu ojca i zebrawszy całą przytomność umysłu, z jakąś teatralną miną bohatera, przygotowanego na wszystko, powstał z miejsca.

Nogi mu jednak drżały i ugiwały się w kolanach, gdy przechodził przez długi szereg pokoi rodzicielskiego apartamentu.

Baron przyjął syna z miną poważną, zachmurzoną, niemal srogą; w milczeniu wytrzymał go długą chwilę, potem wstał, poszedł ku drzwiom i zamknął je na klucz.

— Siadaj! — rzekł krótko, rozkazująco, zajmując swoje miejsce za biurkiem.

Jędrus machinalnie spełnił rozkaz.

Ojciec zdawał się namyślać, od czego zacząć; wysunął szufladę, w której stało pudełko z papierosami i wpatrywał się w nią.

Jędrusiowi pociemniało w oczach; obok pudełka błysnęła lufa rewolwerowa.

Przez chwilę przemknęła mu straszna myśl przez głowę: czy to wszystko nie jest wstępem do jakiejś tragicznej egzekucyi?... — ale baron sięgnął powoli ręką do szuflady i mierząc syna groźnem spojrzeniem, wyjął tylko papierosa, zapalił, zaciągnął się dymem i milczał w dalszym ciągu, szuflady jednak nie zamykał.

Milczenie to działało przygnębiająco na młodego człowieka; męszął się i zagryzał usta, czekając, jak winowajca, rozpoczęcia indagacyi.

— No, mój paniczku — przemówił wreszcie baron — ładnych historii nadowiadywałem się o tobie!...

Jędrusiowi gardło się zesnurowało tak, że głosu nie byłby mógł wydobyć.

— Myślałeś, że to się ukryje?... — ciągnął dalej ojciec — że za mojami plecami będziesz broił, broił, a ja będę ślepy i głuchy?... Przerachowałeś się jednak!... wiem wszystko.

Z zaciśniętych ust młodego barona wymknęło się niezręczne słówko:

— Już?!...

Struchlał i dech zaparł w sobie, nie spostrzegłszy się, że w tych trzech literach przyznał się z góry do wszystkiego, co ojciec wiedział i czego dotąd nie wiedział jeszcze.

To „już“ zgubiło go bez ratunku i zawikłało

www.ibtpool.com.cn
w sieć, w którą się sam złowił, poczuwając do winy; baronowi też wystarczyło ono zupełnie do zorientowania się w sytuacji.

— A więc coś zrobił rzeczywiście! — pomyślał. — Topiel miał zatem dobre informacje.

Nie przypuszczał jednak, jak wielkie zachodzi między nim a synem nieporozumienie i do czego go w końcu doprowadzi to śledztwo, rozpoczęte na zasadzie jedynie głuchej pogłoski o długach, zaciąganych jakoby u lichwiarzy przez marnotrawnego syna.

— A już! — odezwał się szorstko i groźnie, z miną, która zapowiadała wyrok surowego potępienia.

Chwilę milczał znowu, potem ściągając brwi i topiąc w Jędrusiu spojrzenia, jak dwa stalowe ostrza, spytał:

— I cóżes ty sobie myślał, łotrze jakiś, że takie rzeczy ukryją się przedemną?... co?...

Jędrus siedział z duszą na ramieniu, zgnębiony i zawstydzony, jak student wobec profesora, któremu grozi wydalenie ze szkoły; nie miał w tej chwili wcale miny romantycznego bohatera, czerwienił się i zagryzał tylko usta, nie odpowiadając ani słowa.

— Wydały się twoje sprawki, paniczu! — mówił dalej baron — nie jesteś godzien nosić mego nazwiska!... hańbisz nasz ród i to w takiej chwili, w której rozstrzyga się los twojej siostry. Czy ty wiesz, że małżeństwo Niny z Kraenem mogłoby się

rozchwiać, gdyby ta rzecz stała się głośną?... Kompromitujesz nas swoim postępowaniem!... Wychowałem sobie darmożjadę, z którego żadnej nie mam pociechy, a teraz jeszcze taki skandal mi robisz!... Wstyd! hańba!... żebym ja się dopiero od obcych ludzi musiał dowiadywać! Już cię wzięli na języki, znają cię już. Jutro całe miasto o tobie mówić będzie!...

— Ja przecież, proszę papy, nikomu... ja nikomu... nie opowiadałem o niczem... — próbował się usprawiedliwiać — to już jeżeli kto, to chyba ona sama...

— Co za ona?... jaka ona?... — przerwał mu baron, nie rozumiejąc o kim mówi.

— No, ona... ta... Klocia.

— Co za Klocia?...

— Przecież ona ma imię Klotylda — objaśnił go naiwnie syn w przypuszczeniu, że ojciec uwiadomiony jest o całym jego stosunku z Draniecką.

Baron oczy wytrzeszczył; zmiarkował, że natrafia na ślad jakiejś tajemnicy, którą mu przypadek niespodzianie odsłaniał, ale w porę się połapał, że jeśli zręcznym fortem nitki tej nie uchwyci, to do kłębka nie tak łatwo dojdzie.

— A dlaczegożby ona sama to opowiadać miała? — spytał znowu badawczo, udając, że rozumie, o co chodzi.

— No, ja nie wiem, ja tylko tak przypuszczam, bo to waryatka... Ona mi przecież ciągle groziła,

że się przyzna ojeu i matce, bo dłużej nie wytrzyma... Może i powiedziała, i chyba Dranieccy sami się wygadali, ale ja, jak papę szanuję, słowa jednego nie pisałem.

Odpowiedzi syna zaintrygowały jeszcze bardziej barona.

Co tu mieli Dranieccy wspólnego ze sprawą zaciąganych długów?... co znaczyła Klocia w tem wszystkim?... dlaczego te pogrożki?...

Postanowił jednak nie zdradzić się przed czasem ze swoją nieświadomością i skorzystać z sytuacji wybadania syna.

— Ty bywasz u Dranieckich? — zagadnął go z nienacka.

— Byłem wszystkiego parę razy, choć mnie ciągnęli, bo daję papie słowo honoru, że w tej całej sprawie, to co do mnie... Ja papie wszystko to opowiem szczegółowo od samego początku, bo skoro już tak się źle stało, to przynajmniej niech papa wie całą prawdę... Ja... ja nie przeczę, że byłem nierozważny, ale to się młodym ludziom przecież zdarza, ale czy ja wiedziałem, że to aż tak daleko zajdzie?... Zresztą, daję papie najświętsze słowo honoru, że ona więcej za mną latała, niżeli ja za nią. Ja mam wszystkie jej listy... ja papie je pokażę... papa osądzi, kto tu więcej winien... Z początku to ja myślałem, jak to zwykle, że to ot, będzie sobie coś takiego *pour passer le temps*, dla zabawki, ale potem, jak się zmiarkowałem, i Gajczycki mnie za-

czął ~~przestrzegać~~ „Jędrus, daj pokój, z pannami nie zaczynaj!...” no i tam dalej, to chciałem zerwać, ale mi spokoju nie dawała, pisała list za listem, czatowała na mnie na ulicy i... i cóż ja miałem zrobić?... Mnie jej potem i żal było, i trochę wstyd, bo przecież Gajczycki mi mówił, że jako człowiek honoru... a znowu przecież, żeby aż do megaliansu, to niech Bóg broni!... Tymczasem wszystko się tak jakoś zrobiło, że teraz już za późno, i czy ja wiem, co będzie!...

Mówił to, jękając się, z przymusem, niejasno, przerywając zdania i wikłając się w tem naiwnem wyznaniu, z którego ojciec jednak domyślić się już mógł najgłówniejszej rzeczy, chociaż uwierzyć jej jeszcze nie chciał.

Gniew go unosił, wpadał w pasyę na samo przypuszczenie, że domysły jego mogłyby się okazać faktyczną prawdą; zaciskał zęby i hamując jeszcze wybuch wściekłości i oburzenia, naglił syna słowami:

— No, i co dalej?... co dalej?... a co potem?...

Jędrus, jak na spowiedzi, przyznawał się do wszystkiego, robiąc jedynie zastrzeżenia co do swej winy, którą w większej części próbował zwać na współniczkę tej „awantury”.

Świadczył się raz po raz przyjacielem Gajczyckim, powtarzał słowo honoru, że tego stosunku nie chciał doprowadzić aż tak daleko, ale że „wpadł”

i teraz jest związany następstwami, wobec których etc., etc.

Baron miał dość tego; wiedział już wszystko i nie rozbrajała go wcale skruszona mina syna, ani szczerość jego wyznania, ani żadne względy; czuł tylko, że spadła na niego niespodzianka, jakiej nigdy nie mógł nawet przypuszczać i że ma przed sobą winowajcę, który na najśroźszy gniew jego zasłużył.

Nie oburzało się w nim jednak uczucie ojcowskie wobec błędu syna, ale samolubstwo człowieka, którego lekkomyślność i nierozwaga młodzieńcza narażała na kłopotliwą, a w swych dalszych następstwach nieobliczoną kolizję.

Zabrakło mu wyrozumiałej cierpliwości ojca w takiej chwili i rozsądnego panowania nad sobą, aby naprawić złe, które syn spełnił; dał się unieść gniewowi i w napadzie szalonej pasji, sięgnął szybko, machinalnie ręką po rewolwer w otwartej szufladzie, skierował go przeciw Jędrusiowi i pociągnął za cyngiel.

W pokoju rozległ się huk wystrzału...

Broń, wymierzona w pierś syna, chybiła jednak; kula musnęła tylko rękaw i utkwiała w skórzanej poduszce kanapy, stojącej pod ścianą.

Huk rewolweru oprzytomnił barona; zmieszał się, pochylił naprzód, ale zobaczywszy syna z otwartymi oczyma, siedzącego zawsze w tem samym miejscu, oniemiałego z przerażenia i bladego, jak chusta — uspokoił się.

Tak mało brakowało, a byłby spełnił morderstwo w uniesieniu.

Złość jednak nie opuściła go całkowicie; wrzucił rewolwer z trzaskiem napowrót do szuflady i posiniały z gniewu, szepnął przez zęby:

— Masz szczęście, żem cię nie trafił!... Precz mi z oczu!...

Jędrus nie miał jednak siły powstać z krzesła; zdawało się, jakby ośłupiał i stracił wszelką władzę.

Ogłuszony, nieprzytomny, siedział w jednej i tej samej pozycji, wpatrując się w ojca z wyrazem zdziwienia i przestachu zarazem, jak gdyby nie mógł pojąć dobrze, co się to stało w tej krótkiej, błyskawicznej chwili, której omal życiem nie przypłacił.

Myśli mu się rozpierzeły od tego wystrzału, jak stado wróbli; napróżno się silił je zebrać.

Dopiero w jakiś czas zrozumiał całą grozę swojego położenia i pojął niebezpieczeństwo, które mu zagrażało.

Otworzył usta, automatycznie złożył ręce na pierśsiach i głosem drżącym, pustym, zmienionym, rzekł tonem żalosego wyrzutu:

— Ależ papa byłby mnie zabił na śmierć!...

Baron usta zaciął i odwrócił się od niego ku oknu, które otworzył z impetem.

W powietrzu czuć było zapach prochu i spalenizny.

Powiew świeżego powietrza ochłodził mu twarz posiniąłą z wielkiego wzburzenia.

W tej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi i niespokojny głos baronowej:

— Toniu!... na miłość Boską!... co się tam stało?... czy się co przewróciło w twoim pokoju?... Słyszysz?...

Baron zrobił ruch zniecierpliwienia i spojrzał ku drzwiom niechętnie.

— Czego tam? — krzyknął szorstko. — Nie przeszkadzać mi teraz!...

Głos baronowej za progiem spokorniał odrazu i uciekł zupełnie po słowach:

— Przepraszam cię, bo myślałam...

Jędrus, odzyskawszy wreszcie równowagę i poczuwszy w osobie matki pomoc za ścianą, podniósł się z krzesła i chciał, korzystając z chwili, wymknąć się coprędzej z niebezpiecznego sam na sam, ale ojciec w miejscu go przygwoździł gromkiem:

— Zostań!...

Rozmyślił się, że po tem, co między nimi zaszło, nie może rozstać się z synem, nie zatarłszy jakkolwiek tego wrażenia, iż godził na jego życie w uniesieniu i tylko przypadkowi zawdzięczał, że nie popełnił morderstwa; w porywce, brutalnej swojej naturze, nie umiał się nigdy powstrzymać w porę od wybuchu gniewu i namiętności, a zanadto przy-

wykł do roli rodzinnego satrapy, aby się potrzebował kępować w czemkolwiek.

Tym razem jednak czuł, że się zadaleko posunął, ale zamiast sobie zrobić wyrzut z tego, tem głębszej urazy nabrał do syna, który w jego przekonaniu był główną przyczyną tej gwałtownej sceny.

Czyż nie doprowadził go do wściekłości, nie wywołał jego uniesienia, nie wyprowadził go z równowagi?... jak on śmiał narazić siebie i ojca na coś podobnego?... jak mógł być tak lekkomyślny, tak nieostrożny, tak głupi wreszcie, aby romansować z jakąś tam Draniecką i wikłać się w stosunek, który za sobą tyle odpowiedzialności pociągał?... Cóż to? zapomniał, kim jest, jak się nazywa, na co go ojciec wychował i co mu przeznaczał w przyszłości?... Wolnoż mu było dysponować w ten sposób sobą, swoją przyszłością, swoim honorem, alboż nie wiedział, że we właściwej chwili ojciec upatrzy mu sam stosowną partyę i ożeni go odpowiednio do jego stanowiska, tytułu, kombinacyj majątkowych; zwłaszcza tych ostatnich nie powinien był nigdy lekceważyć!

A teraz co?... teraz „wlaź w kaszę“, zawikłał się w awanturę, zagrzał po uszy i pokrzyżował ojcu wszystkie plany.

Widziane to rzeczy, aby syn barona Phalerna, dla głupiej jakiejś miłości z panną bardzo podejrzaną wartości, zmuszony był popełniać mezalians

i żenić się z jakąś tam Draniecką, córką bankowego urzędnicy!...

Smarkacz!... młokos!... osioł skończony!... będzie tu jeszcze ze swoim honorem wyjeżdżał i plótł kosszałki opalki o zobowiązaniach, które zaciągnął!...

Kto mu pozwolił zobowiązywać się?... nie miał żadnego prawa do tego poza plecami ojca.

Wielka rzecz, że jest pełnoletnim!... to samo tanta waryatka, jego siostra twierdziła, gdy tak skandalicznie zerwała z Kraenem, ale niech sobie nie wyobrażają, że ojciec się złąknie tej ich pełnoletności.

W rodzinie Phalernów dzieci nie bywają pełnoletnie, dopóki się ojcu podoba — i basta!...

Takie myśli burzyły się i przesuwwały w głowie barona, gdy odwrócony do okna, zastanawiał się, co teraz począć należy i jak ma postąpić z synem-winowajcą?

Sprawa wymagała rozwagi, zimnej krwi i stanowczości.

Głowę zwiesił, ponuro oczy zmrużył i ogryzając paznogieć u wielkiego palca, z wyrazem chmurnego zamyślenia patrzył przez okno otwarte, nie obeszawszy się ani razu poza siebie na syna, który stał na środku pokoju, w tem samym jeszcze miejscu, w którym go ojcowskie „zostań!“ zaskoczyło.

Jędrus powoli otrząsał się z oszołomienia i z jakąś bezmyślną rezygnacją w twarzy, poddając się losowi, czekał przybity i zalekniony; nie mógł się połapać w sytuacji — z głową trochę na bok prze-

chyloną, stał i z pod oka przyglądał się rękawowi nowego żakietu, który kula na ramieniu drasnęła i lekko rozdarła.

W tej chwili więcej zdawało się go obchodzić nadwężenie nowego garnituru, aniżeli groza położenia, w którym dziesięć minut temu się znajdował.

Ostatecznie, największe niebezpieczeństwo dla niego już minęło; stało się to, czego najbardziej się obawiał: ojciec dowiedział się o wszystkim i pierwsza burza wyładowała się nad jego głową, jak dotąd, bez groźniejszych skutków, niż przypuszczał.

Teraz, przynajmniej chwilowo, wydawała mu się reszta następstw już obojętną.

Co będzie, to będzie, niech dalej rozstrzyga los i wola ojca, uwiadomionego o wszystkim.

Głowy mu z karku już nie urwą, jak powiedział przyjaciel Gajczycki.

Uczuł nawet jakby ulgę w poprzednim utrapieniu, odkąd swą tajemnicę mimowiednie sam zdradził przed ojcem; otrząsnął się z najprzykrzejszego uczucia bezradności, które go najwięcej gnębiło, i z tym fatalizmem słabych charakterów i płytkich umysłów poddawał się biernie sytuacji, nie trudząc głowy nad tem, co się dalej stanie.

Teraz za niego decydować miał ojciec i szukać wyjścia z tej zagmatwanej historii; uspokoił się, poczuwszy za sobą plecy, i jakby odrazu, opuściły go wszystkie wyrzuty, wszelkie kwestye honoru i odpowiedzialności względem Kłoci Dranieckiej.

Lżej mu było, jak po wyrwaniu bolącego zęba. Baron natomiast pochylał głowę coraz niżej, grzbiet zginał coraz więcej i nerwowym ruchem skubał brodę coraz szybciej; rozważywszy wszystko, uznał jedyne wyjście za najpraktyczniejsze: zerwać szybko, odrazu, radykalnie, nie wchodzić w żadne względy, syna usunąć na pewien czas z widowni, a siebie wyłączyć zupełnie z tej sprawy.

Dranieccy niech sobie robią z córką, co im się podoba — to ich rzecz; czemu dziewczyny lepiej nie pilnowali?...

W jednej chwili był zdecydowany.

— Ile masz długów? — zagadnął nagle syna, nie odwracając się do niego.

Jędrus drgnął i poczerwieniał; nie spodziewał się wcale tego zapytania.

— Ile masz długów, słyszysz?... — powtórzył ojciec, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

— Nie mam żadnych długów — wybąknął wreszcie.

— Kłamiesz! pocóżś się zadawał z lichwiarzami?... mów prawdę!... Znam wszystkie twoje sprawki!... Ile jesteś winien i komu?...

— Kiedy daję papie słowo honoru, że nie jestem winien nic, oprócz krawcowi.

— Chciałeś przecież pożyczyć na weksel?...

— No tak, ale... ale mi nie dali.

— Dlaczego?...

— Bo... żądali koniecznie podpisu... papy.

— To znaczy, żebyś mnie w tem wyręczył, prawda?... Łotrze jakiś!... widzisz, byłbyś został fałszerzem jeszcze w dodatku do tego wszystkiego!...

— Papa mi ubliża!... co innego tamto, a co innego...

— Milczeć!... nie rezonować! — przerwał mu surowo ojciec.

Włożył obie ręce w kieszenie od marynarki i odwrócił się wreszcie od okna.

— Teraz słuchać, co powiem i zastosować się do tego bezwzględnie! — rzekł szybko i stanowczo. — Zasłużyłeś na to, żebym cię z domu wypędził i wyparł się raz na zawsze; ale lituję się nie nad tobą, tylko nad twoją głupotą i dla honoru naszego nazwiska i rodu chcę ten raz wyjątkowo puścić ci to płazem. Nie chcę wiedzieć o niczem — rozumiesz?... o niczem!... Nic nie wiem, niczego nie słyszałem, w nic a nie nie wchodzę. Proszę sobie z głowy wybić wszystkie romanse; zerwać mi natychmiast wszelkie stosunki, wszelką korespondencję, zapomnieć o tem, że znałeś kiedykolwiek jakich Dranieckich. Żądam tego koniecznie, rozumiesz?... Co między wami było, to mnie nie nie obchodzi; jako ojcu, nie wolno mi wiedzieć o tem, nie wolno nawet uwierzyć, że coś było. Tamta hołota może mieć sobie pretensję do Pana Boga, ale nie do mnie; ja ręce umyвам od wszystkiego!... nie myślę odstępować od moich zasad, które mi każą bronić mego rodzinnego honoru i nie pozwalać na mezalians je-

dynego syna, choć ten syn ośmielił się zapomnieć, kim jest i czyje nazwisko nosi!... Zresztą, mam za dużo na głowie kłopotów i spraw poważniejszych, abym się jeszcze takimi rzeczami zajmował. Nie chcę nawet, żebyś mi swoim widokiem przypominał cośkolwiek, dlatego każesz sobie dziś jeszcze spać, a jutro wyjedziesz, dokąd ci się podoba, na rok, na dwa, na dziesięć, tylko mi zejdź z oczu!... Ani słowa przed nikim! Z matką ja się sam rozmówię, a wobec wszystkich — proszę trzymać gębę na kłódkę zamkniętą. O tem, co tu między nami zaszło, ani słowa!... pamiętaj, bo w łeb strzelę, a drugi raz lepiej wymierzę!

Podniósł palec do góry i pogroził.

Jędrus stał osłupiały, słuchał tej przemowy z zamyśleniem w piersiach oddechem i rozumiał tylko tyle z całej argumentacji ojca, że ma jak najrychlej opuścić Warszawę.

Ten wyrok banicy nie wydał mu się wcale okrutnym.

Przeciwnie, dogadzał nawet jego poprzednim zamiarom „zgubienia się“ na jakiś czas z miasta i wyrwania z tak przykrej i kłopotliwej sytuacji; tylko wówczas nazywałoby się to haniebną ucieczką, a teraz aktem synowskiego posłuszeństwa względem ojca, który w ten sposób „ratował honor rodzowego nazwiska“ i zacierał plamę, niebacznie przez jedynaka zrobioną.

— Pojadę zagranicę! — myślał przez cały czas

ojcowskiej perory, uradowany w głębi duszy Jędrus, ale w fizyognomii zachował wyraz skruszonej pokory i uległości wobec rodzicielskiej władzy, której przywykł od dzieciństwa poddawać się z bezmyślną biernością automatu.

Baron tonem oburzenia moralizował go jeszcze czas jakiś, nie przebierając w epitetach, w końcu zakomenderował krótko:

— Teraz iść się pakować!... Jutro rano przyjść po pieniądze i precz mi z oczu!

Syn nieśmiało chciał go w ramię pocałować, ale baron usunął się szybko i powstrzymał ten objaw czułości słowami:

— Zdaleka!... proszę nie myśleć, że rachunki między nami skończone!... to tylko tymczasowo — my się jeszcze rozmówimy kiedyindziej na cztery oczy!...

I z tą pogrózką wypuścił go od siebie, nie znalazłszy ani jednego słowa prawdziwie ojcowskiej i moralnej nagany za postępek, w słowniku wszystkich ludzi uczciwych nazywany podłością...

Nazajutrz młodego pana barona nie było już w Warszawie; wyjechał tak szybko, że nawet z Gajczyckim nie zdążył pożegnać się osobiście.

Topiel, dotrzymując słowa, nadesłał po zasięgnięciu wiadomości zapewnienie, iż u żadnego ze znanych lichwiarzy, kręcących się pomiędzy złotą młodzieżą, nie dało się wytropić ani jednego jeszcze weksłu z podpisem Jędrusia; ale kilku z nich po-

twierdziło pogłoskę o prowadzonych z nimi układach w celu zaciągnięcia pożyczki.

Baron podał list usłużnego adwokata i rzucił go do kosza.

Odkrycie zrobione o długu innej natury przez lekkomyślnego syna, miało go kosztować więcej, niż wykupiony weksel z najbardziej lichwiarskim procentem.

— Jeżeli ci Dranieccy mają rozum — powiedział sobie — to będą się starali sami zatuszować tę całą sprawę. U mnie niczego nie wskórają, a córki nie zechcą chyba kompromitować.

Przestał się też wkrótce zastanawiać nad tą kwestyą, bo uwagę jego zajęła teraz nowina, którą niespodzianie przyniosły „Wiadomości brukowe“ na trzeci dzień po wyjeździe Jędrusia.

Poranny numer tego pisma wydrukował ustęp z korespondencji, „nadesłanej“ rzekomo przez osobę wiarogodną, który brzmiał następująco:

„W okolicy naszej nader przykre wrażenie sprawiła wieść o stanie zdrowia p. Janusza Krokowskiego, męża ś. p. Balbiny Krokowskiej, *primo voto* Omylińskiej, dożywotnika znanej fundacyi, zamieszkałego w rodzinnym niegdyś majątku Omylińskich, o który właśnie toczy się proces, zajmujący tak żywo interesowaną w tym względzie opinię publiczną.

„Według krążących pogłosek, choroba pana K. jakkolwiek nie zagraża bezpośrednio jego życiu, spowodować jednak może konieczność usunięcia się

chorego od wszelkich zajęć, a zatem od zawiadywania spadkiem nieboszczki, którego losy wprawdzie dotąd nie zostały ostatecznie rozstrzygnięte, ale który na wszelki wypadek w osobie człowieka nieposzlakowanej uczciwości i prawego charakteru miał dotychczas opiekuna, dającego wszelką rękojmię na przyszłość.

„W razie sprawdzenia się smutnych przewidywań, sprawa testamentu i zużytkowania tak znacznej spuścizny, zgodnie z wolą zapisodawczyni, czy też z literą prawa, narażoną byłaby na nowe komplikacje.

„Notujemy tę wiadomość z zastrzeżeniem, jakkolwiek źródło, z którego pochodzi, zasługuje na zupełne zaufanie“.

Pomiędzy wierszami, jak zwykle, pozwolono czytelnikom domyslać się tego, czego przez dyskrecję i współczucie nie chciano wypowiedzieć wyraźnie; nazywano ten wypadek wielce pożałowania godnym, dodając w ostatnim wierszu, iż: „na konsultację, która się w tych dniach odbyć miała, wezwano jednego z głośniejszych neuropatów i psychiatrów warszawskich“.

Ta czysto informacyjna niby wzmianka dopełniała całości w sposób wcale niedwuznaczny.

Staś Szuba nie mógł wytrzymać i z samego rana przybiegł już do barona, aby mu udzielić szczegółów, których późnym wieczorem zaczerpnął z ust swego ojca.

Pocziwy Wenus odwiedzał bowiem kuzynów Dłu-

skich w Zakalecu, który leżał w pobliżu Omylina i przywiózł stamtąd sensacyjną wiadomość, trzymaną dotąd w tajemnicy, jakoby „stary Krokowski dostał formalnego bzika i kwalifikował się do czubków“.

Nie miał też nic pilniejszego do zrobienia, jak zwierzyć się z tego synowi, który z reporterskim sprytem ocenił i bez namysłu zużytkował natychmiast fakt, na własne ryzyko, w „Wiadomościach brukowych“.

Nie mógł przecież pozwolić na to, aby jego organ dał się wyprzedzić komu innemu!

W pierwszej chwili zmieszana go jednak ta niespodziana wiadomość i wyraz jakby przerażenia odbił się na jego twarzy, gdy mu „stary“ z obłudną miną, kiwając głową, powtarzał:

— Palec Boży!... Palec Boży!... Myśleli, że zagarną wszystko i swoich wykwitują!... A teraz ot, wdał się Sędzia Najwyższy w tę sprawę i rozum pomieszał. Z Panem Bogiem niema kontraktów!...

Staś gładził w zamyśleniu swoje rzadkie baczki, które mu na policzki zachodziły, poprawiał binokle na zapoconym nosku i kręcił się na stołku; na języku miał widocznie jakieś ważne pytanie, którego jednak nie śmiał zadać ojcu, ale niespokojny był i roztargniony podczas całej rozmowy.

Dopiero w przedpokoju redakcyjnym, wyprowadzając starego na schody, zagadnął go nieśmiałym szeptem:

— A nie domyślają się tam czego?...

— W jakim względzie?

— No... niby, co spowodowało ten rozstrój umysłowy?... nie mówią o przyczynie jego...

Wskazał palcem na czoło i usta zagryzał, z pod binokli przypatrując się ojcu swoim lisiem spojrzeniem.

Szuba śpiesznie zaczął schodzić po schodach, jakby unikał wzroku syna i wzdychając, odpowiedział:

— A któż to może wiedzieć?... niemowa, kaleka, nieszczęście!... palec Boży, palec Boży!... Dobranoc ci, serce, dobranoc! A zajdź do matki jutro przed obiadem, musimy jeszcze pogadać z sobą. To przecież bardzo poważna historia!

Staś został przede drzwiami redakcyi i zamyślił się; miał taki sam wyraz twarzy, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy usłyszał z ust Włodźńskiego:

— Wiesz, panie, że z ciebie jest kanalia!... kanalia!...

Wrócił jednak do biurka i sfabrykował naprędce ową niby korespondencyę, która miała sprawić w jutrzejszym numerze „sensacyę na mieście“, a sensacya w dziennikarskiem pojęciu przyszedłgo redaktora i kierownika opinii publicznej, była duszą pisma i najpewniejszą wędką na czytelników.

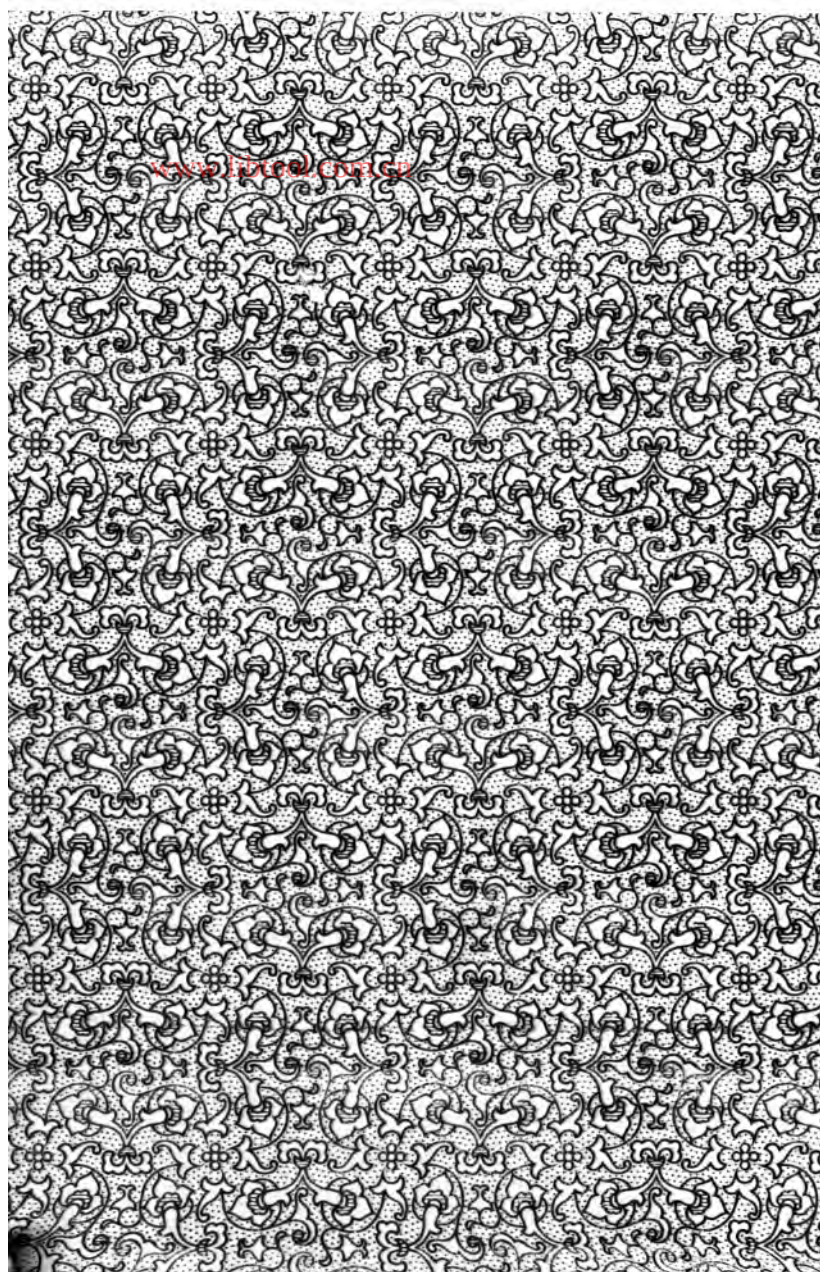
Bez wahania też skreślił tych kilkanaście wierszy,

z którymi rano pobiegł do barona, aby mu zdać sprawę z otrzymanych nowin i zastanowić się nad tak ważnym zwrotem w sytuacji.

Los zaczynał pomagać sprzysiężonym życzliwiej, niżeli sami się tego spodziewali.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

www.libtool.com.cn



Stanford University Libraries



3 015 015 035 822

PG
7158
.G38.S5
v.2

www.libtool.com.cn